



ALAIN  
MABANCKOU  
KIELONEK



ALAIN  
MABANCKOU  
-  
KIELONEK

PRZEŁOŻYŁ  
JACEK GISZCZAK



WYDAWNICTWO KARAKTER  
KRAKÓW 2008

*Paulinie Kengué, mojej matce*

# **PIERWSZE KARTKI**

zaczniemy od tego, że właściciel baru „Śmierć kredytom” wręczył mi zeszyt, żebym mógł w nim gryzmolić, i święcie wierzy, że ja, Kielonek, mogę spłodzić książkę, bo kiedyś w żartach opowiedziałem mu historię o sławnym pisarzu, który pił jak gąbka, o pisarzu, którego gdy się upił, trzeba było podnosić z ulicy, więc lepiej nie żartować z pryncypałem, bo bierze wszystko wprost, a dając mi ten zeszyt, zaznaczył, że to będzie dla niego, tylko i wyłącznie, że nikt inny tego nie przeczyta, chciałem wiedzieć, dlaczego tak mu zależy na owym zeszycie, odparł, że nie chce, by bar „Śmierć kredytom” zniknął kiedyś ot tak, dodał, że w tym kraju ludzie nie mają daru zapamiętywania, że czas opowiastek snuty przez zgrzybiałe babki się skończył, że wybiła godzina słowa pisanego, bo tylko to pozostanie, mowa ulatnia się jak dym, to tyle co kocie siki, właściciel baru „Śmierć kredytom” nie lubi gotowych formułek w rodzaju „gdy w Afryce umiera starzec, wraz z nim płonie cała biblioteka”, a gdy słyszy ten jakże wyświechtany frazes, naprawdę się złości i powiada „zależy jaki starzec, przestańcie się wygłupiać, ja tam wierzę tylko w to, co napisane”, więc trochę, by mu zrobić przyjemność, bazgrzę coś czasami, choć sam nie wiem naprawdę, co tu opowiadam, nie ukrywam, że nawet w tym zasmakowałem, choć za nic się nie przyznam, zacząłby myśleć Bóg wie co i zmusił mnie do jeszcze większego galopu, a ja chcę być wolny i pisać, kiedy mam ochotę, kiedy mogę, nie ma nic gorszego od przymusowych robót, nie jestem jego murzynem, piszę też dla siebie i dlatego nie chciałbym być w jego skórze w chwili, kiedy przejrzy te kartki, na których nie zamierzam nikogo oszczędzać, lecz kiedy to przeczyta, nie będę już klientem baru „Śmierć kredytom”, moje stare kości przeniosą się gdzie indziej, dyskretnie podam mu kajet i powiem „misja zakończona”

muszę tu wspomnieć o dyskusji, jaka wywiązała się zaraz po narodzinach tego baru, rzecz słówko o cierniowej drodze naszego pryncypała, naprawdę chcieli, żeby wyzionął ducha, spisał testament Judasza, a zaczęło się wszystko od ludzi Kościoła, którzy widząc, że liczba wiernych co niedziela maleje, rozpętali prawdziwą świętą wojnę, rzucali przed bar „Śmierć kredytom” swoje jerozolimskie Biblie, mówili, że jeśli tak dalej pójdzie, skończą się msze w dzielnicy, skończą się transy i chóralne śpiewy, Duch Święty nie nawiedzi już dzielnicy Trzysty, nie będzie czarnych chrupkich hostii, nie będzie słodkiego wina, krwi Chrystusa, nie będzie ministrantów, pobożnych siostrzyczek, nie będzie świec, nie będzie jałmużny, nie będzie pierwszej komunii ani drugiej, nie będzie katechizmu, chrztów, nie będzie niczego i wtedy wszyscy pójda prosto do piekła, a później wkroczył syndykat rogaczy w niedziele i od święta, utrzymując, że jeśli żony przestały nagle pichcić im smaczne obiadki, jeśli nie szanują mężów jak panie minionego czasu, to w znacznym stopniu za sprawą baru „Śmierć kredytom”, powtarzali, że szacunek to rzecz najwyższej wagi, że nikt nie szanuje męża tak jak żona, bo tak było zawsze, od Adama i Ewy, toteż ojcowie rodzin nie widzą powodu, by wszczynać rewolucje, żony powinny się płaszczyć, słuchać poleceń mężów, mówili tak, lecz również bez żadnego skutku, potem zaczęły się próby nacisku ze strony stowarzyszenia byłych alkoholików, którzy przeszli na wodę, fantę, pulpbrange, grenadinę, senegalski bissap, sok grejpfrutowy czy coca-cole light, przemycaną do Nigerii z liśćmi indyjskich konopii, ta banda doktrynerów okupowała bar przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy, lecz także bez skutku, później przyszła kolej na akcje mistyczne stróżów tradycyjnej moralności, wodzów plemiennych, którzy rzucali na próg lokalu swoje *gris-gris*, miotali klątwy pod adresem właściciela baru, wzywali dusze zmarłych i przepowiadali, że pryncypał będzie się smażył na wolnym ogniu, że wkrótce pomogą mu pojechać windą na szafot, ale wszystko bez skutku, wreszcie doszło do aktów terroru w wykonaniu band opłacanych przez paru starych durniów z dzielnicy, wspominających z żalem czasy Case de Gaulle, radosne życie boya, życie starego negra z medalem za zasługi, epokę kolonialną, murzyńskie bale Josephiny Baker i banany podskakujące wokół jej talii, dzięki tym powszechnie szanowanym ludziom pryncypał znalazł się w nie lada opałach, wysłali w środku nocy, w samym jądrze ciemności, oprychów w kominiarkach, którzy zjawili się, dzierżąc żelazne pręty z Zanzibaru, maczugi i pałki z chrześcijańskiego średniowiecza, zatrute dzidy z czasów Zulusa Czaki, komunistyczne sierpy i młoty, kata-pulty z okresu wojny stuletniej, galijskie zakrzywione noże, motyki Pigmejów, koktajle Mołotowa z maja '68, maczety używane podczas sezonu w Rwandzie, proce ze słynnej walki Dawida z Goliatem, przyszli z całym tym świetnym arsenałem, lecz

także na próżno, zdemolowali wszakże część lokalu i w mieście mówiło się tylko o tym, pisała o tym cała prasa, „Ulica umiera”, „Tydzień Afrykański”, „Mwinda”, „Mouyondzi Tribune”, z sąsiednich krajów ściągali nawet turyści, by ujrzeć to miejsce z bliska niczym pielgrzymi odwiedzający Ścianę Płaczu, i ci turyści robili mnóstwo zdjęć, nie wiem w jakim celu, ale robili zdjęcia, byli nawet wśród mieszkańców tego miasta tacy, których noga nigdy nie postąpiła w dzielnicy Trzysta i którzy odkrywali ją teraz w osłupieniu, zadając sobie pytanie, jak ludzie mogą żyć w tak doskonałej symbiozie z brudem, kałużami, szkieletami żywego inwentarza, spalonymi samochodami, z błotem, gnojem, wielkimi wyrwami w jezdni i domami w ruinie, a nasz pryncypał udzielał wywiadów na prawo i lewo, nasz pryncypał z dnia na dzień stał się męczennikiem, nasz pryncypał zaczął się nagle pojawiać we wszystkich programach, mówił w języku lingala z Północy, w języku munukutuba z puszczy Mayombe, w narzeczu bembe mieszkańców okolic mostu Moukoukoulou, którzy z uporem maniaka rozstrzygają spory za pomocą noża, i wszyscy go znali, stał się sławny, wzbudzał litość, ludzie chcieli mu pomóc, przychodziły nawet listy z wyrazami poparcia, petycje w obronie śmiałka, którego zaczęto nazywać Upartym Ślimakiem, lecz można było liczyć zwłaszcza na pijaczków, którzy zawsze są solidarni do ostatniej kropli i którzy zabrali się do dzieła, zakasali rękawy, by usunąć materialne szkody spowodowane przez ludzi żałujących epoki kolonialnej, żałujących willi de Gaulle’a, murzyńskich balów Josephiny Baker, i ta banalna dla wielu historia stała się wydarzeniem na skalę narodową, mówiło się o „sprawie baru »Śmierć kredytom«”, rząd omawiał tę kwestię na Radzie Ministrów i niektórzy z rządzących krajem żądali natychmiastowego i bezapelacyjnego zamknięcia lokalu, a inni przeciwstawiali im argumenty niewiele bardziej przekonujące, toteż ta dysputa jaszczurek ze starej senegalskiej baśni wkrótce podzieliła kraj, a wtedy minister rolnictwa, handlu oraz małych i średnich przedsiębiorstw Albert Zou Loukia wygłosił stanowczą i uczoną mowę, która odtąd już zawsze będzie się z nim kojarzyć, wystąpił z pamiętnym przemówieniem, które pozostanie jednym ze świetniejszych przykładów politycznej oracji wszech czasów, minister Zou Loukia wielokrotnie powtórzył słowo „oskarżam” i było to dla wszystkich takim zaskoczeniem, że odtąd na ulicach, bez wyraźnego powodu, z okazji byle sprzeczki czy nieporozumienia powtarzano „oskarżam”, i nawet szef rządu powiedział swemu rzecznikowi, że minister rolnictwa potrafi przemawiać, że jego jakże popularne sformułowanie „oskarżam” przejdzie do historii, toteż premier obiecał, że przy najbliższej przebudowie rządu powierzy ministrowi rolnictwa tekę ministra kultury, wystarczy skreślić „agro”, tymczasem wszyscy powinni się zgodzić, że minister wygłosił znakomitą mowę, wyrecytował całe strony z książek najważniejszych auto-rów, których tak chętnie cytujemy przy stole, spocił się jak

zawsze, kiedy pęczniał z dumy, że zdołał oczarować słuchaczy erudycją, tak oto stanął w obronie baru „Śmierć kredytem”, najpierw pochwalił inicjatywę Upartego Ślimaka, którego znał dobrze, bo razem chodzili do szkoły, potem podsumował słowami, które cytuję z pamięci: „Panie i Panowie, członkowie Rady Państwa, oskarżam, nie chcę podsycać i tak niezdrowej atmosfery społecznej w naszym kraju, jako członek rządu nie chcę uczestniczyć w nagonce na człowieka, oskarżam niegodziwców szkalujących osobę, której jedyną przewiną było wytyczyć drogę własnej egzystencji, oskarżam bezprzykładne ekscesy reakcji, do jakich ostatnio doszło, oskarżam brutalne barbarzyńskie czyny prowokowane przez ludzi złej woli, oskarżam miotających obelgi i dopuszczających się aktów agresji, które w naszym kraju stały się chlebem powszednim, oskarżam o współudział wszystkich tych, którzy podlegają uzbrojonych w kije chuliganów i naruszają porządek publiczny, oskarżam ludzi gardzących człowiekiem, ludzi bez tolerancji, odrzucających wartości, ziejących nienawiścią, pozbawionych sumienia, wszystkie te wstrętne stepowe ropuchy, tak, Panie i Panowie, członkowie Rady Państwa, widzicie oto, jak dzielnica Trzystyła zmienia się w bezsenne miasto o kamiennej twarzy, a człowiek, którego nazywa się teraz Upartym Ślimakiem, pomijając sam fakt, że był moim szkolnym kolegą, zresztą bardzo zdolnym, ten człowiek, którego wszyscy dzisiaj prześladują, padł ofiarą spisku, Panie i Panowie, członkowie Rady Państwa, skupmy raczej wysiłki na ściganiu prawdziwych winowajców, zatem oskarżam tych, którzy bezkarnie paraliżują działanie naszych instytucji, ostentacyjnie zrywają łańcuch solidarności, odziedziczony po naszych przodkach Bantu, powiem otwarcie, jedyny błąd Upartego Ślimaka polegał na tym, że pokazał swoim pobratymcom, iż każdy na swój sposób może się przyczynić do przeobrażenia natury ludzkiej, jak naucza nas wielki Saint-Exupery w swej książce *Ziemia, planeta ludzi*, oto dlaczego oskarżam i nie przestanę oskarżać”

nazajutrz po wystąpieniu premiera Zou Loukii prezydent republiki we własnej osobie Adrien Lokouta Eleki Mingi wściekł się i zaczął zgniatać winogrona, które przecież tak lubił codziennie na deser, i dowiedzieliśmy się z radia Trotuar FM, że prezydent Adrien Lokouta Eleki Mingi, który był także generałem armii, zazdrości ministrowi rolnictwa wyrażenia „oskarżam”, otóż prezydent-generał armii wolałby, by to popularne słówko padło z jego ust, nie rozumiał, dlaczego jego doradcy nie wymyślili równie krótkiej i tak skutecznej w terenie formułki, każąc mu wygłaszać pompacyjne zdania w rodzaju „Jak Słońce, które wstaje na horyzoncie i zachodzi wieczorem nad majestatyczną rzeką Kongo”, i rozdrażniony, dotknięty, upokorzony, przybity prezydent Adrien Lokouta Eleki Mingi wezwał czarnuchów ze swej kancelarii, którzy darzyli go wielką miłością, i



kazał im pocić się jak nigdy dotąd, bo ma dość napuszonych zdań zabarwionych fałszywą poetycką nutą, i negrzy z kancelarii stanęli na baczność, w szeregu, od najniższego do najwyższego, jak bracia Dalton ścigani przez Lucky Luke'a na kaktusowych równinach Dzikiego Zachodu, i ci negrzy powiedzieli chórem „Tak jest, panie komendancie”, bo przecież nasz prezydent Adrien Lokouta Eleki Mingi jest generałem armii, nie mógł się zresztą doczekać wojny domowej Południa z Północą, by spisać wreszcie wojenne pamiętniki, które zatytułuje zwyczajnie *Pamiętniki Adriana*, prezydent-generał armii kazał im znaleźć formułkę, która przejdzie do historii jak „oskarżam” wypowiedziane przez ministra Zou Loukię, i negrzy z kancelarii harowali całą noc, przy drzwiach zamkniętych, po raz pierwszy otworzyli i przewertowali tomy encyklopedii, obrastające kurzem na półkach prezydenckiej biblioteki, szukali w wielkich księgach zapisanych maczkiem, wyszli od początków świata i przez epokę gościa zwanego Gutenbergiem oraz czasy egipskich hieroglifów dotarli do pism pewnego Chińczyka, który rozwodził się ponoć na temat sztuki wojennej, a żył w epoce, gdy nawet nie wiadomo, że Chrystus przyjdzie na świat za sprawą Ducha Świętego i złoży się za nas, grzeszników, w ofierze, lecz czarnuchy Adriana nie znalazły niczego tak mocnego jak „oskarżam” ministra Zou Loukii, a prezydent-generał armii zapowiedział, że wywali na zbity pysk całą kancelarię, jeśli nie dostanie swojego słówka dla potomności, powiedział „czemu miałbym płacić tej bandzie idiotów, niezdolnej nawet wymyślić mi zdania, które trafia, które pozostaje, które ma swoją wagę, uprzedzam, jeśli formułka nie będzie gotowa, nim pierwszy kur zapieje, niektóre głowy spadną jak zgniłe owoce mango, tak, dla mnie wszyscy jesteście jak zgniłe owoce mango, ja wam to mówię, możecie zacząć pakować manatki i rozglądać się za jakimś katolickim krajem, który zechce was przyjąć, wygnanie albo grób, powtarzam, od tej chwili nikt nie ma prawa opuszczać pałacu i niech no tylko w moim gabinecie poczuje kawę lub dym z cohiby albo montecristo, żadnej wody, kanapek, nic a nic, to ma być dieta, tak długo, aż znajdziecie mi moją formułkę, powiedzcie no, proszę, jakim cudem byle minister Zou Loukia znajduje swoje »oskarżam«, które kraj powtarza, he, wiem od moich prezydenckich służb specjalnych, że dzieciom nadają już imię »oskarżam«, a co powiecie o tych napalonych dzierlatkach, które tatuują sobie to słówko na tyłkach, ba, na dodatek, o ironio losu, klienci zaczynają żądać tego od byle prostytutki, więc sami widzicie, przez was siedzę w gównie, czy to taka sztuka znaleźć trafną formułkę, cóż to, czyżby czarnuchy z Ministerstwa Rolnictwa były od was lepsze, zdajecie sobie sprawę, że jego murzyni nie mają nawet służbowych samochodów, jeżdżą ministerialnym autobusem, mają marne pensje, gdy wy żyjecie sobie beztrosko w pałacu, pływacie w moim basenie, pijecie mego szampana, oglądacie sobie w kablówce zagraniczne stacje, gdzie wygadują o

mnie nie wiadomo co, zjadacie moje ciasteczka, wcinacie mego łososa, opychacie się moim kawiolem, chodźcie po moim ogrodzie i jeźdźcie z kochankami na nartach po moim sztucznym śniegu, jeszcze trochę, a będziecie sypiać z moimi dwudziestoma żonami, powiedzcie w końcu, proszę, jaki mam z was pożytek w mojej kancelarii, he, czy płacę wam za to, żebyście przychodzili mi się tu wałkonić, równie dobrze mógłbym zrobić szefem kancelarii mojego głupiego psa, bando nierobów”, i prezydent Adrian Lokouta Eleki Mingi trzasnął drzwiami kancelarii i zawołał raz jeszcze „bando czarnuchów, odtąd w tym pałacu nic nie będzie już takie jak kiedyś, dość mam tuczenia trutniów podsuwających mi bzdety, od teraz będę oceniał was po wynikach, i pomyśleć, że są wśród was tacy, którzy kończyli ENA i politechnikę, sranie w banię, ot co”

murzyni z kancelarii wzięli się do roboty z wiszącą im nad głowami dzidą Zulusa Czaki i mieczem Damoklesa, a echo ostatnich słów prezydenta rozbrzmiewało jeszcze w pałacu, kiedy, koło północy, jako że nie wpadli jeszcze na żaden pomysł, bo chociaż mamy w kraju pod dostatkiem ropy, brakuje nam pomysłów, kiedy w naturalny sposób przyszło im do głowy, by zadzwonić do pewnej wpływowej osoby z Akademii Francuskiej, ponoć jedynego Murzyna w całej historii tego czcigodnego grona, i wszyscy przyklasnęli temu pomysłowi, uznając, iż członek Akademii na pewno poczuje się zaszczycony, więc napisali długi list, używając poprawnych form czasu zaprzeszłego, było tam nawet kilka poruszających fragmentów heksametrem, bogato rymowanych, bardzo wnikliwie sprawdzili interpunkcję, za nic nie chcieli stać się przedmiotem żartów członków Akademii, którzy tylko czyhają na sposobność, by dowieść całemu światu, że są do czegoś potrzebni, nie tylko do przyznawania grand prix w kategorii powieści, dość powiedzieć, że wśród negrów prezydenta omal nie doszło do rękoczynów, jedni bowiem twierdzili, że trzeba postawić średnik zamiast przecinka, drudzy nie podzielali tej opinii i byli za przecinkiem, który nadawał zdaniu piąty bieg, i ci ostatni trwali przy swym stanowisku mimo odmiennego zdania *Słownika ortograficznego języka francuskiego* niejakiego Adolphe'a Thomasa, który przyznawał rację pierwszemu obozowi, jednak obóz drugi podtrzymywał swe racje, wszystko po to by przypodobać się czarnemu członkowi Akademii, który, jak czołobitnie zwracano uwagę, był jednym z pierwszych specjalistów w dziedzinie gramatyki francuskiej z całego afrykańskiego kontynentu, dodajmy, że wszystko przebiegłoby zgodnie z oczekiwaniami, gdyby murzyni Adriana nie doszli do wniosku, że członek Akademii na pewno prędko im nie odpowie, że dzida Zulusa Czaki i miecz Damoklesa spadną im na głowy, nim otrzymają choć znak spod Kopuły, jak nazywają bulwę, pod którą ci nieśmiertelni mędracy obserwują dźwięki języka i wyrokują w bezdyskusyjny sposób, że w danym

tekście mamy do czynienia z zerowym stopniem stylu, lecz był też inny, bardziej praktyczny powód, który wprowadził negrów w popłoch, otóż pewien pracownik kancelarii, jeden z prymusów szkoły administracji ENA, posiadający dzieła zebrane Murzyna-członka Akademii, oznajmił, iż ten ostatni zostawił już swoją maksymę dla potomności, „emocja jest czarna jak rozum helleński”, absolwent Wyższej Szkoły Administracji wyjaśnił kolegom, że członek Akademii nie znajdzie niczego, bo przeszłość to nie jakiś dwór króla żebraków, gdzie każdy może robić, co mu się podoba, człowiek ma prawo tylko do jednej maksymy, inaczej byłoby to czcze gadanie, wiele hałasu o nic i właśnie dlatego przechodzące do Historii zdania są krótkie, zwięzłe, dobitne, a że te zdania stają się legendą, trwają całe wieki oraz tysiąclecia, ludzie zapominają niestety o prawdziwych autorach i nie oddają Cesairebwi, co cesarskie

bez wpadania w panikę negrzy prezydenta-generała armii znaleźli kolejne awaryjne wyjście, postanowili wrzucić wszystkie pomysły i odkrycia do jednego koszyka, stwierdzili, że na uniwersytetach, na jakie niektórzy uczęszczali w Stanach Zjednoczonych, nazywa się to *brainstorming*, każdy napisał na kartce papieru szereg myśli, które w tym zafajdanym świecie przeszły do historii, i zaczęli je przeglądać, jak to się robi w krajach, gdzie ludzie mają prawo głosu, zaczęli czytać je po kolei, monotonicznie pod okiem szefa negrów, zaczęli od Ludwika XIV, który powiedział „Państwo to ja”, a szef negrów prezydenta-generała armii powiedział „nie, to niedobre, nie bierzemy tego, brzmi zbyt pyszałkowato, mogliby uznać nas za dyktatorów, dalej”, Lenin powiedział „Komunizm to władza rad plus elektryfikacja kraju”, a szef negrów powiedział „nie, to niedobre, to tak jakbyśmy uważali cały lud za idiotów; zwłaszcza te grupy, których nie stać na płacenie rachunków za prąd, dalej”, Danton powiedział „Odwagi, odwagi i jeszcze raz odwagi”, a szef negrów „nie, to się nie nadaje, za dużo powtórzeń, w dodatku mogliby dojść do wniosku, że brak nam odwagi, dalej”, Georges Clemenceau powiedział „Wojna jest zbyt poważną rzeczą, by powierzać ją wojskowym”, a szef negrów na to „nie, to niedobre, wojskowi mogą się obrazić i będziemy tu mieli jeden zamach stanu za drugim, nie zapominajmy, że sam prezydent jest generałem armii, trzeba uważać, w co się wkłada palce, dalej”, Mac-Mahon powiedział „Tu jestem i tu zostaję”, a szef negrów powiedział „nie, to niedobre, to jakby ktoś nie był pewny swej własnej charyzmy i kurczowo czepiał się władzy, dalej”, Bonaparte podczas kampanii egipskiej powiedział „Żołnierze, z wysokości tych piramid czterdzieści wieków na was patrzy”, a szef negrów powiedział „nie, to się nie nadaje, to tak jakbyśmy brali żołnierzy za ciemniaków, którzy nie przeczytali książek wielkiego historyka Jeana Tularda, a przecież naszą misją jest przekonać ludność, że nasi żołnierze

nie są kretynami, dalej”, Talleyrand powiedział „To początek końca”, a szef negrów „nie, to niedobre, jeszcze zaczną myśleć, że to początek końca naszych rządów, a my, logicznie rzecz biorąc, powinniśmy sprawować władzę dożywotnio, dalej”, Martin Luther King powiedział „Miałem sen”, a szef negrów się zdenerwował, nie chce słyszeć o tym gościu, któremu przeciwstawia zaraz swego idola Malcolma X, i powiedział „nie, to niedobre, dość mamy utopii, wciąż liczymy, że kiedyś ten jego sen się spełni, i powiadam wam, będziemy czekać jeszcze parę stuleci, dobrze, dalej”, Szekspir powiedział „Być albo nie być, oto jest pytanie”, a szef negrów powiedział „nie, to niedobre, nie musimy już pytać, czy jesteśmy, czy nie, rozstrzygnęliśmy tę kwestię, sprawujemy władzę od dwudziestu trzech lat, dalej”, prezydent Kamerunu Paul Biya powiedział „Kamerun to Kamerun”, a szef negrów powiedział „nie, to na nic, wszyscy wiedzą, że Kamerun pozostanie na zawsze Kamerunem i żadnemu państwu na świecie nie przyjdzie do głowy, by kraść jego realia i lwy, które, tak czy owak, są nieposkromione, dalej”, były prezydent Konga Yombi Opangault powiedział „Żyjmy ciężko dziś, by lepiej żyć jutro”, a szef negrów powiedział „nie, to niedobre, nie można brać mieszkańców kraju za jeleni, czemu nie mieliby zacząć żyć lepiej już dziś i gwizdać na przyszłość, he, zresztą typ, który to powiedział, otaczał się najbardziej szokującym zbytkiem w całej naszej historii, dalej”, Karol Marks powiedział „Religia to opium dla ludu”, a szef negrów „nie, to całkiem do niczego, wciąż próbujemy przekonać lud, że sam Bóg chciał naszego prezydenta-generała armii, i mielibyśmy pleść głupstwa na temat religii, czy nie wiecie, że wszystkie kościoły w tym kraju otrzymują dotacje od pana prezydenta, he, dalej”, prezydent François Mitterrand powiedział „Trzeba dać czasowi czas”, a szef negrów się zdenerwował, nie chce nawet słyszeć o tym gościu, i powiedział „nie, to niedobre, ten prezydent zagarnął cały czas dla siebie i niemal zrównał walcem swych wrogów i przyjaciół, po czym skłonił się na odchodnym i zasiadł po prawicy Boga, dalej”, Frédéric Dard *alias* San-Antonio powiedział „Łysy, nie podskakuj, bo dostaniesz łupieżu”, a szef negrów powiedział „nie, to niedobre, za dużo mamy w kraju łysych, zwłaszcza w rządzie, nie trzeba nikogo sobie zrażać, sam jestem łysy, dalej”, Katon Starszy powiedział „Delenda Karthago”, a szef negrów „nie, to niedobre, ludzie z południa kraju pomyślą, że to w narzeczu z północy, ludzie z północy, że w dialekcie z południa, trzeba unikać takich nieporozumień, dalej”, Poncjusz Piłat powiedział „*Ecce homo*”, a szef negrów powiedział „nie, to niedobre, komentarz jak do wypocin Katona Starszego, dalej”, umierając na krzyżu, Jezus powiedział „Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił”, a szef negrów powiedział „nie, to niedobre, zbyt pesymistyczne, zbyt łzawe jak na takiego faceta jak Jezus, który miał przecież w ręku wystarczające moce, żeby tu wszystko rozpirzyć, dalej”, Blaise Pascal powiedział „Gdyby nos Kleopatry był

krótszy, inaczej potoczyłyby się losy świata”, a szef negrów powiedział „nie, to niedobre, idzie o kwestie polityczne, nie o chirurgię plastyczną, dalej”, tak to negrzy prezydenta przejrżeli setki cytatów i szereg historycznych stwierdzeń, nie znajdując tak naprawdę niczego dla pierwszego obywatela kraju, gdyż szef negrów mówił za każdym razem „to niedobre, dalej”, wreszcie o piątej rano, nim pierwszy kur zapiał, jeden z doradców, przeglądając czarno-białe filmy dokumentalne, trafił na historyczną sentencję

w samo południe, w chwili gdy ludność siadała do stołów, by raczyć się kurczakiem wyścigowym z własnego podwórka, prezydent-generał armii wystąpił we wszystkich stacjach radiowych i w jedynym kanale telewizji, wybiła godzina, prezydent był sztywny jak skóra na bębnie bamileke, niełatwo było wybrać odpowiedni moment na przekazanie maksymy potomności, i w ten pamiętny poniedziałek wystąpił w pełnej gali, obwieszony ciężkimi złotymi medalami, wyglądał jak patriarcha w jesieni panowania i jego odświętny strój w ten historyczny poniedziałek mógł wywoływać wrażenie, że to Święto Kozła, które obchodzimy, czcząc pamięć jego babki, wtedy przepłukał gardło, by się pozbyć tremy, i zaczął od krytyki krajów Europy, które łudziły nas słońcem wolności, a przecież nadal jesteśmy od nich zależni, gdyż nadal mamy aleje Generała de Gaulle’a, Generała Leclerca, aleje Prezydenta Coti, Prezydenta Pompidou, podczas gdy w Europie wciąż nie ma alei Mobutu Sese Seko, Idi Amina Dady, alei Jeana Bedela Bokassy i innych sławnych mężów, których znał osobiście i cenił za lojalność, humanizm i poszanowanie praw człowieka, zatem ciągle zależymy od nich, bo eksploatują naszą ropę, a ukrywają przed nami idee, bo eksploatują nasze lasy, żeby spokojnie przetrwać zimę, bo kształcą nam urzędników w ENA i na politechnice, zmieniają ich w białych Murzynków, Murzynek Bambo wraca, już się wydawało, że uciekł na drzewo, a on znów tu jest, gotowy na wszystko, tak to wypowiadał się nasz prezydent, sapiąc, zaciskając pięści, i w swojej mowie o kolonializmie prezydent-generał armii oskarżył kapitalizm, związane z nim zagrożenia i nowe wyzwania, stwierdził, że to wszystko utopia, oskarżył zwłaszcza miejscowych sługusów kolonializmu, gości, którzy żyją w tym kraju, którzy z nami jedzą, tańczą z nami w barach, jeżdżą komunikacją publiczną, pracują z nami na polach, w biurach, na targach, te scyzoryki, które robią z naszymi kobietami rzeczy, jakich pamięć mojej zmarłej w Tchinouka matki nie pozwala mi tu opisywać, otóż ci goście to w gruncie rzeczy krety sił imperializmu, dodajmy, że wściekłość prezydenta-generała armii wzrosła w tym miejscu o kilkanaście stopni, bo sługusów kolonializmu i imperializmu nienawidził jak świerzbu, pcheł, wszy i moli, prezydent-generał armii stwierdził, że należy wytepić tych zdrajców, te marionetki, wszystkich tych

hipokrytów, wyzywał ich od świętoszków, chorych z urojenia, mizantropów, wieśniaków, którzy zrobili karierę, powiedział, że rewolucja proletariatu zwycięży, że wróg zostanie zniszczony, odeśle się go, skąd przyszedł, stwierdził, że Bóg jest z nami, że nasz kraj jest, jak on sam, wieczny, wezwał do jedności narodowej, zakończenia plemiennych wojen, powiedział, że wszyscy pochodzimy od jednego przodka, w końcu poruszył „Sprawę baru »Śmierć kredytom«”, która podzieliła kraj, chwalił inicjatywę Upartego Ślimaka, obiecał, że przyzna mu Order Legii Honorowej, i zakończył słowami, które chciał za wszelką cenę przekazać potomności, wiedzieliśmy, że to te właśnie słowa, bo powtórzył je kilka razy, rozkładając szeroko ramiona, jakby obejmował sekwoję, powtarzał „zrozumiałem was”, jego maksyma też stała się sławna, dlatego my tu, mizeraki, mówimy często w żartach, że „minister oskarża, prezydent zrozumiał”

jak sam opowiedział mi wiele lat temu, Uparty Ślimak wpadł na myśl, by otworzyć swój bar, po pobycie w Duali, w ubogiej dzielnicy New Bell, gdzie zobaczył „Katedrę”, ów kameruński lokal, którego nie zamknięto nigdy od czasów otwarcia, i Uparty Ślimak, zmieniony w słup soli, siadł tam, zamówił piwo Flag, jakiś jegomość przedstawił mu się jako właściciel baru od niepamiętnych czasów, powiedział, że nazywają go Wilkiem Stepowym, i wedle słów Upartego Ślimaka gość rzeczywiście wyglądał jak przedstawiciel ginącego gatunku, jak mumia egipska, dla niego liczył się tylko jego bar, nawet szorowanie zębów czy golenie kaktusów rozsianych na brodzie uważał za stratę czasu, żuł orzeszki koła, palił zatechły tytoń, miało się wrażenie, że przemieszcza się na latającym dywanie jak w bajce, i wtedy Uparty Ślimak zarzucił go tysiącem pytań, na które szynkarz odpowiedział bez chwili wahania, i w ten to sposób Uparty Ślimak dowiedział się, iż ów Kameruńczyk od lat nie zamknął baru dzięki wiernemu personelowi, sprawnemu zarządzaniu i osobistej aktywności, w każdy ranek i wieczór zjawiał się w „Katedrze”, a jego personel, widząc, że wyrasta jak spod ziemi, nabrał przekonania, że „Katedra” to miejsce kultu, z modlitwą rano i wieczorem, i co było do przewidzenia, Wilk Stepowy miał swe leże dokładnie naprzeciwko lokalu, więc gdy była mowa o wilku, widać było ogon, a spał na jedno oko, mógł w dowolnej chwili określić, ilu klientów pije, a ilu nie pije, mógł wymienić z nazwiska tych, którzy wiodą jałowe rozmowy, zamiast zamówić sobie coś do picia, zgadywał, ile butelek wina dotychczas podano, nastawiając jedynie ucha na swym legowisku, a w środku nocy budził się, przechodził przez ulicę Cacas, by przepędzić klienta zakłócającego spokój, powiedzieć mu, że ten bar to nie ring w Zairze dla fanatycznych wielbicieli Mohammeda Ali, i przypominał podstawowe prawa i obowiązki klienta „Katedry”, prawa i obowiązki, które wrył na desce z drewna okume, tak iż nie sposób było wejść do baru i nie zobaczyć tej tablicy praw, zapisano tam między innymi prawo wyboru butelki bez sprzeciwu kelnerów, prawo zachowania do połowy opróżnionej butelki do dnia następnego, prawo do butelki gratis po dziesięciu dniach stałej obecności w barze, były też obowiązki, między innymi zakaz uczestniczenia w bójkach, zakaz wymiotowania w lokalu, a tylko na ulicy Cacas, uznanie faktu, że to nie Wilk Stepowy nakłania klienta do przebywania w swym barze, zakaz obrażania kelnerów, obowiązek płacenia za konsumpcję zaraz po obsłudze

podczas pobytu w New Bell nasz pryncypał bez przerwy przesiadywał w tym barze, obserwował z bliska zachowanie klientów i obsługi, dyskutował z Wilkiem Stepowym, który bardzo szybko został jego przyjacielem, i wtedy właśnie Uparty

Ślimak, zachwycony tym ciekawym przedsięwzięciem, lotem błyskawicy powrócił do kraju i marzył już tylko o tym, by skopiować model z New Bell, ale potrzebował mamony, nie spełnia się marzeń za pomocą słów, Upartego Ślimaka rozpieierała energia, wysupłał zaskórniaki, zaczął zapożyczać się na prawo i lewo, a my śmiałyśmy się, gdy mówił o swych planach, ludzie powiadali, że jest jak facet, który przemyca łososia przez granicę i głowi się, jak ominąć służby sanitarne, on jednak z wolna rozpoczął działalność, najpierw z czterema stołami i bufetem długości niecałych dwu metrów, później z ośmioma stołami, bo przychodziło dużo ludzi, później z dwudziestoma stołami, bo ludzi przychodziło coraz więcej, wreszcie z czterdziestoma stołami i tarasem, bo ludzie stali w kolejce, czekając, aż ktoś ich obsłuży, i całe miasto mówiło tylko o tym, wieści krażyły z ust do ust i było o nim coraz głośniejsze, wszyscy przecież wiedzieli, że Ślimak był zawsze kwita z administracją, płacił podatki na czas, nie dyskutując o ich wysokości, miał odpowiednią licencję, zdobył koncesję na to, koncesję na tamto, żądano od niego wszelkich możliwych papierów, w tym świadectwa chrztu, książeczki szczepień na polio, na żółtą febrę, na beri-beri, na śpiączkę, na stwardnienie rozsiane, żądano prawa jazdy na prowadzenie taczek, na rower, nęcano drobiazgowymi kontrolami, których nie przeprowadza się w barach zamykanych nocą, nęcano go tak, jak nie nęka się właścicieli barów zamkniętych w niedzielę, zamkniętych w święta, zamkniętych w dniu pogrzebu bliskiego członka rodziny, zamykanych z byle powodu, zapowiedziano mu, że na tym popłynie, że jego upadły bar otrzyma wtedy bardziej adekwatną nazwę „Titanic”, przestrzegano, że mu to bokiem wyjdzie, że skończy jak kloszard, kołek Boży, ostatni potępieniec, że będzie spał w beczce jak kiedyś paru filozofów, a jednak Uparty Ślimak nadal tu jest, wciąż stoi na nogach, skupiony jak szachista, strawił lata na tej nierównej walce, zazdrośnikom znudziło się szukać mu pcheł na tonsurze, oparł się urokiem rzucanym przez imbecyli i teraz właściciele innych lokali zaczęli nazywać go czarownikiem, Houdinim, Al Caponem, Angoualimą, mordercą o dwunastu palcach, libańskim sklepikarzem z rogu, Żydem Tułaczem, a zwłaszcza kapitalistą, ciężka zniewaga, gdy się wie, że nazwać tu kogoś kapitalistą to gorzej, niż lżyć waginę jego matki, jego siostry, ciotki ze strony matki czy ojca, i to dzięki prezydentowi-generałowi armii tak bardzo nienawidzimy kapitalistów, w naszym kraju mogą nas wyzywać od ostatnich, ale nie od kapitalistów, bo to prowadzi do przemocy, do mordobicia z udziałem różnych klas społecznych, do śmiertelnego wyrównywania rachunków, bo kapitalizm to u nas wcielenie diabła z wielkim brzuchem, który pali kubańskie cygara, jeździ mercedesem, jest łysy, nieprzyzwoicie bogaty, robi przekręty i cały ten bajzel, popiera wyzysk człowieka przez człowieka, kobiety przez kobietę, kobiety przez mężczyznę, mężczyźni przez kobietę, czasem nawet



wyzysk człowieka przez zwierzę, bo wielu ludziom płaci się u nas za to, że karmią, pilnują i wyprowadzają na spacer zwierzęta kapitalistów, wyzywano więc naszego barmana od kapitalisty, puszczał mimo uszu tę straszną zniewagę, Uparty Ślimak wytrzymał, zamknął się w swej skorupie zatwardziałego gastropoda, przeszły wichry, huragany, przeszły tornada, cyklony, Uparty Ślimak zgiął się, ale nie złamał, po trosze dzięki nam, którzy od początku darzyliśmy go zaufaniem, trzeba było zobaczyć, jak drzemał przy barze w pierwszych miesiącach po otwarciu lokalu, w tamtych czasach nie miał jeszcze zaufanego personelu, korzystał z pomocy nieuczciwych kuzynów, którzy z pierwszym pianiem koguta okradli go z marnych zarobków, obudził się rano z kasą do połowy pustą i stertą wypitych przez klientów butelek po winie, i od razu zrozumiał, że nie należy mieszać rodziny do interesów, że musi zatrudnić ludzi poważnych, ludzi odpowiedzialnych, i miał szczęście trafić na dwóch nieprzekupnych, prostodusznych gości, jeden z nich to Mompero, niegdyś karawaniarz, który rozchmurza się tylko w wyjątkowych okolicznościach, nawet nie warto opowiadać mu dowcipów, dla niego śmiech nigdy nie był naturalną właściwością człowieka, nie warto nawet prosić, by dał coś na kreskę, „płacisz pan tu i teraz albo wylatujesz na kopach”, tak właśnie odpowie Mompero, nigdy nie widziałem, by z kimś dyskutował, a kiedy mówię nigdy, to znaczy nigdy, ma kamienną twarz, brwi uniesione jak dwa znaki zapytania, usta niczym przyssawka, mięśnie jak zawodnik wolnej amerykanki i mówią nawet, że kiedyś, gdy się wściekł, spoliczkował Bogu ducha winne drzewo owocowe, a wszystkie liście z nikomu niewadzącego drzewa od razu spadły, opowiadają też, że gdy się złości, złości naprawdę, trzeba mu dać dwa litry oleju palmowego, kubek tłuszczu z węża boa, trzeba mu też dać kilogram cebuli do chrupania, wszyscy to wiedzą, nie warto szukać z nim zwady, bo to się kończy źle, bardzo źle, co do drugiego kelnera, nazywa się Dengaki, to były bramkarz drużyny futbolowej plemienia Bembe, włada nożem lepiej niż Kuba Rozpruwacz, potrafi chwycić butelkę w locie, zanim się rozbije, ten jest czasem sympatyczny, ale nie należy przesadzać, ponieważ jego kolega Mompero zjawia się niekiedy, by przywołać go do porządku i uświadomić, że spoufalanie się z klientami, wchodzenie z nimi w zażyłość nie leży w jego interesie, a kiedy jest jakiś problem, to Mompero pręży mięśnie, a Dengaki odgrywa rolę dyplomaty wyposażonego we wszelkie plenipotencje, po czym grozi, że wyciągnie nóż schowany w kieszeni gacek, ci dwaj goście są tu od otwarcia baru, lubią swoją pracę, nie ma co, gdy jeden pracuje w dzień, drugi pracuje nocą, zamieniają się w ten sposób, czasem Mompero przez cały tydzień pracuje w ciągu dnia, a Dengaki przez cały tydzień nocą, nigdy nie było z tego powodu konfliktów, maszyna jest naoliwiona od lat i tak bar „Śmierć kredytom” jest stale otwarty, ludzie też są szczęśliwi, nie patrzą

na godzinę, nie boją się ultimatum kelnera, któremu spieszno do domu, kelnera, który zjawia się, by mątykować, że lokal ma być za kilka minut zamknięty „kończcie to, wracajcie do domu, bando zafajdanych obiboków, żona i dzieci czekają, nie zapomnijcie wypić bulionu z morskiej ryby, by przetrwać alkohol, któryście wypili”

jak mógłbym zapomnieć o tej głowie rodziny, którą przepędzono z domu jak wściekłego psa, gościa, który mnie rozśmieszał jakieś dwa miesiące temu, wystarczy powiedzieć, że był to biedny facet, który nosi teraz pampersy jak niemowlę, za nic nie chciałbym śmiać się z jego doli, ale to smutna prawda i przecież nigdy o nic go nie pytałem, patrzyłem mu tylko prosto w oczy, a on rzekł, jakby miał zamiar wypowiedzieć mi wojnę „dlaczego na mnie patrzysz, Kielonek, chcesz moje zdjęcie czy co, zostaw mnie w spokoju, popatrz lepiej na tamtych, co gadają w kącie”, zachowałem spokój; pogodę ducha, przecież nie należy udzielać natychmiastowej riposty tego rodzaju zdesperowanym ludziom, a jednak powiedziałem „facet, patrzę na ciebie tak samo jak na wszystkich, i tyle”, „tak, ale przyglądasz mi się w taki dziwny sposób, tak się nie patrzy na ludzi”, i odpowiedziałem mu, wciąż nie tracąc spokoju „skąd wiesz, że na ciebie patrzę, jeśli nie patrzysz na mnie, co”, tym, zdaje się, go rozbroiłem, wpadł we własne sidła, bo wymruczał coś w rodzaju „nic nie powiem, nie powiem słowa o moim życiu, nie wystawiam życia na licytację”, oto naprawdę zagubiony gość, czy rzeczywiście chciałem go słuchać, są tacy ludzie, kiedy chcą coś z siebie wykrztusić, muszą się przekomarzać, muszą z tobą zadrzeć, by mieć wrażenie, że mówią pod przymusem, ja, który od długich lat analizuję psychikę klientów baru „Śmierć kredytom”, znam to zachowanie, „nie proszę cię, żebyś mówił, brachu, jeszcze mnie nie znasz, popytaj się, czy ja, Kielonek, prosiłem tutaj kogoś o receptę na życie albo żeby wystawiał życie na licytację, he”, wreszcie powiedział „Kielonek, życie to naprawdę skomplikowana sprawa, wszystko zaczęło się w dniu, w którym wróciłem do domu o piątej nad ranem, daję słowo, tego dnia stwierdziłem, że ktoś zmienił zamek, bo nie mogłem włożyć klucza, nie mogłem wejść do własnego domu, do domu, który wynajmowałem, tak, w dodatku to ja go znalazłem, ja zapłaciłem kaucję, klnę się na ojca, matkę i sześcioro moich dzieci, zapłaciłem też za rok z góry i za bieżący miesiąc, nim pozwolono mi wnieść tam choćby marny widelec, zresztą tylko ja miałem pracę, mówię ci, co do mojej żony, nawet o tym nie mówmy, bo zaraz się zdenerwuję, to nie jest kobieta, tylko wazon zwiędłych kwiatków, drzewo, które nie daje już nawet owoców, to nie jest prawdziwa kobieta, możesz mi wierzyć, to worek z problemami i mówię ci, żyła tam sobie spoko, jak patat z Bobo-Dioulasso, jak kapitalistka, żyła tam, czekając, aż przyniosę do domu trochę świeżej gotówki, ciągle gdzieś latała, na

pogaduszki rano, w południe i wieczór, z grubymi babiszonami po rozwodzie, z wdowami z dzielnicy Trzysta, z tymi czarownicami w śmierdzących tunikach, z tymi wywłokami wybielającymi skórę, z plotkarami prostującymi włosy, żeby się upodobnić do białych, a przecież niektóre białe plotą warkoczyki, żeby wyglądać jak czarne, czujesz problem, Kielonek, moja żona zadawała się z tymi puszczalskimi, które mówią, że idą się modlić do kościoła, a tak naprawdę mają schadzkę z jakimś zafajdanym gachem, bo mogę ci przysiąc, że w tych kościołach odchodzi niezłe rżnięcie, nie mają już szacunku dla domu Bożego, zresztą, gdy sobie o tym pomyślę, nie wiem, gdzie On jest, w każdym razie nie w tych kościołach, te przewrotne baby, te megiiery myślą, że jeśli Bóg istnieje, wybaczy im wszystko, każdy grzech i to bez względu na to, kim jest osoba, która robi głupstwa zakazane przez jerozolimską Biblię, mówię ci, że w kościołach w dzielnicy odchodzi rżnięcie na całego, nie ma lepszego miejsca na orgie, seks zbiorowy, nie ma lepszego miejsca niż te fałszywe domy Boże, od których aż się roi, wszyscy to wiedzą, nawet członkowie rządu, kilku z nich finansuje te święte domy poróbstwa, to nie są kościoły z prawdziwego zdarzenia, sterują nimi jakieś nawiedzone łyse pały, co tylko wykorzystują, wynaturzają, przeinaczają, hańbia, brukają, znieważają, profanują jerozolimską Biblię i organizują z wiernymi seksualne igrzyska, z kobietami, z mężczyznami, bez różnicy, tak, w tych kościołach zdarzają się pedały, pedofile, zoofile, lesbijki i pieprzą się między jedną modlitwą a drugą, między zdrowaškami, i robią to na pielgrzymkach w wysokie góry Loango, Ndjili i Diosso pod pozorem medytacji z dala od niedowiarków, od ludzi małej wiary, Filistynów, zbląkaných owieczek, faryzeuszy, zdajesz sobie sprawę, idą tam, żeby bzykać się na całego, a ja powiadam głośno i dobitnie »zstąp, Mojżeszu«, ci ludzie powariowali, robią to na pielgrzymce do trzech gór, a moja żona dała się wciągnąć w te kretyństwa z ich guru, którego ubóstwia, mówię ci, ten guru narobił dzieci na prawo i lewo z podlotkami, które nie umieją nawet zmienić sobie podpaski, kiedy przychodzą fale Morza Czerwonego, mówię ci, że ten guru ma forszę, dużo forsy, mógłby żywić tę dzielnicę choćby przez wiek amerykańskiego embarga, a wszystkie te pieniądze pochodzą od ciebie, ode mnie, te pieniądze pochodzą od wszystkich ludzi w tym kraju, mówię ci, ten niegodziwiec jest bardzo bogaty i zna wszystkich wysoko postawionych gości, podobno ma zdjęcie z premierem, z prezydentem-generałem armii, z pułkownikami i to ponoć on dostarcza połowy zwierząt, które rozdają biednym podczas Święta Kozła, co niedziela prowadzi program w telewizji, przybiera wtedy uroczystą minę i mówi jak amerykański czarny kaznodzieja, a gdy tak przemawia, wygraża niedowiarkom, przepowiada im płomień piekielny, Sąd Ostateczny i tym podobne rzeczy, tak rekrutuje wiernych, zbiera bajońskie sumy, kiedy mówi, na ekranie przesuwają się numer telefonu,

otacza się dziećmi ubranymi na białą, które wyśpiewują pieśni na jego chwałę, miast śpiewać na chwałę Panu, a ludzie licytują się, kto da więcej, myśląc, że im więcej dadzą temu oszustowi, tym bliżej będą koszernych drzwi rajów, nie podoba mi się jego gęba, wygląda jak posążek tłustego, chytrego i lekko zboczonego Buddy, i jak tu się dostać do takiego łotra, gdy regularna armia wysyła żołnierzy, by mu zapewnić bezpieczeństwo, he, nawet by go zobaczyć, trzeba się umówić kilka tygodni wcześniej, a jego sekretarze nie pozwalają byle komu się do niego zbliżyć, sam widzisz, że to nie jakaś historia ze szkółki niedzielnej, to najzwyklejszy w świecie biznes, nazwijmy rzecz po imieniu, to interes, który się kręci, i dasz wiarę, ten guru ma w górach Loango, Ndjili i Diosso prawdziwy harem, pieprzą się tam jak króliki, odstawiają jeden numerka za drugim i właśnie moja żona na tydzień porzuciła domowe ognisko, moja żona pojechała w te góry, które nie są ani trochę święte, choć ona uznała, że to wyżyny duchowe”

tego dnia gość w pampersach zdawał się szukać słów, potem nagle odnalazł werwę, ciągnął swą opowieść, nie zważając, czy za nim nadażam, „widzisz, Kielonek, moja żona miała czelność zabraniać mi wychodzić, mówię ci, ktoś taki nie może mi rozkazywać, przecież to ja łożyłem na cały dom, a ta ośmielała się ustanawiać prawa, widziałeś coś podobnego na tym zasranym świecie, he, nie do wiary, mówię ci, zabraniała mi nawet szukać drobnych pieścizot u nagranych kociczek z dzielnicy Rex, czaisz, niby co miałem robić, kiedy guru obracał mi żonę w wysokich górach Loango, Ndjili i Diosso, he, co miałem robić w tym czasie, założyć ręce jak na przedstawieniu czy jak, czytać jerozolimską Biblię, może niańczyć dzieci albo gotować obiady, co, mogę być sobie rogaczem, ale dopiero po śmierci, niech tam, mogę być rogaczem, ale nie z racji klechów, nie z powodu ludzi, którzy powinni przecież wskazywać nam drogę do rajów, rozumiesz, są takie dni, kiedy sobie mówię, że niektóre z mych dzieci, prócz córki, ta jest do mnie podobna, to tak naprawdę dzieci tego guru, więc niby co miałem robić w tym czasie, to prawda, lubię gorące dziewczyny z dzielnicy Rex, tak, lubię smak młodych dziewcząt, zwłaszcza młodych dziewcząt z dzielnicy Rex, to prawdziwe oblubienice Pana, potrafią obchodzić się z rzeczą samą w sobie, jakby urodziły się z tą rzeczą na biodrach, nigdy mężczyzna nie przeżyje podobnych uniesień, takiego trzęsienia ziemi pod małżeńskim dachem, zresztą te małe są niesamowite, mówię ci, Kielonek, to prawdziwe wulkany, obiecują ci niebo i podają ci je w ozdobnym papierze, kiedy w domu żony nie spełniają już żadnych obietnic, te małe z dzielnicy Rex są gorące, kauczuk i guma, pikantne, słodkie, napalone, szepczą ci na ucho, na milimetr nie odstępują erekcji, wiedzą, gdzie cię dotykać, jak zbudzić uśpioną prądnicę, wiedzą, co zrobić, by nie zalać silnika przed rondem, wiedzą, jak włączyć zapłon, potrafią zmieniać biegi, przyspieszać,

jesteś w siódmym niebie, masz całe życie przed sobą, zresztą, co tu dużo gadać, Kielonek, to były przecież moje własne pieniądze i miałem prawo robić z nimi, co mi się podoba, nie, co jej strzeliło ciosać mi kolki na głowie, mojej żonie, he, w dodatku, powiem ci, nie robiła tego najlepiej, inaczej zostałbym w domu jak reszta palantów z dzielnicy, tymczasem moja żona wpatrywała się w blachę falistą nad głową, mówiła, że powinienem spiłować paznokcie, a ja myślałem o smukłych panienkach z dzielnicy Rex, mogła przynajmniej udawać odlot jak samica bociana, kiedy jeździłem po niej jak marny kolarz na wyścigu w dzielnicy Trzysta, i zdradzę ci sekret poliszynela, Kielonek, pewnego dnia powiedziała mi wręcz, żebym natychmiast przestał się na niej wiercić, bo za nic nie chce przegapić ostatniego odcinka serialu *Santa Barbara*, i rozkraczyłem się jakgruchot, nie mogłem odpalić, akumulator padł, nic, ale to nic nie działało, mówię ci, i jak jakiś impotent patrzyłem, jak moje narzędzie pracy traci wysokość i zmienia się w smętną opuszczoną flagę, by w końcu wrócić do śmiesznych rozmiarów ptaszka nad wiek rozwiniętego oseska, chcę ci powiedzieć, że byłem zszokowany, zbity z tropu, sprowadzony do parteru, zdezorientowany, przysięgam, ubrałem się w sekundę, darłem się na całego, krzyczałem kurwa, kurwa, kurwa, zapowiedziałem, że nie dam więcej grosza na dom, jeśli żona nie raczy ruszać zadkiem podczas naszych zabaw, dodałem, że może już na mnie nie liczyć, że nie jestem naiwny, nie jestem stuknięty, nienormalny, że mam swoją dumę, której muszę bronić, prawie się obrazila, kiedy powiedziałem, że poślubiłem dechę, że nie ma pojęcia, co znaczy dawać mężczyźnie rozkosz, powiedziałem, że jedynym aktem, który jej się udaje, jest prokreacja, a to potrafi każde dzikie zwierzę, tak, powiedziałem to wszystko pod wpływem złości, gdy ubierałem się w locie, i wyszedłem z domu, trzaskając drzwiami, a gdy znalazłem się na zewnątrz, pędziłem jak szalenciec, który zbiegł z domu wariatów, kiedy strażnik był zajęty sikaniem, i wskoczyłem w rozklekotaną gablotę, kierowca chciał ze mną gadać, posłałem go na drzewo, sądząc, że on i ja nie mamy o czym ze sobą rozmawiać, a on powiedział, że pewnie coś mnie gnębi, że to widać z daleka, powiedziałem, by sobie oszczędził tych uwag, żeby się zamknął i zawiózł mnie migiem do dzielnicy Rex, lecz on ciągle gadał, dociekał przyczyn mojego przygnębienia, do niczego się nie przyznałem, powiedziałem, że jeśli jeszcze raz otworzy tę zakazaną gębę, wysiądę z jego rzęcha, a ten głośno wzdycha i mruczy, że jestem kolejną ofiarą kobiety, wyglądam mu na gościa, który ma problemy w domu, podskoczyłem »skąd możesz wiedzieć, co«, zachichotał i spojrzał na mnie »każdy facet, który wygląda jak ty i jedzie do dzielnicy Rex, to zwykle rogacz albo gość, który ożenił się z deską okume«, powtórzyłem, żeby zamknął swój marabuci dziób, »te małe z dzielnicy Rex są takie gorące, co« powiedział, wkurzyłem się i palnąłem »odwal się i prowadź, jasne«, ale ten ciul nie przestał i powiada »facet,

życie jest piękne, uśmiechnij się, zaraz sobie bzykniesz, wrzuc na luz, bądź cool, weź głęboki oddech«, a że nic nie mówiłem, parsknął śmiechem »jak chcesz, stary, powiedziałem to, żeby podtrzymać rozmowę, zabawne, jak dziś ludzie stracili poczucie humoru, zawiozę cię do dzielnicy, ale pomyśl o mnie, gdy będziesz fikał zaraz z jakąś małą«, nie dodał więcej słowa, przybrał szyderczy uśmiech już do końca drogi, wreszcie dotarliśmy do dzielnicy Rex, zapłaciłem temu durnemu kierowcy, ale banknoty rzuciłem przez okno, ruszył, pokazując mi zad, krzyknąłem »kretyn«, odpowiedział »rogacz«, a zresztą miałem to gdzieś, byłem w dzielnicy Rex, a tu laseczki są świeże, dyspozycyjne, otwarte na propozycje i uległe, byłem więc w moim środowisku naturalnym, szkoła ciał, dzielnica Eroshima, a wszystkie laski mnie znały, bo potrafiłem wielbić ich ciała, urodę, bo nie traktowałem ich jak kurew, robiłem wszystko, co mógłbym robić z normalną kobietą obdarzoną erotycznym potencjałem, nie z mrożonką, jak moja, i jedna z tych niuń spytała mnie tego wieczoru, czy życzę sobie masaż specjalny o nazwie »ciało pana«, z mety zgodziłem się na »ciało pana«, bo mój przyjaciel z Haiti, który żyje teraz w Montrealu, mówił mi na ten temat wiele dobrego, i choć kosztowało to dwa razy więcej niż normalnie, powiedziałem tak, tak, »ciało pana«, stary, naprawdę odleciałem, a gdy wróciłem do domu o świcie, zdałem sobie sprawę, że żona zmieniła zamek w drzwiach, tak, dobrze słyszysz, Kielonek, po ponad czternastu latach małżeństwa, po czternastu latach, podczas których omal nie zanudziłem się na śmierć, po czternastu latach miłosnej pustyni, komedii, gierek, pozorów, po czternastu latach kalwarii i pozycji po bożemu zmieniła zamek w drzwiach, sam rozumiesz, że nie mogłem spać na dworze z powodu głupiego zamka, który wymieniła z pomocą szwagra, znanego w dzielnicy ślusarza, nie mogłem spać na dworze jak kloszard, nigdy w życiu, więc zastukałem do drzwi, bez rezultatu, wołałem żonę po imieniu, tak że zbudziłem sąsiadów, nie otworzyła, zagroziłem, że wyważę drzwi i że liczę do pięciu, i liczyłem powoli, nie przyszła mi otworzyć, więc rozumiesz, musiałem wezwać strażaków, bo nie chciałem rozbijać drzwi domu, a gdy strażacy zjawili się z całym arsenałem, sądząc, że będą gasić ogień na sawannie, wyjaśniłem, że nic się nie pali, ale musiałem znaleźć jakiś poważny argument, bo ci ludzie też bardzo się nudzą, kiedy w dzielnicy nie ma żadnego pożaru, ćwiczeń mają już potąd, a niektórzy idą na emeryturę, nie ugasiwszy nawet płonącej zapalki, zatem kłamałem, twierdząc, że moje dzieci są zamknięte w środku, a ich matka zemdląła, strażacy, trochę rozczarowani, że nie ma pożaru, zapytali mnie, dlaczego nie mam klucza do własnego domu, powiedziałem, że wychodząc do pracy nocą, zapomniałem ich zabrać, więc klucze są w środku, nie mam ich przy sobie, wtedy jeden ze strażaków stwierdził, że ze mnie ostatni idiota, uciałem krótko, że nie musiał tego mówić, i z kolei strażacy zaatakowali drzwi jak

szaleńcy, którzy chcą wszyscy naraz przejść przez ucho igielne, i wyważyli te cholerne drzwi, choć omal się nie zapluli i nie zasrali, a moja żona wyszła z pokoju z wrzaskiem, wystawiając pazury, skoczyła na mnie jak tygryska broniąca dwudniowego miotu, zwała mnie z nóg, bo ma więcej pary ode mnie, od ciebie też, Kielonek, moja żona to furia, możesz mi wierzyć, zacząłem wzywać pomocy i strażacy rozdzielili nas, pytali, co dzieje się w naszym stadle, chciałem przemówić pierwszy, bo w końcu jestem mężczyzną, a żona trzasnęła mnie w papę, powiedziała, żebym stulił ten pysk starego amatora dziewczynek z dzielnicy Rex, i skłamała, twierdząc, że nie powinienem włóczyć się koło tego domostwa, bo sędzia do spraw rodzinnych z dzielnicy Trzysta kazał mi się stąd wynieść już wiele miesięcy temu, a strażacy nazwali mnie wstrętnym łgarzem, żalonym mito-manem, zwykłym awanturnikiem, godnym litości faciem, kazali mi się natychmiast wynosić spod wspólnego dachu, »twarde prawo, ale prawo« stwierdzili, a ja odmówiłem, bo nie pojmowałem, dlaczego prawo ma być twarde właśnie dla mnie, powiedziałem więc, że przecież to ja płacę za mieszkanie, ja kupiłem telewizor, talerze z duraleksu, że ja łożę na utrzymanie, ja kupuję dzieciom szkolne wyprawki, że nikt inny, tylko ja płacę za prąd i tak dalej, a wtedy oni wezwali policję, bo strażacy zwykle nie noszą przy sobie kajdanek, na ogół mają sikawki, nosze, wielkie ciężarówki, które blokują ulicę z powodu zapalanej tu czy tam byle szwedzkiej zapalki, i to nie ich zadanie posyłać ludzi do mamra, są tu, by gasić pożary i reanimować chorych na umyśle, samobójców, ofiary wypadków, które lecą przez ręce, zaraz więc zjawiała się policja, bo jest nie dalej niż dwieście metrów od domu, który wynajmowałem za własne pieniądze, i mówię ci, moja żona wmawiała policjantom, że jestem niebezpieczny, groźniejszy nawet od słynnego zabójcy Angoualimy, który ucinał ludziom głowy i wystawiał je na widok publiczny na Dzikim Wybrzeżu, i moja żona powiedziała, że to nie pierwsza moja sprawa w sądzie, że jestem recydywistą, złodziejem, że sprzedaję indyjskie konopie, kokainę z Medellin, powiedziała też, że już nie sypiam w domu, że się nie myję, że znęcam się nad dziećmi, że przestałem płacić za wynajem domu, że wkrótce ją eksmitują, że śpię z kurwami z dzielnicy Rex, że chodzę z nią do łóżka, nie wkładając prawdziwych prezerwatyw z Europy Środkowej, a jej zdaniem prezerwatywy z Nigerii nie są najlepsze, mają dziurkę z przodu i dzięki tej dziurce mężczyzna może oszukiwać kobietę, czerpać przyjemność, jak gdyby prezerwatywy nie było, ta biedna kobiecina wyobrażała sobie, że mężczyzna, który na niej leżał, wkładał prezerwatywę, a było to gołe narzędzie z dziurką, wiesz, o co chodzi, Kielonek, więc moja żona powiedziała, że mogę być bardzo, ale to bardzo seropozytywny, nawet o tym nie wiedząc, że mój przypadek to poważna sprawa, bo dziwnie schudłem, moja twarz przypomina łeb złowionej soli, mam czaszkę Hotentota, co dzień dostaję biegunki, skarżę się,

kiedy sikam, wymiotuję i powiedziała jeszcze, że moją wyplątą rozporządzają dziewczyny z dzielnicy Rex, że mam dwie kochanki, które mogłyby być moimi wnuczkami albo wnuczkami obecnych w domu strażaków i policjantów, mój Boże, i tak sytuacja zaczęła się komplikować, skomplikowała się zwłaszcza, gdy żona oświadczyła, że wyprawiam różne bezceństwa z naszą córką Amelią, że to mało nazwać mnie szarlatanem, barbarzyńcą, jaskiniowcem, powiedziała tym zebrany w naszym domu ludziom, że wstaję nocą, żeby dotykać córkę, robić jej różne świństwa, powiedziała też, że w tym celu daję Amelii do picia środek nasenny, by nie zdawała sobie sprawy z moich podstępnych sztuczek, z mojego wyuzdania, ale powiedz, Kielonek, wyobrażasz sobie, że mógłbym robić takie rzeczy, co, wyobrażasz sobie, że mógłbym kalać przedsionek dzieciństwa, że mógłbym zrywać świeże paki, wyobrażasz sobie, że mógłbym napastować dzieci, to niemożliwe, no nie, Amelia to przecież moja własna córka i byłem tak zszokowany, że nie odpowiedziałem słowem na te fałszywe zarzuty, a wśród ludzi w mundurach był pewien policjant narodowości żeńskiej, z mięśniami jak u rybaka i krótką fryzurą niczym u zwykłego policjanta, wyzywała mnie od łajdaków, pedofilów, sadystów, powiedziała, że wdepcze mnie w ziemię, choćbym był już martwy, że pójdzie napluć na mój grób, powiedziała, że jestem wrakiem, marynarzem wyrzuconym przez morze i powinienem wiedzieć, że za każdą zbrodnię jest kara, i ten policjant narodowości żeńskiej przysiągł, że wsadzi mnie gdzie trzeba, obiecał, że zrobi wszystko, żeby nie było procesu, bo byłby to dla mnie zbyt wielki zaszczyt, gdyby uhonorowano mnie procesem, proces to rzecz skomplikowana, i ona osobiście założyła mi kajdanki, a jej koledzy poniewierali mnie, kopali kolanami w jaja, ślaniałem się na nogach i mogę ci nawet pokazać blizny, ślady, które nigdy nie zniknęły, zacząłem rzygać krwią, skrzepy krwi wielkie jak pataty z Bobo-Dioulasso, skrzepy krwi wielkie jak kupa dinozaura, i ci ludzie zawlekli mnie na dzielnicowy komisariat, a gdy tam powiedzieli, że jestem pedofilem, inni policjanci zakrzyknęli chórem, że trzeba mnie zaraz zawieźć do Makali, gdzie strawię połowę życia, Makala to miejsce, które w półświatku tego miasta budzi największą grozę, i zawieziono mnie tam, mówię ci, Kielonek, sytuacja była poważna, więc patrząc na mnie teraz, nie uwierzysz, że spędziłem dwa i pół roku w Makali, a dwa i pół roku w tym więzieniu to nie żarty”

śluchałem go, nie puszczając pary z ust, miał łzy w oczach, łyknał porządnie, nim podjął swą opowieść, „dwa i pół roku w Makali dłuży się jak wieczność, zwłaszcza kiedy inni więźniowie dowiedzą się, że robiłeś różne świństwa z córką, choć przecież ten zarzut wobec mojej osoby wcale nie był prawdziwy, po prostu nie jestem zdolny kalać przedsionka dzieciństwa, zrywać paków, napastować



dzieci, dają słowo, i niestety to był prawdziwy krzyż, co tam przeżyłem, to było gorsze od wszystkiego, co przeżywają ludzie idący do piekła, to było straszne, nie do zniesienia, Kielonek, nie wiem, jak wytrzymałem, wyobraź sobie strażników, którzy pozwalali watażkom z innych cel maltretować mój zadek, robić mi to, co nazywali »kur-sem przez środek«, mówię ci, tak właśnie było, przysięgam, byłem ich przedmiotem, zabawką, dmuchaną lalką, oddawałem im nędzne ciało, które teraz widzisz, co ktoś taki jak ja mógł zrobić, nic, było ich wielu, kłócili się o swoją kolej, a gdy krzyczałem z powodu częstotliwości tych kursów przez środek, strażnicy z Makali parskali śmiechem, mówili, żebym pomyślał o tym, co robiłem Amelii, choć to wcale nieprawda, bo jestem niezdolny kłaść przedsonka dzieciństwa, zrywać paki, napastować dzieci, i co dzień kursowali tak przez środek, brali od tyłu, nie mogłem już zmrużyć oka, ciągle ktoś był za mną, zasuwając jak królik, wyzywając mnie od starych kurew, od suk, od śmieci, od warzyw z targu Tipo-Tipo, od karakonów, meduz, ciem, zgniłych owoców drzewa chlebowego, używali wszystkich tych wyzwisk, nawet jeden ze strażników z Makali osobiście próbował kursu przez środek, był to nerwowy młodzian, który mi powiedział, że nigdy tego nikomu nie robił, żadnemu mężczyźnie, że nie jest pedziem, a robi to tylko po to, bym zapłacił za świństwa, jakie robiłem Amelii, choć to wcale nieprawda, i to on okładał mnie batem, rypiąc w zapadłą dziurę, ruszając krzyżem jak szofer, mówię ci, był wyposażony jak King Kong, sam widzisz, że ci ludzie z Makali wszystko we mnie spaprali, dają słowo, przysięgam, mogę ci pokazać zadek, nawet jak złączysz dłonie, wejda bez problemu, nie kłamie, nie miałem prawa do procesu w tym pieprzonym kraju”

kiedy gość od pampersów skończył swą opowieść, podniósł szklanke, by wypić ostatniego na drogę, wypił duszkiem, nalał sobie znowu, jeszcze raz wypił duszkiem, wreszcie wstał, mówiąc „dobrze, dobrze, dobrze”, wtedy zobaczyłem z bliska jego pękaty tyłek z czterema pampersami, nałożonymi jeden na drugi, mokry tyłek, muchy brzęczały dookoła, a on uznał, że powinien wyjaśnić „nie przejmuj się muchami, to normalka, Kielonek, muchy to teraz moje wierne towarzyski, nawet ich nie przeganiam, bo i tak zawsze mnie w końcu odnajdą, mam wrażenie, że latają za mną ciągle te same muchy”, i pożegnał się tym razem na dobre skinieniem głowy, a ja zaraz zrobiłem to samo, poszedł zebrać w dzielnicy i patrzyłem, jak znika na horyzoncie, powiedziałem sobie, że któregoś dnia odbije mu na dobre, że przyjdzie do mnie z pytaniem „powiedz, kogo mam zabić”, rzecz jasna, nie przyłożę ręki do takiego planu, nigdy nie będę współnikiem morderstwa, morderstwo to zupełnie inna rzeczywistość, nie wiem, jak ludzie mogą zabijać, życie to rzecz podstawowa, matka często mi to

powtarzała i nawet jeśli nie żyje, nie zejść z tej drogi, jeśli więc myśli o zbrodni  
lęgną się w duszy gościa od pampersów, niech sobie popełnia taki czyn sam

poznałem Drukarza, jak poznaje się większość nowych osób w tym barze, zjawiają się nie wiadomo skąd i oto stają przede mną ze łzami w oczach, przemawiają drżącym głosem, a ten typ, mam na myśli Drukarza, chciał ze mną rozmawiać od pierwszego dnia, w którym postawił platfusy w barze „Śmierć kredytom”, naprawdę miał chęć rozmawiać, rozmawiać ze mną, z nikim innym, i krzyczał „chcę z tobą pogadać, chcę z tobą pogadać, to ciebie zwa Kielonek, co, chcę z tobą porozmawiać, mam ci wiele do powiedzenia, pozwolisz, że się dosiędę i zamówię flaszkę”, ja odgrywałem gościa, który nie wydaje się interesować jego historią, nasłuchiwałem się tyle, że aby to opisać, nie starczyłby ten zeszyt, potrzebowalibyśmy tomów, by opowiedzieć o wszystkich tych wyklętych królach, zatem Drukarz zdradzał zniecierpliwienie, a ja wpatrywałem się wciąż w kieliszek czerwonego wina jak filozof, który zadaje sobie pytanie, co taka ciecz może kryć w swej tajemnej głębi, i jeśli jest jakiś sekret, który mógłbym tu zdradzić, to że aby skłonić ludzi do mówienia, trzeba udawać dystans, obojętność, słowem, brak zainteresowania, nic lepszego nad ten stary jak świat fortel, by wywołać skutek, a wtedy ci szukający spowiednika ludzie czują się cokolwiek dotknięci, byli przekonani, że ich historia jest najbardziej niezwykła na świecie, najbardziej nietypowa, niecodzienna, najbardziej zaskakująca, chcą wam dowieść, że to, co mają do powiedzenia, jest równie ważne i godne uwagi jak kara śmierci, „dlaczego właśnie mnie”, udawałem zdziwienie, choć chciałem go wysłuchać, a on odpowiedział „bo ludzie mówią, że z ciebie równy gość”, roześmiałem się, podniosłem kieliszek czerwonego wina i łyknąłem, „i co ci o mnie mówili” zapytałem Drukarza, „jesteś wyrocznią dla tych ludzi wokół”, i znów się zaśmiałem, po czym oświadczyłem „gdyby mądrość zależała od długości brody, kozy byłyby filozofami”, Drukarz szeroko otworzył oczy, niemal zgiął się wpół, by powiedzieć „Kielonek, dlaczego rozmawiasz ze mną w ten sposób, szukam kogoś, kto mnie zrozumie, i po co do tego wpieprzać kozy i filozofów, mam to gdzieś”, powiedziałem, żeby się uspokoił, że z niego nie kpię, i dodałem „musieli ci powiedzieć coś jeszcze, nie, ludzie, którzy ci o mnie mówili”, przytaknął głową „tak, mówili mi, że widziałeś kamień węgielny tego baru, mówili, że Uparty Ślimak to twój serdeczny przyjaciel, że cię słucha”, uśmiechnąłem się, schlebiali mi te dobre słowa, takich rzeczy lubię słuchać, gość stawał się interesujący, „i co jeszcze, chyba to nie wszystko, czego się dowiedziałeś”, zaczął się zastanawiać, wznosząc oczy ku niebu, „podobno piszesz coś nawet o gościach z tego baru, piszesz w tym zeszycie, to ten zeszyt, prawda”, nie odpowiedziałem, położyłem dłoń na stronie, bo facet próbował odczytać moje gryzmoły, nie lubię tego, i nałamałem sobie kolejny kieliszek wina, dobrze przechylając butelkę, wypilem duszkiem i zapytałem „więc czego chcesz”, nagle podniósł głos „ja też chcę być w

twoim zeszycie, bo uczynisz niektórych z tych durni sławnymi, a przecież z nich wszystkich ja jestem najbardziej interesujący”, co za pyszałek, za kogo się gość uważa, „spokojnie, spokojnie, facet, kto ci powiedział, że jesteś tu najbardziej interesującą osobą, szczerze mówiąc, to czczy gadanina, daj mi jeden, choć jeden powód, by cię uznać za najbardziej interesującego człowieka spośród wszystkich dokoła”, i odpowiedział, nie tracąc czasu na zastanawianie „jestem najważniejszy ze wszystkich, bo zaliczyłem Francję, a to nie zdarza się każdemu, możesz mi wierzyć”, powiedział to naturalnie, głosem nieznoszącym sprzeciwu, Francja była jego jednostką miary, szczytem możliwości, postawić tam stopę to jak wznieść się do poziomu tych, którzy zawsze mają rację, cóż mogłem mu odpowiedzieć po takim wyznaniu, na próżno szukałem skutecznego argumentu, niczego nie znalazłem, musiałem skapitulować „cóż, siadaj, facet, przyjrzymy się temu z bliska”, przysiadł się, napełnił pustą szklanę, którą wziął ze stołu obok, łypnął na mnie, przepłukał gardło trzy razy i zaczął mi grozić „mówię ci, Kielonek, jeśli nie umieścisz mnie w swoim zeszycie, to będzie nic niewarte, nic a nic, i powiem ci jeszcze, że o moim życiu można by nakręcić film”, w końcu się uspokoił, zapadła długa cisza, w której słychać było prawie frywolne anioły przelatujące nad naszymi głowami, wciąż mu się przyglądałem, „dobra, od czego mam zacząć, co, od czego”, spytał zrezygnowany, nic nie powiedziałem, a on zaczął „prawdę mówiąc, nie żebym nienawidził Francuzów i Francuzek, nienawidzę tylko jednej jedynej Francuzki, słowo”, ta deklaracja to był dobry początek, byłem cicho jak nigdy, chciałem, by wyrzucił z siebie wszystko pod presją mego utkwionego w nim spojrzenia, wtedy wyciągnął ciężką artylerię „Francja, ach, Francja, nawet mi o tym nie mów, Kielonek, bo się porzygam”, tu splunął na ziemię, twarz mu steżała jak facjata goryla na widok kłusownika, który wkracza na jego teren, „dobra, zacznę od początku, ale słuchaj uważnie, bo to, co powiem, jest bardzo ważne, notuj, wszystko notuj, masz pisać, kiedy mówię, a przekonasz się, że nigdy nie należy ufać ludziom, przyjacielska rada, Kielonek”, naprawdę opanował sztukę gry na zwłokę, miałem chęć mu powiedzieć, by szedł prosto na bramkę, zamiast dryblować w polu karnym, a gdy nagryzmołem kilka pierwszych słów, rzekł „otóż chcę opowiedzieć ci o pewnej kobiecie, zobaczysz, jak mnie załatwiła, doprowadziła do ruiny, jak zrobiła ze mnie śmiecia nienadającego się do recyklingu, daję słowo, Kielonek”, przysunąłem się, cofnął się o parę centymetrów, jakby z nieznaných mi powodów chciał zachować dystans, i powiedział „Kielonek, nie wolno igrać z białymi, mówię ci, jeśli kiedyś spotkasz białą, idź swoją drogą, nie patrz na nią, przede wszystkim na nią nie patrz, jest zdolna do wszystkiego, nawet nie wiem, jak z dnia na dzień znalazłem się tu, w kraju, a przecież moje miejsce jest w Europie, we Francji, i teraz spędzam czas w tym barze i na piaskach Dzikiego Wybrzeża”, łyknął czerwonego wina, wytarł nos

dłonią i ciągnął „w gruncie rzeczy jeśli dzisiaj piję, jak piję, to rzecz jasna z powodu tej białej wiedźmy, wyssała ze mnie krew, możesz mi wierzyć, Kielonek, był ze mnie porządny gość, nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, co znaczy być kimś we Francji, ale byłem facetem, który zarabiał, facetem, który na czas płacił podatek dochodowy, facetem, który miał rachunek oszczędnościowy na pocztę, który miał nawet akcje paryskiej giełdy, facetem, który chciał pobierać emeryturę we Francji, bo emerytura w naszym kraju to gówno, mizéria, dno, żadnej pewności, wpada to przez przypadek jak wygrana w lotto, a najlepiej mieć chody w ministerstwie, są urzędnicy w tym kraju zdolni dorabiać się na emeryturach biedaków, którzy tyrali całe życie, ale mówię ci, nie byłem tam byle kim, pośród czarnych we Francji byłem znany, mówię ci, zasuwałem, nie leniłem się jak niektórzy emigranci, co to czekają na klatce, aż listonosz przyniesie im czek z ośrodka pomocy, nie potrzebowałem ochłapów, facet, który z tobą gada, pracował w wielkiej drukarni na przedmieściach Paryża, byłem nawet szefem ekipy i to ja zatrudniałem ludzi, bo potrafię odróżnić lenia od gościa, który zasuwa, i zatrudniałem nie tylko Murzynów, bo, tak między nami, Kielonek, nie tylko Murzyni są na tym świecie, do cholery, są też inne rasy, Murzyni nie mają monopolu na nędzę i bezrobocie, zatrudniałem też biednych bezrobotnych białych, żółtków i tak dalej, robiłem mieszankę, chcę, żebyś zrozumiał, że nie byłem tam byle kim i że byle Murzyn nie może zatrudniać sobie białych, którzy nas przecież kolonizowali, chrystianizowali, wpięprzali do ładowni statków, okładali batem, wdeptywali w ziemię, białych; którzy palili naszych bogów, białych, którzy dławili nasze powstania, demolowali nam królestwa, zatrudniałem więc białych, żółtych i tak dalej i mieszałem ich z innymi wyklętymi ludami Ziemi, takich negrów jak ja można było policzyć na palcach jednej ręki faceta, który padł ofiarą fatwy, możesz to sprawdzić, wszyscy ci potwierdzą, więc miałem dobrą pracę, dobrze płatną, słowo, drukowaliśmy »Paris-Matcha«, »VSD«, »Voici«, »Le Figaro«, »Les Échos«, byłem statecznym człowiekiem, ożeniłem się z Céline, dziewczyną z Wandei, wyposażoną w zadek jak tutejsze Murzynki, Céline była sekretarką zarządu w laboratorium farmaceutycznym w Colombes”, na tym etapie jego wyznań zadałem sobie pytanie, czy Drukarz nie blefuje, lecz widząc, z jakim przekonaniem mi to opowiada, musiałem mu wierzyć, on zaś mówił dalej „dodajmy, że spotkałem Céline w »Timis«”, to znany murzyński nocny lokal, w okolicach Pigalle, w osiemnastej dzielnicy, nie wiem, co robiła w tym lesie Murzynów w rui, pozbawionych manier, nawet jeśli można się było doliczyć kilku innych białych, ale te inne dorobiły się pośladków tak płaskich, że można by na nich prasować koszule, za to Céline olśniła mnie swoim kufrem, wzrostem, parą wielkich melonów wszczepionych w klatkę, tak że jurni jeźdźcy bali się do niej zbliżyć, a ja poszedłem prosto do niej jak żołnierz, który otrzymał nowe epolety,

przekroczyłem Rubikon, szepcząc sobie w duchu »*alea iacta est*«, i bez cienia wahania parłem naprzód, modląc się, by wszystko poszło jak po maśle, bo najgorsze dla junaka szukającego panny to zostać odrzuconym na środku parkietu, na oczach konkurentów, którzy wyją ze śmiechu, na szczęście, Bogu dzięki, byłem dobrze ubrany, miałem na sobie wieczorową koszulę od Christiana Diora, którą kupiłem przy Faubourg Saint-Honoré, blezer Yves Saint Laurenta, kupiony przy ulicy Matignon, buty z jaszczurki marki Weston, nabyte przy placu Madeleine, a skropiłem się »Le Mâle« Jean-Paul Gautiera, którą zmieszałem z męską wodą Lolity Lempickiej, i nie muszę już chyba wspominać o fryzurze, wyglądałem jak czarny amerykański aktor w czasach swej świetności, coś jak Sydney Poitier, czyli spoko, byłem *cool* i podałem dłoń partnerce, która siedziała na zamszowym pufie i dopalała papierosa cienkiego i długiego jak brzoza witka, dziewczyna od razu wstała, jakby czekała na tę chwilę, serce zaczęło mi walić, wykrecać piruety, nie mogłem w to uwierzyć i widziałem zawód w oczach konkurentów, którzy nagle stracili okazję do żartów, nie rozumieją, co znaczy *fair play*, powiedziałem sobie, że muszę pójść na całość, tańczyć jak nigdy dotąd, zostawić tej dziewczynie niezatarte wrażenie, tak by to ona poprosiła mnie o następny kawalek, i tego wieczoru dobrze się nam tańczyło, a potem, nie uwierzysz, Kielonek, dziewczyna poszła do mnie, bez gadania, bez dyskusji w rodzaju »no wiesz, prawie się nie znamy, potrzebuję czasu, trzeba się lepiej poznać, nie jestem z tych, co rozkładają nogi pierwszego wieczoru, chciałabym porozmawiać, wypić kawę, umówić się, później zobaczymy«, nie, nie powiedziała tego, zgodziła się pójść do mnie, nie wyjeżdżając z francuszczyzną z Sorbony wsiadłem do mojej renówki 19, jechała za mną toyota, a gdy dotarliśmy na miejsce, zaparkowaliśmy pod moim domem, całowaliśmy się w korytarzu, w windzie, na piętrze, przed drzwiami, których nie mogłem otworzyć, bo jednak byłem w trzy dupy zalany, zmierzałem prosto do celu, padliśmy na wykładzinę i tam zrobiłem swoje, jak słusznie się domyślasz, obracałem ją na wszystkie strony, dałem Francuzeczce popalić, świt zastał nas w objęciach, czuliśmy się nieswojo, bo wszystko poszło tak szybko, ale co chcesz, było tak dobrze, że niepewność sama ustąpiła, a Céline wyszła, powtarzając, że spędziła piękny wieczór, najpiękniejszy wieczór w jej życiu, że fajny ze mnie facet, wzięła numer telefonu, dała mi swój, a że dni mijają, dzwoniliśmy do siebie regularnie i rozmawiali całymi godzinami, opowiadaliśmy sobie szczegóły ostatniej nocy, opowiadaliśmy masę głupstw, idiotyzmów, jakie padają z ust zakochanych, kiedy miłość jest jeszcze w początkowej fazie, więc miałem jej mówić, że ją kocham, nie ukrywać swych uczuć, wyrażać się bez tabu, tak mi powiedziała i wtedy właśnie nauczyłem się mówić kobiecie po raz pierwszy kocham, a wiesz dobrze, że tu, w kraju, nikt nie mówi takich rzeczy, jeśli nie chce, by inni mieli go za frajera, tu

facet bzyka w nocy i może sobie darować tę ckliwą literaturę, ale we Francji to całkiem inna historia, nie wolno bawić się uczuciami, nie igra się z miłością i bardzo szybko zaproponowałem jej ślub, na co czekała od chwili naszego spotkania, twierdziła, że instynkt jej podpowiedział, iż jestem mężczyzną, z którym spędzi resztę swych dni; jakby sam Bóg kazał nam się połączyć, i Céline bardzo szybko przekonała rodziców, którzy bynajmniej nie są rasistami, bo zawsze głosowali na partię komunistyczną w wyborach samorządowych i na Zielonych w wyborach prezydenckich, pojechaliśmy do nich do Wandei, do miejscowości zwanej Noirmoutier, na wyspę połączoną mostem z kontynentem, a rodzice Céline stwierdzili, że jestem dobrze wychowanym młodzieńcem, inteligentnym, bystrym, ambitnym, szanującym walory republikańskie, z zadowoleniem słuchałem opisu mych szlachetnych zalet, zachwycali się moim strojem, to normalne, miałem na sobie garnitur na miarę z metką Francesco Smalto, powiedzieli też, że lubią głęboką Afrykę, Afrykę autentyczną, Afrykę tajemniczą, sawannę, czerwoną ziemię, dzikie zwierzęta, które brykają po rozległych równinach, dodali, że tylko imbecyle sądzą, że czarna Afryka nie ma szans albo że Afryka nie chce się rozwijać, i przeprosili za błędy Historii, zwłaszcza za szlak niewolniczy, za kolonizację, tłumienie niepodległości i tego typu bzdety, z których negrzy-integryści zrobili swego konika, nie chciałem zagłębiać się w tę przebrzmiałą debatę, dałem do zrozumienia, że kwestie z przeszłości to nie moja sprawa, że jestem człowiekiem patrzącym przed siebie, a na tym horyzoncie nie widać pożaru, powiedziałem im, że patrzę w przyszłość, zacząłem opowiadać o Kongu, a oni zapytali, z jakiego Konga pochodzę, ojciec zapytał, czy jestem z Konga belgijskiego, matka zapytała, czy z Konga francuskiego, powiedziałem, że w dzisiejszych czasach nie ma już Konga belgijskiego, powiedziałem, że dziś nie ma już Konga francuskiego, wyjaśniłem, że urodziłem się w Republice Konga, to znaczy w mniejszym Kongu, a ojciec zawołał »jasne, że z małego Konga, z naszej pięknej, reprezentacyjnej byłej kolonii, podczas okupacji generał de Gaulle uczynił nawet Brazzaville stolicą wolnej Francji, ach, Kongo, tak, ziemia ze snu, ziemia wolności, zresztą to w tym kraju najlepiej posługują się naszym językiem, nawet lepiej niż w samej Francji, mówię panu«, matka Céline, nieco zażenowana, zarzuciła mężowi, że używa słowa »kolonia«, mówiąc o moim kraju, powiedziała »ależ Józefie, kolonia to nie jest najwłaściwsze słowo, przecież wiesz«, a ojciec powiedział, że to słowo mu się wymysknęło i że chciał raczej powiedzieć »terytorium«, matka zaś powiedziała, że »kolonia« i »terytorium« to jedno i to samo, że to masło maślane, wtedy Céline się uniosła, przypominała, że nie przyjechaliśmy tu dyskutować o maśle maślanym, o geografii czy historii, a ojciec Józef powiedział »cóż, to wyśmienita okazja, by otworzyć butelkę bordeaux, prawda« i otworzył bordeaux, napiliśmy się, skorzy-

staliśmy z Céline z tej rozluźnionej atmosfery, by powiadomić ich o naszym rychłym ślubie, a papa, zaskoczony, omal nie zachłysnął się winem, powiedział »ta dzisiejsza młodzież, widzę, że nie tracicie czasu, co, kiedyś musieliśmy wzdychać, urabiać rodzinę, chcecie wziąć ślub intercity, czy jak«, a matka Céline kopnęła męża w kostkę, po czym powiedziała »miłość nie wybiera, przecież wiesz, Józefie«, i mimo wszystko dali nam swe błogosławieństwo, bo tak czy siak, Céline nie zostawiła im innego wyjścia, mogli się tylko zgodzić, i jej rodzice przybyli do Paryża na tę uroczystość, było nas nie więcej niż pięćdziesiąt osób na bankiecie w małej sali w Châtenay-Malabry, byli przyjaciele Céline, moi koledzy z pracy i kilku znajomych, w większości Strażacy, a gdy mówię »Strażacy«, mój drogi Kielonku, nie należy ich mylić z facetami, którzy gaszą pożary i których zwa »sapeurs«, nie, Strażacy to goście z paryskiego środowiska czarnych, którzy należą do SAPE, stowarzyszenia Szpanerów, Amantów, Pedantów i Elegantów, a spośród Strażaków byli tam tego dnia bardzo znamienici goście, jak Djo Ballard, Doktor Limane, Michel Macchabée, Moulé Moulé, Moki, Benos, Prefekt i wielu innych”

„mam nadzieję, że notujesz wszystko, co ci opowiadam, hę, więc mówiłem, że wzięliśmy ślub, mieliśmy teraz życie przed sobą, musieliśmy je zaplanować, nadać mu kierunek, a że oboje mieliśmy dobrą pracę, kupiliśmy na kredyt wielki dom, chałupę jak się patrzy, wiedliśmy spokojny żywot na przedmieściu, o pół godziny drogi od Paryża, gdyż chcieliśmy żyć szczęśliwie, chcieliśmy zwłaszcza być z dala od czarnych, nie jestem rasistą, ale musisz wiedzieć, że najgorszym wrogiem mieszanych małżeństw nie zawsze jest biały spod numeru obok, najczęściej jest to Murzyn, powtarzam, nie jestem rasistą, Kielonek, mówię, jak jest, i tym gorzej dla moralistów, którzy się ze mną nie zgodzą, mam ich w dupie, nie mam zamiaru pisać otwartych listów do wszystkich czarnych we Francji, by kogokolwiek piętnować, otóż inni negrzy, widząc cię z białą, myślą, że oni także mogliby jej dosiąść, bo, powiadają sobie, jeśli normalna i zdrowa na umyśle biała poderwała goryla z Konga, równie dobrze może pójść z całym zoo, z całym rezerwatem, wiesz, co mam na myśli, hę, dobra, zostawmy to, nie mam zamiaru pograżać rasy, która wciąż liże rany, ta rasa jest tym, czym jest, dość, że Céline i ja chcieliśmy żyć z dala od paryskiego zgiełku, zazdrości negrów i ich klasycznej komedii, mówiliśmy sobie, że by żyć szczęśliwie, trzeba żyć w ukryciu, mówię ci, to było piękne życie, życie w różowych kolorach, z naszymi córkami, bliźniaczkami, które przyszły na świat w dwa lata po ślubie, mulatki o jasnych oczach, mówię ci, nie było lepszego życia, wzorowa para, choć złe języki w Paryżu twierdziły, że czarno-białe pary nigdy nie trwają długo, że nigdy nie widziano, by mąż i żona doczekali siwizny, żeby to zadziało, Murzyn musi przestać być



czarny, musi się zmienić, zejść z kursu, pójść na ustępstwa, wyprzeć się swoich trzy razy, zanim kur zapieje, uciec od kłopotliwej rodziny, słowem, musi mieć czarną skórę i nosić białą maskę, a nasze małżeństwo, Kielonek, wytrzymało próbę, nie widziałem niczego, co mogłoby nam zaszkodzić, nie musiałem nosić maski, by ukryć czarną skórę, sam byłem dumny z tego, że jestem Murzynem, ciągle nim jestem i będę do śmierci, jestem dumny z mojej murzyńskiej kultury, wiesz, o czym mówię, co, właśnie dlatego Céline mnie szanowała, wszystko było dobrze, byłem głową rodziny, niebo było błękitne, ptaki o barwnych piórach siadały na drzewach wokół naszego domu, który pomalowałem na zielono, bardzo lubię ten kolor, sąsiedzi nazywali go »zielonym domem«, żyliśmy jak w bajce, Kielonek, lecz gdy niebo jest zbyt błękitne, musisz wiedzieć, że coś może je przyćmić, nadmiar słońca zabija uczucie, o czym miałem przekonać się na własnej skórze”

„i któregoś dnia nasze piękne błękitne niebo zachmurzyło się, ptaszki o barwnych piórach odleciały bez pożegnania i nie wróciły nazajutrz zwiastować świtu jak zwykle, zastąpiły je ptaki nieszczęścia z ciężkimi skrzydłami, zakrakały, uderzyły twardymi dziobami w pień dobrze zakorzonego drzewa naszego związku i w tym właśnie czasie wyszła na jaw historia z moim pierwszym synem, którego miałem z jedną dziewczyną z Antyli, gdy przyjechałem do Francji i byłem jeszcze studentem politechniki CNAM, ta dziewczyna z Antyli groziła mi teraz sądem, bo przez cztery lata nie płaciłem jej alimentów i takie tam pierdoły, zaatakowałem wściekle jak byk, by skrócić widowisko, którego spodziewają się po nim *aficionados*, wziąłem dobrą panią adwokat, która wykazała, że to przez dziewczynę z Antyli nie mogłem wywiązywać się z ojcowskich obowiązków, sąd orzekł, że mój syn będzie mieszkał z nami, gdyż chciałem osobiście zapewnić mu edukację, dać przyszłość, w naszym zielonym domu było dużo miejsca, Céline zgadzała się ze mną, wspierała, powiedziała, że to moja krew, że nie mogę zostawiać mojej progenitury na łaskę losu jak niczego nieświadomy ojciec, poszedłem w tym kierunku i mój syn zamieszkał z nami, niestety, zaczął się zadawać z młodocianą hałastrą z dzielnicy, robiłem wszystko, by sprowadzić go na właściwą drogę, nic z tego, unosił się, kpił ze świetnej przyszłości, którą mu obiecałem, chciał na mnie podnieść rękę, zdajesz sobie sprawę, a ja przestałem rozumieć, na jakim świecie żyję, stawiałem sobie pytanie, od kiedy to dzieci biją się z ojcami, ale dobrze wiedziałem, że mną gardzi, czułem to, nigdy się nie pogodził, że zostawiłem jego matkę, że poślubiłem Céline, na dodatek białą, więc uważał mnie za zdrajcę, przystosowanego, za Murzyna z puszki po kakao, faceta z kompleksami, niewolnika białego ciała i nóżek w galarecie, to był przedsionek piekła, ale to był

mój syn, a najbardziej doprowadzał mnie do szału, gdy mówił, że widział Céline z Afrykanami z rogu, że jeden z nich, imieniem Ferdynand, jest kochankiem mojej żony, to wcale nie było przyjemne, ani trochę, brałem to za zwykłą prowokację z jego strony, bo Céline nie ośmieliłaby się zrobić mi czegoś takiego, wiedziała, co myślę o innych Murzynach, choć nie jestem rasistą, jeszcze raz podkreślam, więc mój syn pewnie kłamie jak z nut, mówiłem sobie i nie przywiązywałem do tego wagi, kładłem to na karb jego napadów złości, które mu się zdarzały, i nie próbowałem sprawdzić tego, co w moich oczach było zwykłym łgarstwem, to prawda, że starałem się ułatwiać życie Céline, zawsze mogła się wyrwać od domowych zajęć, bo w przypadku białej nigdy nie wolno krępować jej swobody, to dla niej bardzo ważne, nie nalegałem już jak w pierwszych dniach po ślubie, pozwalałem jej chodzić do przyjaciółek i czasem to ja opiekowałem się dziećmi, kiedy miałem dzień wolny, wymienialiśmy się, słuchaj uważnie, Kielonek, zaraz będzie ciekawie, więc pewnego dnia serce mi zamarło, gdy znalazłem pływającą w muszli klozetowej zieloną prezerwatywę, wielką prezerwatywę, przynajmniej dwa razy dłuższą od mojego członka, który i tak jest niczego sobie, jak chcesz, mogę ci pokazać, więc pomyślałem, że to syn sprowadził do domu jakąś białą czy czarną lafiryndę z dzielnicy, choć go przestrzegalem, co z tego, że skończył osiemnaście lat, powiedz, co by było, gdyby z jego powodu dziewczyna zaszła w ciążę, he, co mógłby dać temu biednemu dziecku, co, tego rodzaju pytania zaprzętały mi głowę, nie mogłem wyobrazić sobie syna ujeżdżającego laskę, to niemożliwe, nigdy nie widziałem, by kręcił się koło dziewczyn, zadawałem sobie nawet pytanie, czy nie jest czasem opóźniony w tych sprawach, ale niczego nigdy nie można być pewnym, nigdy nie należy myśleć, że spokojne dziecko nie jest zdolne do najgorszego, mówiłem też sobie, że byłaby to oznaka braku szacunku dla mnie, gdyby zaspokajał swe najniższe żądze w domu, czujesz temat, Kielonek, i gdy tak rozmyślałem, mając przed oczyma obraz wielkiego kondoma, obraz jak z surrealistycznego malowidła, inne dziwne pomysły cisnęły mi się do głowy, nie pozwalały mi zasnąć, mówiłem sobie, że może ktoś inny był w domu, czemu nie amant Céline, czemu nie ten Afrykanin z rogu, Ferdynand, o którym mówił mi syn, i rosła we mnie wściekłość, widziałem, jak wszystko się wali, jak umyka mi szczęście, nie mogłem pojąć, jak to się stało, że diabeł urządził sobie burdel w moim rajskim ogrodzie, byłem zdolny do wszystkiego, myślałem o zabójstwie przy użyciu noża, śrubokręta, siekiery, młotka i nie patrzyłem już na Céline w ten sam sposób, wydała mi się brudna, zhańbiona, nieczysta, wiarołomna, musiałem zabić ją i jej amanta, to ona rozpałała tego Ferdynanda, w wyzywający sposób poruszając zadkiem, musiałem zabić ich oboje, zastawić pułapkę, to łatwe, nakryć białą, która was zdradza z negrem, wystarczy powiedzieć coś złego o Afryce i Murzynach, wystarczy jej powiedzieć, że czarni

zdechają z głodu, że to lenie, że prowadzą etniczne wojny, rozstrzygają spory za pomocą maczet, mieszkają w lepiankach, a biała kobieta zdemaskuje się sama, lecz powiedziałem sobie, że to niedobry pomysł dyskutować z nią o tym, wyszedłbym na rasistę, bez względu na pobudki, zresztą nie miałem żadnego dowodu, więc przeszedłem nad tym incydentem do porządku dziennego, życie toczyło się dalej, miałem sobie za złe całą tę paranoję, przecież się nie pali, jednak wciąż nie umiałem sobie wyjaśnić obecności kondoma, a że licho nie śpi, kilka tygodni po tym pozornym powrocie spokoju znalazłem kolejny wielki kondom marki Manix, który pływał w bidecie, bo problem z kondomami polega na tym, że już ci się wydaje, że zniknął w głębi muszli, gdy pociągnąłeś spluczkę, a on później wypływa, więc powiedziałem sobie, że tym razem nie odpuszczę, nie jestem przecież idiotą, nie dam zielonego światła, nie ustąpię pierwszeństwa byle Afrykanom, którzy przychodzą obrabiać mi żonę na moim jebodromie, postanowiłem przejść do zdecydowanych działań, choćbym miał wszystko rozwalić, musiałem przeprowadzić śledztwo jak prawdziwy detektyw, kondom marki Manix nie będzie mi niszczył życia, musiałem dociec, zrozumieć, co dzieje się w domu, kiedy mnie tu nie ma, tak postanowiłem i pewnego dnia, był to poniedziałek, szary poniedziałek, powiedziałem Céline, że idę do pracy, że wrócę bardzo późno z powodu nowego pisma, które ma się ukazać w ciągu doby, łyknęła tę historyjkę, bo nigdy, ale to nigdy jej nie okłamałem, zawsze byłem z nią szczery, wyszedłem, wsiałem do samochodu, przez godzinę włączyłem się po centrum miasta, pijąc gorzką kawę, paląc jak smok, zadzwoniłem do pracy, powiedziałem, że biorę dzień wolny z powodu ważnej sprawy rodzinnej, żłopałem kawę jak wodę, zamówiłem nawet pół butelki dżinu, bo musiałem znaleźć się w innym wymiarze w chwili, gdy zaskoczę Céline z Ferdynandem, bezczelnym typem, który ośmiela się macić mój wodopój, i w tym małym barze przeglądałem w myślach film o naszym spotkaniu, znów widziałem Céline pierwszego wieczoru w »Timis«, widziałem ją spoconą, jak mnie całuje, widziałem, jak kochamy się w windzie, na wykładzinie, słyszałem, jak krzyczy z rozkoszy, i nagle, z wściekłości, walnąłem pięścią w kierownicę, rozległ się klakson, powiedziałem sobie, przygryzając wargę »a jeśli tak samo krzyczy z Ferdynandem, kiedy się kochają, co«, rzekłem sobie jeszcze »w gruncie rzeczy jestem żalonym dupkiem, dotąd wierzyłem, że tylko ja mogę wyprawić ją do siódmego nieba, że tylko ja mogę doprowadzić ją do takich spazmów, a oto podłączyła się jakaś pobratymcza świnią i może ta pobratymcza świnią jest lepsza ode mnie, i posyła ją do ósmego, może dziewiątego nieba, ale to się okaże dziś wieczór«, i przyjechałem do naszej dzielnicy z czarnymi myślami w głowie, zaparkowałem kilka przecznic dalej, modliłem się przez chwilę, była prawie osiemnasta, siedłem kilka minut, zielony dom był o parę kroków, wszedłem tylnym wejściem, tak, wypilem za dużo, z

trudem skradałem się kocim krokiem, by dotrzeć do sypialni, ruchy miałem niezdarne, ale co tam, szedłem naprzód, zobaczyłem uchylone drzwi, pchnąłem je, wewnątrz nie było nikogo, poszedłem więc korytarzem, przez jadalnię, dotarłem do pokoju mego pierworodnego, serce mocno mi biło, z jednej strony chciałem znać prawdę, z drugiej, bałem się tego, co odkryję, i usłyszałem gwar w jego pokoju, śmiechy, potem skrzypienie łóżka, jęki i świst szpicruty, skoczyłem, drzwi puściły jak w filmach o Colombo czy Maigrecie i oto, Kielonek, nigdy nie uwierzysz, zobaczyłem Céline z moim synem w łóżku, splecionych w pozycji biednego Chrystusa de Bomba, ale to Céline siedziała na moim synu i dzierżyła szpicrutę, byli spoceni, pościel spadła na podłogę, przysięgam ci, Kielonek, zacząłem krzyczeć jak szalony ptak, jaaaaaaa-ahhhhhhhh, nie wiedziałem, co robić, stałem roztrzęsiony, ziemia usuwała mi się spod nóg, wreszcie rzuciłem się na syna, przygniotłem go do ziemi, chciałem go udusić, ale się wyrwał, walnął mnie pięścią w żołądek, próbowałem się podnieść, Céline, która wrzeszczała w kącie, przyszła mu z pomocą i oboje przyparli mnie do muru, byłem zbyt pijany, by prowadzić regularną bitwę z dwójką przeciwników, których jednoczyło zbliżenie ciał i współudział w grzechu pierworodnym, syn zaczął okładać mnie szpicrutą, której używali do swych świńskich zabaw, walił mnie pięścią w brzuch, po głowie, wszędzie, mówię ci, Kielonek, i wtedy zemdlałem, wezwali policję, powiedzieli policjantom, że zwariowałem, a moje dwie córki, które bawiły się w ogrodzie, płakały, Kielonek, daję słowo, kiedy zbudziłem się nazajutrz, nic nie rozumiałem, byłem w domu wariatów, w zakładzie, tak, w zakładzie, gdzie czas płynął powoli, gdzie dzień i noc otaczali nas ludzie w białych kitlach, wozili mnie na inwalidzkim wózku jak australopiteka, ogolili mi głowę i związali ręce, bo bali się, że porozwalam wszystko na mej drodze, a inni wariaci mieli niezły ubaw »e, chłopaki, chodźcie posłuchać tego głupka, spójrzcie na tego gościa, wrzeszczy całymi dniami i myśli, że synalek posuwa mu żonę, ach, ach, ach, to dopiero prawdziwy wariat«, i umieszczono mnie na oddziale dla niebezpiecznych szaleńców, którzy bez przerwy krzyczą, ja też zacząłem krzyczeć, bo na tym oddziale trzeba krzyczeć, jeśli tego nie robisz, inni furiaci biorą cię w obroty, tłumaczyłem, że nie jestem wariatem, że syn obrabia mi żonę, że uprawia to samo poletko co ja, że nakryłem żonę i syna nagich, nagich jak robaki, jedno na drugim, w pozycji biednego Chrystusa de Bomba, powiedziałem, że mieli nawet szpicrutę, że żona ją trzymała, jakby uprawiała filozofię w buduarze, słyszałem zewsząd śmiechy i wtedy właśnie Murzynka w białym fartuchu podała mi szklanekę wody, którą potraktowałem z główki, to spowodowało, że mój inwalidzki wózek odjechał w głąb sali, głównej sali oddziału, przybiegł ordynator, za nim sześciu pielęgniarzy, i słyszałem, jak ordynator przemawia z wyżyn państwowego doktoratu z psychiatrii »zaciśnijcie mu pasy, mówiłem, żeby nie odstępować go

nawet na krok, musi dostawać podwójną dawkę leków, zróbcie mu zastrzyk i niech, do cholery, wreszcie się uspokoi», i wstrzyknęli mi coś na sen, sądząc, że mam delirium, że w kółko mówię to samo, że zmyśliłem historię o rżnięciu mojej żony przez syna, tymczasem Céline rozpowiadała wkoło, że już dawno postradałem zmysły, że jestem moczymordą, że maltretuję syna, a ten potwierdzał kłamstwa Céline, więc po tych majakach dostałem zastrzyk, chyba długo spałem, a gdy się zbudziłem, nie pamiętałem niczego, naprawdę wydawało mi się, że w końcu trafiłem do nieba, bo wszędzie były obłoki, stubarwne motyle fruwały niewysoko, i poprosiłem o widzenie z samym Bogiem, nie z jego aniołami, powiedziałem, że będę mówił tylko w obecności Boga Ojca i że mam gdzieś anioły i inne podrzędne niebiańskie byty, patrzyli na mnie wielkimi oczami, mówili, żebym się uspokoił, mówili, że wkrótce Bóg Ojciec mnie przyjmie, że to jest przewidziane, że faktycznie znalazłem się w raju, i zobaczyłem negra wielkości naturalnej jak rzeźba Ousmane'a Sowa, był w podeszłym wieku, ubrany w biały fartuch, zbliżył się uroczystym krokiem, jakby miał zamiar odprawić tu mszę i przedstawił mi się jako Bóg Wszechmogący, skoczyłem jak oparzony, zdenerwowałem się, powiedziałem, że to straszne bluźnierstwo, niewybaczalna herezja, powiedziałem, że ten typ wcale nie jest Bogiem, powiedziałem, że Bóg nie może być czarny, i wszyscy znów spojrzeli na mnie wielkimi oczami, i sprowadzili innego mężczyznę w fartuchu, był równie wysoki, z siwymi włosami, gęstą brodą, niebieskimi oczami, bardzo białą skórą, byłem jak w transie, miałem drgawki, jakby wszedł we mnie Duch Święty, i zacząłem przemawiać do samego Boga, a gdy skończyłem mą spowiedź, głos uwiązał mi w gardle, nie mogłem wykrztusić słowa, naprawdę zwariowałem, mówię ci, nie mogłem się odezwać, widziałem ludzi podwójnie, miałem wrażenie, że ciągle słyszę gwar wokół, że ludzie mówią za głośno, moja żona nie przyszła się ze mną zobaczyć, tym bardziej syn, i nie poznawałem już nawet kolegów z pracy, którzy składali mi wizyty z kwiatami i ostatnim numerem »Paris-Matcha« w ręku, tak ich wyzywałem, że po miesiącu nikt już nie przychodził odwiedzać mnie w zakładzie, a żona, za radą pewnego afrykańskiego adwokata pochodzącego z naszego kraju, zażądała rozwodu, nikt nie mógł bronić jej lepiej niż facet z moich stron, facet, który urodził się w tej dzielnicy, mówię ci, jestem pewien, że ten adwokacina świntuszył w łóżku z Céline, bo ona, kiedy zobaczy Murzyna, musi go skonsumować, przysięgam, wie, jak bez wysiłku kochać się z Murzynom, i dostała rozwód, ponoć prawo jest w takich wypadkach klarowne, nikt nie będzie narzucał jej pomyśleńca, który w dodatku może być niebezpieczny, męża bez pełni władz umysłowych, paragraf i ustęp, nie pamiętam już który, kodeksu cywilnego z 1804 roku, zatem powierzono jej też opiekę nad dziećmi, a przede wszystkim doprowadziła do tego, że mnie wydalono, tym łatwiej, że tu, w kraju, moi rodzice

pragnęli tego samego, gdy dowiedzieli się o tej dziwnej przygodzie, a ja zaniemówiłem na całe miesiące poprzedzające mój powrót, w gruncie rzeczy odzyskałem trzeźwość umysłu dopiero w dniu, w którym samolot lądował, gdy zobaczyłem moją rodzinę w komplecie, ich smutne spojrzenia, trochę zawstydzone, było im ciężko, wierz mi, zacząłem więc pić, by odpędzić prześladowające mnie zjawy, nie chciałem mieszkać u rodziców, odrzuciłem to upokorzenie, chodziłem dzień i noc i tak teraz wyglądam, mam zgarbione plecy jak starzec, chodzę brzegiem morza, rozmawiam z cieniami, a po południu zjawiam się tutaj, rozumiesz ten ból, ale powiedz mi wprost, Kielonek, ty także, w głębi duszy, myślisz, że jestem wariatem, gościem niespełna rozumu, czy kiedy z tobą rozmawiam, wyglądam na wariata, powiedz prawdę, co, obiecaj, że umieścisz, co ci opowiedziałem, w zeszycie, że nie podrzesz notatek, pamiętaj, jeśli tego nie zrobisz, twój zeszyt będzie nic niewart, nic a nic, czy ty wiesz, że jestem najważniejszy z gości, którzy tu przychodzą, co, tak, jestem najważniejszy, bo zaliczyłem Francję, a byle kretyń nie może tego o sobie powiedzieć”

odtąd co dzień widzę, jak Drukarz opowiada komuś innemu to, co nazywa swoją dziwną przygodą, a przecież dawał mi do zrozumienia, że jestem jedynym, któremu się zwierzył, naprawdę myślę, że coś jest nie tak z jego głową, ma okresy trzeźwości, zwłaszcza popołudniami, jednak sędzę, że przez tę historię musiał dostać bzika

lubię dyskutować z właścicielem baru „Śmierć kredytem”, wszyscy wiedzą, że nie jest żonaty, nie ma dzieci, uważa, że to wszystko jest tylko ciężarem, że niełatwo być żonatym mężczyzną, za dużo problemów, za dużo zawracania głowy, z tego właśnie powodu mówi często, że złączył się po grób z barem „Śmierć kredytem”, związek, który trwa od lat, to prawda, że widzieliśmy czasem, jak wchodzi z kobietą na górę, były to zwykle kobiety przy kości, płaskie go nie interesują, widzieliśmy więc czasem, jak się tam zamyka, wraca do baru zziębnięty, z uśmiechem na ustach i było dla wszystkich jasne, że Uparty Ślimak właśnie sobie bzyknął, i nagle miał wielki gest, stawiał każdemu, kto tylko poprosił, kilka razy widziałem jego starych rodziców, przyjeżdżających z Ngolobondo, ich rodzinnej wioski, Uparty Ślimak i ojciec są do siebie podobni jak dwie krople wody, ale nigdy słowem nie wspomniał o rodzicach, żyją, a jakże, pewnie jeszcze starsi i bardziej zmęczeni, woleli wrócić do wioski po owej dyspacie wywołanej otwarciem baru przez ich syna, ci, którzy ich poznali, uważają, że kochają swego jedynaka, że zrobili wszystko, by poszedł do szkoły, pracował w biurze, został urzędnikiem na pełnym etacie, ale sprawy potoczyły się w inny sposób, los zdecydował inaczej, nie chcę powiedzieć, że Ślimak przesiedział szkołę w oślej ławce, jego kolegą był obecny minister rolnictwa Albert Zou Loukia, nie, właściciel baru „Śmierć kredytem” nie lenił się w szkole, wręcz przeciwnie, mówią nawet, że był zdolny, bardzo zdolny, pisał wypracowania, lubił geografii, arytmetykę i inne pierdoły, wciąż może sypać z pamięci całymi wierszami, nie zastanawiając się nad żadnym słowem, a to już mnie przerasta, często próbowałem, lecz nigdy nie wyrecytowałem więcej niż dwóch zwrotek, tymczasem nasz barman lubi *Śmierć wilka* Alfreda de Vigny, wciąż deklamuje ten wiersz i mam łzy w oczach, gdy słyszę ostatnie wersy, jak gdyby te słowa Alfreda de Vigny zostały już wówczas napisane specjalnie dla niego, i trzeba słyszeć Upartego Ślimaka, gdy szepcze „jęczeć, płakać, modlić się także jest słabością, Energicznie wypełniaj swoje powołanie / Na drodze, na którą powołał cię Los, / Potem, jak ja, cierp i odejdz bez słowa”, z dumą przypomina, że zdał maturę za pierwszym podejściem, że mógł iść dalej, lecz niestety, nie uprzedzając rodziców, rzucił studia, w tych czasach to było w modzie, wszyscy szukali szczęścia poza krajem, były to już wtedy lata chudych krów, ludzie na stanowiskach załatwiali posady krewnym, nawet niekompetentnym, a Uparty Ślimak przemierzał Angolę, Gabon, Czad, bo zawsze chciał mieć własną firmę, nie odpowiadać przed nikim, w końcu to podróż do Kamerunu skłoniła go do otwarcia własnego lokalu, ze wszystkimi skutkami, które opisałem na początku zeszytu i do których nie wrócę, bo nawet pijany czuję wstręt do zbędnych powtórzeń czy też dopowiedzeń, jak u

niektórych pisarzy, gaduł nie z tej ziemi, co to w każdej książce odgrzewają wam te same kotlety, dając do zrozumienia, że tworzą własny świat, srali muszki”



co tam, Kielonek, wszystko dobrze”, spytał mnie znów parę dni temu Uparty Ślimak, „może być”, powiedziałem, a on na to, całkiem serio, „Kielonek, myślę, że brak ci czułości, powinieneś znaleźć sobie jakąś niunię, bzyknać sobie czasami, to tak dobrze robi, naprawdę dobrze”, „w moim wieku to bez znaczenia”, odciąłem się zaraz, „a ja ci mówię, że powinieneś zacząć życie od nowa, wiek nie ma tu nic do rzeczy”, „no nie, kto zechce takiego ochlapusa, Ślimak, chyba żartujesz”, „ani trochę, mówię poważnie, co powiesz o Sphuczce, niezła sztuka, co”, ciągnął, „mój Boże, tylko nie Sphuczka, jest dla mnie ciut za gruba, nie wydołę”, powiedziałem i zacząłem się śmiać, zaśmialiśmy się obaj i wtedy przypomniałem sobie, jak ostatnim razem Sphuczka zjawiała się w barze „Śmierć kredytom”, pryncypał chciał mi wsadzić na kark kawał baby, myślałem, że żartuje, bo Sphuczka pije więcej ode mnie, źłocie jak te beczki Danaid, które Libańczycy sprzedają na targu, Sphuczka pije i pije, i nawet się nie upija, a gdy tak pije, idzie sikać za bar, zamiast pójść do toalety jak wszyscy; a kiedy sika za barem, oddaje mocz przez dziesięć minut bez przerwy, leci to i leci, jakby tam postawiono fontannę publiczną, to nie blef, to niewiarygodne, lecz prawdziwe, wszyscy, którzy próbowali stanąć z nią do zawodów w szczaniu na czas nieokreślony, musieli złożyć broń i odejść pobici, zmiażdżeni, rozjechani walcem, ośmieszeni, wytarzani w pyłe, w kukurydzianej mące

ostatnim razem gdy Sphuczka się tu zjawiała, przystawiła się do pewnego gościa, którego nie widziano jeszcze w barze „Śmierć kredytom”, zaczęło się bezpośrednim prostym w wykonaniu Sphuczki, coś w stylu niewidzialnego ciosu, jaki w latach sześćdziesiątych Mohammed Ali wymierzył Sonny’emu Listonowi, by zachować tytuł mistrza świata, „ej, co tak paradujesz jak kogut po podwórku, jeśli potrafisz szczać dłużej ode mnie, pozwolę ci się przelecieć, kiedy zechcesz, jak zechcesz, i to za darmo, masz moje słowo”, rzekła, a typ odparł „mądrała, nie wiesz, z kim rozmawiasz, przyjmuję twoje wyzwanie, Sphuczko, ale później faktycznie cię przelecę, bo lubię grube zadki i wielki cyc”, i zaśmialiśmy się, bo gość był naprawdę zarozumiałcem jakich mało, nie wiedział, w co się pakuje, gdyby kiedykolwiek słyszał o tej kobiecie, nie ośmieliłby się głosić tak nierozważnych słów, więc patrzyliśmy tylko rozbawieni, widząc już, jak ten osobnik leży trupem na ziemi, dodajmy, że Sphuczka była dość rozdrażniona wypowiedzią intruza, ona, królowa całego tego miasta w szczaniu, najlepsza w dzielnicy, toteż odpowiedziała gościowi „zwariowałeś, synku czy co, nim nazwiesz mnie grubaską, wygraj najpierw zakład, niemal o wszystkim nie masz prawie nic do powiedzenia, nie możesz mnie pokonać, to od razu widać”, „owszem, mogę,

pulpecie”, odparł tamten, „nie, mały nędzny bufonie, trzeba być głupkiem, żeby się ze mną mierzyć, spytaj tylko tych gości, powiedzą ci, kim jestem”, odcięła się Spłuczka, „nie, moja ty pulardo, wcale się nie wymądrzam, na ogół robię to, co powiedziałem”, rzucił tamten, „ale z ciebie pyszałek, wydaje ci się, że skoro masz taką gadkę, jesteś do czegoś zdolny, mówię ci, że nie jesteś” powiedziała Spłuczka, a ja, patrząc na wszystko z dala, myślałem, że to blaga, że ci dwoje znali się wcześniej i odgrywają przed nami scenkę ze sztuki Guillaume’a Oyono Mbii *Trzech zalotników... jeden mąż*, w każdym razie jakąś komedię, mówiłem sobie, że znają się jak łyse konie, jak typy spod ciemnej gwiazdy w tym naszym dziwnym mieście, lecz to nie była komedia, a zarozumiały typek zgrywał odważnego, powtarzał, że jest niepokonany, nie wiedząc, co go czeka za zakrętem rzeki, ubrany był jak waźniak, czarna marynara, biała koszula, czerwony krawat, lakierki, i musiał nas mieć za łachudry, kmiotków, słowem, proletariuszy wszystkich krajów, którzy nie zrozumieli, że trzeba się łączyć, zachodziliśmy w głowę, jak to możliwe, że jego rozprostowane, ściągnięte z tyłu włosy błyszczą o tej białej suchej porze, kiedy sierpniowe światło ledwie przenika przez chmury, lecz elegancik nie wybiera pory, żeby się popisywać, jest elegancikiem nawet w czasie suszy, zatem nawet w środku najczarniejszej nocy włosy tego typka lśniły jak teraz, musiał spędzać całe godziny przed lustrem, gorąca prostownica to był jego fetysz, gładkie włosy upodabniały go nieco do rasy białej w kraju, gdzie kędzierzawa czupryna to największe przekleństwo, w dodatku dużo palił, wykonując przy tym wielkopańskie gesty, i zaczął się przedstawiać, powiedział „mam na imię Kazimierz, jakby ktoś nie wiedział, zmierzam prosto do celu, znają mnie tu i tam, a żyję na poziomie, żebyście nie myśleli, jeżeli tu wstąpiłem, to tylko na jednego, nie jestem pijaczną jak wy, lubię pewien poziom” i wtedy powiedziałem sobie „o, w mordę, co to za gość, że gada w ten sposób, czy choć pomyślał, jaki tu będzie Sajgon”, i zaraz poczuliśmy antypatię do tego Kazimierza, który twierdził, że żyje na poziomie, który nas wszystkich nazwał pijaczkami, czemu nie poszedł napić się gdzie indziej, do gości na poziomie jak on, hę, dlaczego zjawił się tu, by nam wypominać, jakie z nas mizerald, niebieskie ptaki, więc Spłuczka miała rację, mówiąc, że ten typ niemal o wszystkim nie ma prawie nic do powiedzenia, i pomyślałem też sobie „tak czy owak, co ma być, to będzie, kości zostały rzucone”, bo czego tu szuka typ w stroju notariusza, grabarza, maestro z opery, której to gównianej muzyki słuchają ludzie na poziomie, jak Kazimierz, klaszcza, nawet nie rozumiejąc słów, co to za muzyka, przy której nawet nie chce się ruszyć tyłka, przy której nie można powiedzieć innym „popatrzcie, jak tańczę”, co to za muzyka, jeśli nie można się spocić, otrzeć o wzgórek Wenery, by doprowadzić kobietę do myśli o fatalnym

akcie, ja, kiedy tańczyłem, chciałem rzec, kiedy byłem jeszcze podobny do ludzi, lubiłem wprawić się w taki stan, że czułem się, jakbym wstępował do raju, widziałem, jak frywolne anioły niosą mnie na skrzydłach, byłem niezłym tancerzem, umiałem tak zakręcić wołtyżerką, że padała w me ramiona, zostawiając mi troskę o dalszy ciąg wieczoru, nie chcę jednak teraz opowiadać o sobie, by nie wyjść na narcyza, faceta, który bierze się za pępek świata, więc Sphuczka i ten typek udali się za bar, żeby rozpocząć wojnę końca świata, a za barem „Śmierć kredytom” jest taki ślepy zaułek idealny do szemranych akcji, ludzie chodzą tam załatwiać ciemne interesy, tam właśnie się wybrali, a za nimi my, świadkowie naoczni, a raczej podglądacze, nie mogliśmy się wprost doczekać, kiedy Kazimierz żyjący na poziomie polegnie, kiedy wreszcie się dowie, co znaczy pokora, nauczy się milczeć w obecności innych, wszyscy byliśmy fanami Sphuczki, zagrzewaliśmy ją do walki, oklaskiwali, tak to za barem „Śmierć kredytom”, w odrażającym miejscu, gdzie śmierdzi szczynami dzikich kotów i gnojem szalonych krów, żyjący na poziomie Kazimierz zrzucił marynarkę Starego Negra i medalik, zdjął pomięty krawat, starannie poskładał rzeczy, położył wszystko na ziemi, w kącie, następnie przejrzał się w lakierkach, ta kokieteria jeszcze bardziej nas rozjuszyła, za kogo ten kretyn się uważa, po co się mizdrzy, skoro zaraz ta jego facjata jak rozgnieciona figa jeszcze bardziej się skwasi, kiedy go Sphuczka ośmieszy, ale typ się przeglądał, gładził dłonią czuprynę wyjętą spod prostownicy, lśniąca nawet w słabym sierpniowym słońcu, nikt tu nigdy nie widział takiego farmazona, zatem Sphuczka ściągnęła najpierw bluzkę, trzeba szczerze powiedzieć, że ten spektakl w niczym nie przypominał widoku królowej Margot rozpinającej haftki gorsetu, następnie podciągnęła zawiniętą na biodrach materię do krzyża i ujrzeliśmy zad nieparzystokopytnego ssaka, grube, toczone uda postaci kobiecej z naiwnego malarstwa z Haiti, ujrzeliśmy łydki jak flaszki piwa primus, nie miała majtek, dziwka, może dlatego że nie ma takich majtek, które by mogły okiełznać tę górę pośladków, i beknęła przeciągle, aż nas odrzuciło, i powiedziała głośno „z wolą Bożą, prawda objawi się o świcie, mieć albo nie mieć, zaraz się to okaże, drodzy przyjaciele”, a potem ujrzeliśmy jej łono, gdy rozstawiła dwie bliźniacze wieże podtrzymujące zadek, zerwały się oklaski i, dziwne, ale mi stanął, tak jak innym świadkom, trzeba mówić uczciwie i nie ukrywać prawdy, tak, stanął mi, bo tylek kobiety to tylek kobiety, czy jest mały czy duży, płaski czy okrągły, pręgowany czy w cętki, od których można się nabawić alergii, w plamki jak od palmowego wina czy po ospie, tylek kobiety to tylek kobiety, najpierw ci staje, potem decydujesz, czy w to wchodzisz, czy nie, i zobaczyliśmy też, jak żyjący na poziomie Kazimierz zdejmuje spodnie, pokazuje nogi cienkie jak u szczudłaka i kolana przypominające splecione węzły gordyjskie, miał stare slipy pomidorowej barwy, które spuścił do kostek, i ujrzeliśmy

członek, cząstkę elementarną, na której widok wybuchnęliśmy śmiechem, zadając sobie pytanie, którędy popłynie jego nędzna uryna, a jednak obnażył przed nami ten nieistotny szczegół z owłosionymi kulkami, które zwisały jak owoce drzewa chlebowego ogołoczonego z liści przez tę suchą porę, i wziął się do ugniatania elementarnej cząstki, jakby to był słup szczęścia, szepcząc do niej jak zaklinacz węży pośród turystów na targu, robił wszystko, by nadać temu czemuś katolicką formę, nie było to takie łatwe w obecności świadków, którzy nie przestawali chichotać i trzymali stronę Spluczki, nie było to takie łatwe w obecności świadków, którzy wszelkimi sposobami starali się zbić go z tropu, kpiąc z żalosego instrumentu, lecz on się koncentrował, jakbyśmy nie istnieli, wiedział, że nie ma po swej stronie nikogo, że wszyscy bez wyjątku należą do partii Spluczki, to go nie poruszyło, facet naprawdę wyglądał na pewnego siebie, nie zwracał uwagi na swego przeciwnika, zabrał się do dzieła spokojnie jak ekspert w tego rodzaju zawodach i potrząsał elementarną cząstką, ciągnął, miętosił, by przywołać urynę, i wreszcie się zaczęło, tak, naprawdę się zaczęło, zaczął się pojedynek, Spluczka rozkraczyła słoniowate nogi, jej polder znalazł się teraz na poziomie zero, ujrzeliśmy naraz, jak jej groszek nabrzmięwa, i podeszliśmy bliżej, w chwili gdy zaskowyczała przeciągle jak szczeniaca się hiena, omal nas nie opryskała żółtawą parującą cieczą, która siknęła jak z przedziurawionego woreczka z wodą, odskoczyliśmy w ostatniej chwili, kiedy z drugiej strony żyjący na poziomie Kazimierz wylewał, co miał w pęcherzu, lecz strumień Spluczki był cięższy, cieplejszy, tryskał majestatycznie, a przede wszystkim znacznie dalej, podczas gdy uryna jej zadufanego konkurenta ciurkała jak u kangurka, jak u żaby, co chciała się podkuć, jak u wrony udającej orła, kluczyła, zbaczała z kursu, szła zygzakiem, kreśliła na ziemi hieroglify, na których widok gość zwany Champollionem musiałby się wkurzyć, choć ponoć lubił nadweręzać makówkę nad bazgrołami z przedszkola z czasów faraonów i innych mumii, i niemrawe siuski tego typka lądowały ledwie parę centymetrów od jego stóp, co bawiło Spluczkę, która wreszcie nie mogła się powstrzymać i rzuciła w jego stronę „no szczyj, szczyj, niedojdo, to tak chcesz mnie przelecieć, he, szczyj, niedojdo”, i przeciwnicy sikali, każde na swój sposób, dwie minuty sikania to dużo, ale oboje szli na całość i Kazimierz żyjący na poziomie mimo swych ortodoksyjnych siuszków dawał radę, podczas gdy ja, na jego miejscu, już dawno bym skończył i schował elementarną cząstkę do zagrody, lecz ten zawzięty typ dotrzymywał kroku od ponad pięciu minut i, zamykając oczy, unosząc głowę ku niebu jak koleś, który nuci radosne *requiem* dla zakonnicy, pozostał niewzruszony, głuchy na zaczepki, na prowokacje Spluczki, która zwiększała stopniowo natężenie oddawania uryny i, mimochodem, rzuciła mu „pękaj, ofermo, pękaj, i tak pękiesz, nawet sikać nie umiesz, pękaj, ja mam

jeszcze całe litry w baku, uprzedzam cię, uważaj, przestań sikać, bo się ośmieszysz przed ludźmi, przestań teraz, powiedz grzecznie dziękuję i do widzenia”, Służka krzyczała w ten sposób, a typ odpowiedział „milcz i sikaj, kwoko, prawdziwy mistrz nie mówi, dlaczego miałbym mówić »dziękuję« i »do widzenia«, nigdy, nigdy w życiu, to ty pęknieš, Służko, i wtedy cię zerżnę”, i ścisnął swoje owłosione kulki, przepływ uryny wzrósł o kilka stopni i otworzyliśmy szeroko oczy, bo ten pretensjonalny gość zaczął sikać teraz z większym przekonaniem, i stwierdziliśmy, że jego cząstka elementarna podwoiła, wręcz potroiła objętość, aż przetarliśmy oczy na znak niedowierzania, a jego nagle nabrzmiące wory wisiały jak stare bukłaki pełne palmowego wina, a ten szczał rozanielony i pogwizdywał od niechcienia kantyczkę szumowin z dzielnicy Trzysty, później barokowy koncert, potem kawałek Zao, by ściągnąć spojrzenia na siebie, w tym czasie Służka skupiła się na zadaniu, pierdnęła kilka razy, tak że musieliśmy zatykać nos i uszy, bo śmierdziało to i strzelało jak fajerwerki podczas Święta Kozła, jej pierdnięcia czuć było szmuglowaną do Nigerii naftaliną, a w niektórych momentach grzmiały jak staroświeckie trąbki w Nowym Orleanie i gdy tak skupialiśmy się na obserwacji monstrualnego zadka Służki, jeden ze świadków doniósł, że po drugiej stronie żyjący na poziomie Kazimierz wykonuje decydujący manewr, istny cud, zasługujący na papieskie błogosławieństwo, rzuciliśmy się wszyscy, żeby zobaczyć to z bliska, nigdy nie wolno przeoczyć cudu, nawet jeśli zdarza się gdzie indziej niż w Lourdes, trzeba być świadkiem tego, o czym będą mówić parę wieków później, lepiej być świadkiem, niż słuchać potem opowieści papug o miłości w czasach zarazy, pospieszyliśmy więc do żyjącego na poziomie Kazimierza, by ujrzeć historyczny cud w jego wykonaniu, i jakby niebo spadło nam na głowy, to, co rozgrywało się na naszych oczach, było niewiarygodne, trzeba było tam być, żeby w to uwierzyć, ujrzeliśmy oto, że żyjący na poziomie Kazimierz zygzakami uryny wyrysował zgrabnie mapę Francji, a jego ortodoksyjne szczynty spadały w sam środek Paryża, „jeszczeście nic nie widzieli, mogę też narysować mapę Chin i naszczać precyzyjnie w każdą ulicę Pekinu”, a Służka przestała cokolwiek rozumieć, obróciła się, zerknęła w naszą stronę i krzyknęła „wracajcie do mnie, mówię, wracajcie, na co się tam patrzycie, tu są same pedały czy co”, lecz naszą uwagę przykuwał raczej tajemniczy pretensjonalny konkurent, który zebrał brawa i od razu zyskał przydomek Kazimierza Geografa, gość wyraźnie zasmakował w zawodach, „uprawiam maraton, nie sprint, przelecę ją, dam jej wycisk, możecie mi zaufać” powiedział, pogwizdując swą kantyczkę szumowin z dzielnicy Trzysty, potem barokowy koncert i piosenkę Zao, a my klaskaliśmy coraz głośniejsze, podczas gdy mapa Francji powiększała się o kolejne regiony, obok tego wspaniałego dzieła pojawił się jakiś malutki rysunek, „patrz no, co on tam wyrysował obok mapy Francji, co to

takiego” spytał świadek zadziwiony sztuką żyjącego na poziomie Kazimierza, „to Korsyka, kretynie” odpowiedział artysta, nie przerywając sobie, i oklaski powitały Korsykę, a niektórzy po raz pierwszy usłyszeli słowo „Korsyka”, zaczęto szemrać, polemizować, wreszcie jakiś gość, całkiem niezorientowany, spytał, kto jest tam prezydentem, co to w ogóle za państwo, jaka jest jego stolica, czy prezydent Korsyki jest biały czy czarny, toteż wysłaliśmy go na drzewo, krzycząc „idiota, kretyn”, i tak już ponad dziesięć minut trwała rywalizacja tej dwójki, wreszcie i mnie zebrało się na sikanie, bo zwykle kiedy ktoś sika, chce się zrobić to samo, to dlatego w szpitalu lekarz każe odkręcić kran, żeby się chciało siusiu, zatem walka wciąż trwała, tymczasem jednak świadek, który nie odrywał oczu od zadka Służki; zaczął wyciągać ze spodni instrument, macać go nerwowo, a potem usłyszeliśmy, jak wyje z rozkoszy za naszymi plecami niczym świnia, której urzyna-ją łeb podczas Święta Kozła, a zawodnicy skupieni, wytrwali i niewzruszeni sikali nadal, „skoro tak, to przestaję, mówię wam, że przestaję, nie mogę pracować w podobnych warunkach, za kogo wy mnie macie, co, czy ja przeszkadzam ludziom w pracy, mówię wam, że przestaję, spektakl się skończył”, wszyscy się odwrócili, to Służka się odezwała, rzeczywiście przestała sikać i twierdziła, że zachowując się jak przedszkolaki, wytrąciliśmy ją z równowagi, postąpiła jednak elegancko i *fair*, podchodząc do żyjącego na poziomie Kazimierza, by czułym gestem pogłodzić jego interes, następnie powiedziała „było nieźle, kolego, dziś wygrałeś, jesteś prawdziwym mistrzem szczania, teraz zobaczymy, czy tak samo długo tryskasz, jak sikasz, powiedz gdzie i kiedy, a będę twoja” i zaczęliśmy bić brawo, bo po raz pierwszy kapitulowała w taki sposób, prosząc tym samym o zawieszenie broni, wówczas Służka i żyjący na poziomie Kazimierz wyznaczili sobie spotkanie w hotelu na godziny przy placu des Fetes w dzielnicy Trzysta, wzgardziliśmy tą randką bez świadków, bo wolelibyśmy, by zrobili to tu, przed nami, toteż wróciliśmy do baru trochę zawiedzeni, podczas gdy Służka i niepokonany żyjący na poziomie Kazimierz wsiadali do taksówki, by udać się do hotelu na godziny, i nikt nie wie, co wydarzyło się pomiędzy tą dwójką, po tych zawodach nie widzieliśmy więcej żyjącego na poziomie Kazimierza, Służka pojawia się tu czasami, powiedziała jednak, że nie dowiemy się niczego więcej na ten temat, moim zdaniem, musiała dostać w łóżku niezły wycisk od Kazimierza i nie stanęła na wysokości zadania, inaczej nie dałaby nam spokoju i opowiedziała ze szczegółami, jak pokonała przemądrzałego Kazimierza, który lubi żyć na poziomie

w sumie myśl, żeby przelecieć Służkę, nie była mi niemiła, dawno już nie bzykałem, a wiadomo, lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu, nie wiem tylko, czy z nią udałoby mi się skończyć, u takich kobiet jak Służka orgazm to

musi być istne trzęsienie ziemi, trzeba by ją ujeżdżać, porządnie wziąć do galopu, żeby choć raz jęknęła, jeżeli powiedziałem „nie” na niemoralną propozycję Upartego Ślimaka, to wbrew sobie samemu, może też dlatego że nie chciałem deptać pryncypałowi po piętach, krępowala mnie myśl, że będąc na tej kobiecie, wyobrażę sobie Upartego Ślimaka, jak podryguje na niej niczym epileptyczny zając, zresztą, kto mi zaręczy, że pryncypał nie będzie cokolwiek zazdrosny, nie chciałbym, by nieporozumienia rzuciły cień na moje relacje z Upartym Ślimakiem, nie chcę pokłócić się z człowiekiem, który jest mi jak brat, czy zresztą Spłuczka dałaby się ujeździć takiej szmacie jak ja, hę, ponadto istnieje pewien problem techniczny, myślę, że nie jestem najlepiej wyposażony, trzeba być realistą, a wzięwszy pod uwagę przekraczające limit półdupki Spłuczki, jestem pewien, że zajęłoby mi cały dzień szukanie punktu G w jej polderze, dotarłbym ledwie do punktu B i pozostałyby punkty C, D, E oraz F, więc nigdy nie zaspokoiłbym jej jak należy, przestaję o tym myśleć, powiedzmy, że na tym etapie mojego pisania potrzebuję raczej dużo odpoczynku, przez pewien czas nie napiszę w tym zeszycie ani słowa więcej, chcę pić, pić i nic więcej, być może to będą ostatnie hausty, a jeśli moje rachuby są słuszne, zdaje się, że od wielu tygodni piszę jak opętany, i niektórzy śmieją się z mojego nowego zajęcia, są nawet tacy, którzy rozpuścili plotkę, że szykuję się do egzaminu, by wrócić do szkolnictwa, mówią, że to dlatego zamierzam przestać pić i więcej tu nie przychodzić, ale to czyste kpiny, przecież nie zostanę znów nauczycielem w wieku sześćdziesięciu czterech lat, niby jak, w każdym razie muszę odpocząć, nie pisać ani linijki, nawet tego nie czytać, później do tego wrócę, nie wiem kiedy, ale wrócę, nie zamierzam poświęcać pisaniu całej mojej energii, a gdy skończę drugą część, wyjadę, wyjadę daleko stąd, nie wiem gdzie, ale wyjadę, mam gdzieś, co pomyśli Uparty Ślimak, będę już daleko, daleko od baru „Śmierć kredytom”

# **OSTATNIE KARTKI**



dzisiaj jest kolejny dzień, szary dzień, próbuję nie być smutny, a moja biedna matka, której duch unosi się wciąż nad szarymi wodami Tchinouki, mówiła zawsze, że to niedobrze ulegać smutkom, być może jest gdzieś życie, które na mnie czeka, ja także chciałbym, by ktoś gdzieś na mnie czekał, i siedzę w kącie od piątej rano, z nieco większego dystansu przyglądam się faktom, tylko tak będę mógł je opisać, oto już cztery czy pięć dni temu skończyłem pierwszą część zeszytu, uśmiechnąłem się po lekturze niektórych stron, pochodzą z odległych czasów, zadaję sobie pytanie, czy w gruncie rzeczy mogę być z nich dumny, odczytuję na nowo kilka linijek, ale czuję raczej wielką frustrację, nic mnie nie zachwyca, w rzeczywistości wszystko denerwuje, ale przecież nikomu nie mogę mieć tego za złe, jestem osłabiony, język mam jak z drewna, jakbym zjadł wczoraj wieprzowinę w zielonych bananach, a przecież wczoraj nic nie jadłem, bo oświadczył mi przyływ czarnych myśli, zastanawiam się nawet, czy nie piszę czasem własnego testamentu, lecz jak mówić o testamencie, skoro nie będę mógł niczego zostawić w dniu, w którym wyciągnę kopyta, wszystko to tylko mrzonki, lecz te mrzonki pozwalają nam czepiać się tego obmierzłego żywota, ja wciąż marzę o życiu, lecz jeśli nawet przeżywam je teraz w marzeniach, nigdy jeszcze nie patrzyłem tak trzeźwo na świat

dni mijają szybko, choć w takich chwilach mogłoby się wydawać, że jest wręcz przeciwnie, gdy siedzę, czekając na nie wiadomo co, pijąc i pijąc bez końca, by zdać się na łaskę zawrotów głowy, widzieć, jak Ziemia kręci się wokół własnej osi i dookoła Słońca, nawet jeśli nigdy nie wierzyłem w te durne teorie, które powtarzałem moim uczniom, kiedy byłem jeszcze podobny do ludzi, trzeba być naprawdę nawiedzonym, by wygłaszać tego rodzaju głupoty, gdyż ja, prawdę mówiąc, kiedy pociągam ze szklanki, gdy siedzę sobie beczynnym przed barem „Śmierć kredytom”, nie pojmuję, jak Ziemia, którą mam przed oczami, może być okrągła, jak może śmigać wokół własnej osi i dookoła Słońca, jakby nie miała nic lepszego do roboty, tylko bujać w powietrzu jak samolot z papieru, niech mi pokażą, w którym momencie kręci się wokół osi, w którym momencie obraca się wokół Słońca, trzeba być realistą, dobre sobie, nie dajmy się nabijać w butelkę, bałamucić tym mędrkom, którzy golili się przecież kawałkiem krzemienia czy ociosanym z grubsza kamieniem, a najbardziej nowocześni używali kamienia polerowanego, w sumie, *grosso modo*, gdybym miał przeanalizować wszystko to dokładnie, rzekłbym, że dawnych myślicieli można podzielić na dwie kategorie, z

jednej strony są ci, którzy pierdzieli w wannie i wołali na cały głos „znalazłem, znalazłem”, ale co z tego, że znaleźli, mogli zachować te odkrycia dla siebie, osobiście parę razy zanurzałem się w rzece Tchinouka, która zabrała moją biedną matkę, i nie znalazłem niczego szczególnego w jej szarych wodach, w których każde zanurzone ciało nie podlega nawet owemu słynnemu parciu z dołu w górę, zresztą właśnie dlatego całe gówno z naszej dzielnicy Trzysta czai się w głębi wód, niech mi więc powiedzą, jakim cudem to gówno nie podlega prawu Archimedesesa, była też druga kategoria nawiedzonych, w gruncie rzeczy najzwyklejszych pod słońcem próżniaków, leniów patentowanych, przesiadywali sobie pod jabłonką, czekając, aż jabłko spadnie im na głowę, by sklecić bajeczkę o ciężeniu i przyciąganiu Ziemi, jestem przeciwnikiem tych obiegowych sądów i twierdzę, że Ziemia jest tak płaska jak aleja Niepodległości, przy której znajduje się bar „Śmierć kredytom”, nic dodać, nic ująć, ogłaszam uroczyście, że Ziemia jest nieruchoma, że to Słońce uwija się wokół nas, gdyż sam widzę, jak paraduje nad zadaszeniem mojego ulubionego baru, przestańcie opowiadać niestworzone historie, a pierwszego, który zechce mi jeszcze tłumaczyć, że Ziemia jest okrągła, że obraca się wokół swej osi i dookoła Słońca, bez wahania skrócę o głowę, choćby wołał „a jednak się kręci”

no proszę, nie mam na przykład pojęcia, dlaczego nie wspomniałem jeszcze o Mouyeke, facecie, który przychodził do baru i już nie przychodzi z powodów, które łatwo pojąć, nie mogłem nie wspomnieć o tym gościu, nie mogłem pominąć go w tym zeszycie, nawet jeśli był jak błyskawica, która przemknęła przez bar „Śmierć kredytom”, otóż lubię tego rodzaju ludzi, ledwie się ich zauważa, są jak statyści, sylwetki z papieru, ulotne cienie, trochę jak ten facet, którego zwano Hitchcockiem i który pojawiał się przelotnie w swych filmach, a zdumiony widz nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, chyba że znający się na rzeczy sąsiad szepnął mu na ucho „przyjrzyj się dobrze, pacanie, tam, w rogu ekranu, z lewej, tak, ten nalany gość z podwójnym podbródkiem, idący za innymi, to Hitchcock we własnej osobie”, ale powiedzmy od razu, że Mouyeke nie jest facetem tych gabarytów i pokroju co genialny Hitchcock, nie należy przesadzać z porównaniami, Hitchcock to był ktoś, gość utalentowany, facet, który przyprawia was o gęsią skórkę, pokazując ptaki czy okno na podwórze, który za pomocą kilku drobnych trików zanurza was w psychozie, tymczasem historia Mouyeke raczej mnie śmieszy, niż wywołuje dreszcze i nie budzi we mnie litości, bo nie znoszę oszustów, którym brak geniuszu, ludzi bez charakteru, zatem tego Mouyeke zdradził podobno jego własny fetysz, jego *gris-gris*, a jeśli mowa o fetyszach, to dlatego że Mouyeke uważa się za potomka wielkich czarowników, zdolnych zatrzymać deszcz, regulować ciepło słońca, przyspieszyć porę zbiorów, czytać innym w myślach, budzić martwe dusze jak Chrystus, co rzekł uroczyście nieszczęsnemu trupowi Łazarza, który zdażył ostygnąć, „Wstań i idź”, a co do tego wskrzeszenia, trzeba także powiedzieć, że nieszczęsny trup Łazarza panicznie bał się Chrystusa, a zwłaszcza samego Boga, który od zarania dziejów kryje się gdzieś między warstwami chmur kłębiastych i patrzy, jak gromadzimy grzechy, choć z niewielką pomocą Ducha Świętego mógłby przecież pomóc nam ich unikać, ale nasz Bóg ukrył się wysoko, by mieć panoramiczny widok na najniższe sprawy tego świata i notować je skrupulatnie w notesie na użytek Sądu Ostatecznego, a gdy Jezus mówił w imieniu Swego Ojca ukrytego w górze, biedny trup Łazarza otrząsnął się ze snu i oto już truposz drży z trwogi, widząc ścieżki Pana, które na ogół są nieprzeniknione, lecz które zdołał zgłębić podczas krótkiego pobytu wśród zmarłych, i kroczy jak marionetka, takie mniej więcej rzeczy rozpowiadał Mouyeke, głosił, że cuda Chrystusa to nic w porównaniu z tym, co on sam może zrobić w jednym mgnieniu oka, mógł więc przemienić kocie siki w czerwone wino z Sovinco, podobno to robił, mógł przywrócić facetom amputowane nogi, podobno to robił, w dodatku mówił, że sztuczki Chrystusa, które nas zadziwiają, nie były prawdziwe, że wmawiali nam to przez wieki, wciskali jak przedszkolakom, ponoć cuda Chrystusa podważa się jeszcze dziś i

nigdy co do nich nie było jednomyślności, nawet wśród wierzących, i, wciąż zdaniem Mouyeke, powinno się przyglądać tym cudom przez lupę, podczas gdy jego cuda można zweryfikować, nie cofając się do biblijnej epoki, kiedy to ludziska mieli do dyspozycji tylko nieociosane kamienie, by zapisać dziesięcioro przykazań, które sam Bóg raczył im podszeptać, jak zwykle przezornie chowając się za cumulusami, zresztą żadne z tych dziesięciu przykazań Boga nie jest dziś przestrzegane, ludzi bardziej podnieca łamanie zasad, niż spędzanie życia na ich przestrzeganiu w świecie, w którym tyle jest dup dostępnych dla każdej kieszeni, w świecie, w którym wierność przestała cokolwiek oznaczać, w świecie, w którym nawet mnisi i pustelnicy zazdroszczą niedowiarkom lubieżnych występków, w świecie, w którym liczą się tylko zawiść i zazdrość, w świecie, w którym zabija się ludzi na krześle elektrycznym, choć w Świętej Księdze napisano wyraźnie „nie zabijaj”, tak przemawia Mouyeke, bez przerwy, w cierpkich słowach krytykuje jerozolimską Biblię, nie rozdaje świątecznych prezentów Bogu i Jego podpułkownikom, pewnego dnia Mouyeke powiedział „drodzy przyjaciele, moi czarni bracia, jak to się dzieje, że w Biblii wszystkie anioły są białe czy coś koło tego, można by przecież umieścić tam jednego czy dwa czarne anioły, by pogłaskać z włosom negrów z całej Ziemi, którzy nie mogą przecież zmieniać frontu pod pretekstem, że gra od początku była ustawiona, pod pretekstem, że Wszechmogący źle skalkulował ich skórę, nie ma czarnych aniołów w Świętej Księdze, jeśli przelotnie pojawia się w tej książce paru negrów, to zawsze między dwoma szatańskimi wersetami, są to na ogół diabły, osobniki mroczne, i nie ma też czarnych apostołów Jezusa, to dość dziwne, nie będą nam przecież wmawiać, że w czasach, gdy rozgrywały się epizody Biblii, nie było czarnych aktorów mogących zagrać pierwszoplanowe role, no nie, więc rozumiem i wybaczam biednym białym, słusznie przykleili negrom etykietkę czyścibutów na tym łez padole, gdyż tam, w górze, wszystko wskazuje na to, że Murzyn nawet nie istnieje”, w ten oto sposób przemawiał Mouyeke, myślałem nawet, że jak na czci-ciała fetyszy zbyt wiele wie o niektórych sprawach, które, moim skromnym zdaniem, kojarzą się z nowoczesnością i dyskusjami intelektualistów w krawatach i okragłych okularkach, lecz nie z powodu przekonań trafił do więzienia, raczej z powodu niezliczonych oszustw, powiedzmy tylko, że gdy stamtąd wyszedł, zjawił się, by wylewać żale przy butelce wina w barze „Śmierć kredytom”, godny politowania gość o przykrej powierzchowności, z węzłami mięśni, przekrwionymi oczami, a widząc, w jakim jest stanie, mówiliśmy sobie, że faktycznie szewcy to najgorzej obuci z dwunogów, bo jako czarownik mógł zażądać od swoich *gńs-gris* garnituru na miarę, nawet jeśli nie byłby to garnitur od Yves Saint-Laurenta, jak w przypadku Drukarza, mógł zażądać od swych *gris-gris* lakierowanych trepów, jakie nosił żyjący na poziomie Kazimierz, lecz w

rzeczywistości Mouyeke oszukiwał poczciwych, naiwnych ludzi, którzy powierzali mu bająnskie sumy, toteż w dniu jego procesu stary sędzia prowadzący obrady chciał go przyprzeć do muru, zadając pytanie „dobrze, nie będziemy wałkować w kółko tej sprawy, która wydaje mi się klarowna jak źródłana woda, proszę powiedzieć, Mouyeke, ile pieniędzy powierzyły panu ofiary”, a oskarżony odparł „nie jestem pierwszym lepszym zaklinaczem, dostawałem dużo pieniędzy, naprawdę niemało, panie sędzio, musiałem więc zasługiwać na taką zapłatę, byle czarownik nie może liczyć na podobne zyski”, a sędzia zaproponował „co to znaczy dużo pieniędzy, proszę podać sumy, to nie miejsce do żartów, czy pan wie, że mogę pana zaraz wysłać do paki, jeśli będzie pan ze mną uprawiał te gierki, he”, „tak, panie sędzio, wiem”, „proszę więc odpowiedzieć bez wykrętów na moje pytanie, ile płacili panu ci poczciwi ludzie”, a oskarżony wyjąkał „ponad milion franków CFA za wizytę, panie sędzio”, sędzia zaniemówił, jakby liczył w myślach, co może oznaczać tak ogromna suma, i, nie dowierzając, ciągnął tonem zwiastującym burzę „lecz co konkretnie miał pan dla nich zrobić, bo przecież milion franków CFA na ulicy nie leży”, „ależ panie sędzio, miałem im pomóc, miałem sporządzić fetysze, by ich interes się kręcił, zmieniałem ich życie na lepsze, ilu facetów w tym kraju uszczęśliwia ludzi, co, niestety jestem jedyny”, a sędzia omal nie parsknął śmiechem, powiedział „zatem pomaga pan innym, za kogo pan mnie bierze i dlaczego nie robi pan fetysza dla siebie, by stać się bogatym, he, proszę się sobie przyjrzeć, wygląda pan, jakby mieszkał w kubłach na śmieci w dzielnicy Trzysta wraz z psami”, a Mouyeke przybrał poważną minę, jak to potrafią jedynie oszuści, i powiedział „panie sędzio, fetysze są po to, by pomagać innym, tak czynili moi przodkowie i właśnie to zostawili mi w spadku”, „tak, lecz dobrze pojęte miłosierdzie zaczyna się od siebie, gdybym był na pańskim miejscu, zacząłbym od polepszenia własnego bytu, nie można przecież uznać pańskiego życia za sukces”, a Mouyeke, zamyślony, odparł „widział pan kiedyś lekarza, który się sam operuje, panie sędzio, z czarownikami jest tak samo, nie mogą robić fetyszy dla siebie, to by nie działało jak trzeba”, „więc niech pan je robi dla członków rodziny, w ten sposób mógłby pan przynajmniej korzystać z ich bogactw”, na sali rozległy się śmiechy, a sędzia ciągnął „zatem twierdzi pan, że każdego może uczynić bogatym, prawda, panie Mouyeke”, „właśnie tak, panie sędzio, i jeśli przyjdzie pan do mnie po radę, także pana mogę uczynić bardzo, ale to bardzo bogatym i zostanie pan szefem wszystkich sędziów w tym kraju, nim upłynie pięć minut i trzydzieści sekund, przysięgam, nie będzie pan już musiał czytać żadnych akt, ujrzy pan prawdę o brzasku i będzie sądził ludzi bardziej sprawiedliwie, zamiast skazywać niewinnych jak ja”, „każdy ma swoją działkę, drogi panie, nie trzeba mi pańskich usług, by być sprawiedliwym i bezstronnym sędzią, a zresztą zaraz tego dowiodę, gdyż jeśli o mnie chodzi,

oszustów pańskiej maści wysyłam do mamra, gdzie mogą do woli spierać się ze szczurami o filozofów antycznych, nie zamierzam nawet z nikim się naradzać nad pańskim przypadkiem, podejmę decyzję osobiście, ponieważ prawo to ja”, sala tak się śmiała, że sędzia omal nie kazał jej opróżnić, i ów starzec w todzie otarł sobie czoło, po czym przeczytał monotonnym głosem nieodwołalny werdykt i Mouyeke został skazany na sześć miesięcy ścisłego więzienia, cztery miliony franków CFA grzywny, pięć lat pozbawienia praw obywatelskich, na sali rozległy się brawa, sędzia wstał, rzekł do policjantów „zabierzcie tego oszusta do jego przyjaciół, szczury na niego czekają”, tak więc po sześciu miesiącach więzienia zaczął przychodzić tutaj, nie mówił wiele, z nikim nie dyskutował, lecz wiedzieliśmy wszyscy, że to właśnie on jest owym słynnym czarownikiem oszustem, który chciał uczynić swego sędziego bogatym w pięć minut i trzydzieści sekund, dodajmy, że jeśli zależało mi na rozmowie z Mouyeke, to również dlatego że i ja miałem w życiu do czynienia z pewnym czarownikiem, ten czarownik nazywał się Zero Błędu, ale cóż, nie sądzę, by był to właściwy moment, aby to przypominać, wróć do tego, kiedy będzie trzeba, mam jeszcze parę rzeczy do napisania i boję się, że do rana mogę wszystko zapomnieć

kilka dni temu, gdy opuściłem bar „Śmierć kredytem” zdecydowany odsapnąć, nie pisać, przez pewien czas nie czytać tego zeszytu, poszedłem włóczyć się po dzielnicy Rex, w cieniu zakwitających dziewcząt, które lubił gość od pampersów w czasach, gdy nie był jeszcze szmata, której cieknie z tyłka, chciałem więc zrobić sobie wreszcie przyjemność po tylu latach przestępnych, pewnie sobie mówiłem, że dzięki tym dziewczynom uda mi się odtajać, ale nie było ani jednej zakwitającej dziewczyny, która by mnie chciała, nie było ani jednej zakwitającej dziewczyny, która by chciała szybkiego numerku ze mną, zwykłego numerku, wszystkie mówiły „jesteś za stary, już ci nawet nie staje, stracę tylko czas, idź się bujać, obejrzyj sobie jakiś film o dupach, spadaj do domu starców, jesteś jak statek pijany, śmierdzisz, gadasz do siebie na ulicy, nie golisz się, nie bierzesz prysznic, ledwie stoisz na nogach”, a ja odpowiedziałem „pieprzę”, przecież w wieku sześćdziesięciu czterech lat ciągle mi staje jak sławnemu niegdyś ogierowi wycofanemu z gonitw z powodu starości, to przerażające, jak ludzie nie zdają sobie sprawy, że nie należy lekceważyć starych dinozaurów, że nie należy odsyłać ich do Parku Jurajskiego, że nie należy pastwić się nad sędziwym lwem, nie wiem, kto to powiedział, ale dziewczyny dały mi do zrozumienia, że wypadłem z obiegu, że mój czas się skończył, choć twierdzę, że czas nie ma tu nic do rzeczy, i poczułem się malutki, poczułem się jak wrak miotany przez morze, a przecież miałem w kieszeniach gotówkę zebraną na ulicy, a przecież mogłem zapłacić za numerka bręczącą monetą, koniec końców, zadałem sobie pytanie, czy te dziewczyny szukają pieniędzy czy młodych prawiczków, powinny to wiedzieć, inaczej nie damy rady na tym popapranym świecie, już nawet prostytutka przestała być, czym była, teraz dziewczyny chcą przebierać w klientach, może wkrótce każą sobie płacić w funtach szterlingach czy frankach szwajcarskich, a przecież kiedyś można się było zabawić i spędzić miło wieczór za puszką sardynek bez głów wyprodukowaną w Maroku, skończyły się czasy państwa opiekuńczego i teraz wszystko zależy od tego, jak wyglądasz, habit czyni mnicha, więc żeby dziś pójść na kurwy, trzeba się skropić perfumami Lazzara, włożyć garnitur od Francesca Smalto, wieczorową koszulę z metką Figareta, naprawdę skończyła się pewna epoka, a że był to akurat dzień mojej pielgrzymki do dzielnicy Rex i czułem się wypluty jak sprzedawca dywanów, gładko przełknąłem mą dumę, pożegnałem się z bronią, powiedziałem „pieprzę” i dalej włóczyłem się po dzielnicy, a że w całym mieście nie było elektryczności, nie widziałem na krok, nie mijały mnie nawet żadne samochody i wtedy, szczęśliwym trafem, w jednej z tych zaśmieconych uliczek naszej dzielnicy, na wysokości ulicy Papa-Bonheur, dostrzegłem chybotliwe światło pochodni, ktoś dawał mi znaki po drugiej stronie jezdni, a gdy się zbliżyłem, stwierdziłem, że to prostytutka na progu emerytury,

może nawet jedną nogą w trumnie, więc się zawahałem, zachodząc w głowę, czy gra jest warta świeczki albo i świecznika, a jednak stanąłem, zaintrygowany, powiedziałem z mety „ile za numerek”, ta stara flądra o twarzy pociętej zmarszczkami otaksowała mnie wzrokiem z wyraźnym politowaniem i odparła „skąd się urwałeś, nie wiesz, ile kosztuje numerek w dzielnicy, co, numerek kosztuje tyle co zwykle, nic się nie zmieniło, czasy są ciężkie dla wszystkich”, i byłem w kłopotcie, bo naprawdę nie znałem stawki za kurs, więc jakając się, rzekłem „otóż przyznaję, nie zwykłem tu przychodzić, jeśli tu jestem, to tylko by przyjemnie spędzić czas, to znaczy spędzić czas w towarzystwie, już od siedmiuset lat nie widziałem księżycy”, raz jeszcze z politowaniem zmierzyła mnie wzrokiem, „biedny staruszk, mam nadzieję, że nie zwalisz się na mnie półżywy” powiedziała, po czym dała mi znak, bym szedł za nią, i schodziła krętą cuchnącą uliczką, która gubi się wśród ostatnich zabudowań dzielnicy, sunąłem za nią jak zdesperowany cień, bo nie powiedziała „nie”, zatem się zgodziła, mogłem zapłacić wedle własnego uznania, satysfakcji i przelicznika, szliśmy tak dziesięć minut w tym oślepiającym nieobecny światło, przez chwilę myślałem, że wciągnie mnie z alfonsami i bandą współników w pułapkę, z handlarzami rozkoszą nigdy nic nie wiadomo, lecz dotarliśmy do obejścia porośniętego trawą, powiedziała „tutaj to zrobimy”, a ja zapytałem „pani tu mieszka, co”, powiedziała „nie twoja sprawa, przyszedłeś sobie bzyknąć czy poznać moje życie” i pchnęła drzwi prehistorycznej chaty na skraju obejścia, kocia rodzinka zgrają czmychnęła nam spod nóg, miauczając obelgi w ich slangu, i pomyślałem sobie „*w takim zaułku jak ten, jeśli poderzną ci gardło, twoje krzyki nie obudzą nikogo, w okolicy nie ma sąsiadów, do diaska, wpieprzyłem się w niezłe bagno, nie ma co*”, potem stara flądra zniknęła wewnątrz prehistorycznej chaty, zapaliła lampę naftową i zawołała „idziesz czy nie, kurwa, jakbym nie miała nic innego do roboty”, tak powiedziała, więc ja też wszedłem do prehistorycznej chaty, nie kryjąc wahania, powiedzmy, raczej rosnących obaw, a stara flądra rzuciła torebkę w drugi koniec izby, kaszlnęła, przepłukała gardło, po czym rozciągnęła się na materacu, który cuchnął potem spod pach rikszarza i zgniłymi grzybami zarazem, podciągnęła spódnice z lat okupacji niemieckiej i rzekła, zgrzytając sztuczną szczęką „zważ mnie Alicja, bo gdy chodzi o czary, trzeba zwracać się do mnie, nie do podlotków, co to jeszcze są matkę, no, podejdź tu, mój drogi”, a ja nie czułem już żadnego pożądanego, chciałem stamtąd uciec, naprawdę chciałem dać drapakę, a później powiedziałem sobie, że mogłaby poczuć się urażona, że być może numerek ze mną to dla niej szansa dnia, a klienci, widząc profil wróżki Carabosse, z pewnością nie tłoczą się na trotuarze, przeciwnie, pewnie przechodzą na drugą stronę ulicy, widząc perukę przykrywającą ledwie trzecią część czaszki, widząc przesadny makijaż, czując babciny zapach, widząc szczękę,



którą ledwie przytrzymuje w ustach jak wampir, chciałem wyjść z tej prehistorycznej chaty, straciłem cały zapal, czując mdlące zapachy, ale nigdy nie wolno upokarzać kurew, starych czy młodych, w końcu zawsze wraca to rykoszetem i trzeba sobie powtarzać, że kurwy są zwłaszcza i przede wszystkim istotami ludzkimi, jak my, mają swoją dumę, swoją godność, a gdy czują się upokorzone, są zdolne do wszystkiego, zamieniają się w furie, i pomyśleć, że istnieją jeszcze ludzie, którzy sądzą, że te kobiety są pozbawione mózgu, a myślą za pomocą swego narzędzia pracy, to fałsz, nic bardziej rozgarniętego niż uliczna perypatetyczka, więc nie opuściłem prehistorycznej chaty, rozłożyłem się jak długi u boku starej Alicji, zalatywała pudrem, jakiego używają podczas czuwania przy marach, by trup się nie rozkładał, a żyły na jej szyi przypominały unerwienie stuletniego drzewa obsikanego przez hieny, i ujrzałem nogi Alicji, chude, pałakowate, „dobrze ci, mój drogi” spytała, nie odpowiedziałem, musiała tak mówić do wszystkich klientów, jeśli rzeczywiście od czasu do czasu ich miała, więc Alicja o chudych, pałakowatych nogach rozwiązała sznurek, którego używam jako paska, rozpięła guziki wyświechtanych spodni, wsunęła do środka dłoń o powykręcanych palcach, znalazła moje narzędzie w stanie krańcowego skurczenia, „zajmę się tym, kochanie, twój wacek będzie stał, jakbyś wciąż miał dwadzieścia lat, mam wprawę, możesz mi wierzyć” i sięgnęła pamięcią do swych wspomnień młodej prostytutki, kiedy to jej ręce mogły jeszcze doprowadzić do miłosnej zatury jakiegoś biedaka na skraju samobójstwa, lecz jej ruchy były niezdecydowane jak ruchy albatrosa schwytanego na otwartym morzu przez członków załogi, ot tak, dla zabawy, ta stara raszpla raczej gmiotła, niż pieściła, a że nie było żadnych widocznych efektów, zrobiła się nerwowa jak komar nad stawem i czułem się coraz bardziej nieswojo, próbowałem wyobrazić sobie mój ostatni raz, kiedy to zdarzyła mi się wspinaczka na wzgórze Wenery, lecz wspomnienia były tak mgliste, że docierały do mnie tylko zatarte obrazy, a za pomocą zatartych obrazów nie da się uruchomić zepsutej maszyny, stara fladra wstała, bardzo zagniewana, włożyła śmierdzącą olejem palmowym perukę, spódnice z czasów okupacji, chwyciła torebkę, powiedziała „tracę z tobą czas, jesteś skończony dureń, biedny starzec” i ja także wstałem, podałem jej dwa banknoty po dziesięć tysięcy franków CFA, powiedziała „zatrzymaj forszę, kretynie, upokorzenie, jakiego doznałam, nie kosztuje dwudziestu tysięcy franków CFA” i Alicja prawie wypchnęła mnie za drzwi

wczoraj, o czwartej rano, szedłem nad brzegiem Tchinouki, woda była szara i cicha, doliczyłem się kilku szkieletów żywego inwentarza, rzuconych tu i ówdzie przez okoliczną ludność, długo mówiłem sam do siebie, musieli mnie brać za wariata, za świra, który wszędzie widzi tylko wiatraki i wypowiada im epicką wojnę, „pieprzę”, myślałem sobie i dalej gadałem ze sobą, wtedy obieży mnie wspomnienia jak wzniecone popioły, powiedziałem sobie, że mam tej rzece tak wiele za złe, że jest jak laguna śmierci, że jest przyczyną mych nieszczęść, powodem mej złości, mojej irytacji, tak chciałbym się na niej zemścić, powiedzieć, by zwróciła duszę mojej matki, którą połknęła w dniu wielkiej ciszy, lecz nie będę mówił o tym rozdziale już teraz, opowiem trochę później, bo nie mam chęci łać łez, a że był to czas psów, to była ich pora, widziałem kopulujące psy, podniosłem kamień i rzuciłem, psy głośno i dobitnie wyszczeły swoje niezadowolenie, dały dyla, wyzywając mnie od ostatnich, od neptków, nieudaczników, szmaciarzy, od dwunożnych bydła, powiedziałem „pieprzę, nie rozumiem waszego psiego jazgotu, możecie sobie ujadać do woli, możecie mi skoczyć”, i szedłem dalej moją drogą głodu, chciałem usiąść na chwilę i wreszcie ugiąłem kolana jak gazela, która klęka, by płakać, z głodu kręciło mi się w głowie, poczułem bulę ruszającą się w brzuchu, zacząłem wymiotować skrzepami wina, powiedziałem sobie „pieprzę” i skorzystałem z okazji, by wysrać się u stóp mangowca, choć przecież nic mi nie zrobił, w tym właśnie momencie jakiś tubylec, który tamtędy przechodził, powiedział mi „biedny durniu, stary głupku z niegdysiejszych śniegów, zakało miejsc publicznych, w twoim wieku srać jeszcze pod drzewami, jak ci nie wstyd”, powiedziałem głośno „pieprzę to, głupek z niegdysiejszych śniegów sra na ciebie”, a wściekły tubylec nie dał za wygraną „do mnie to mówisz, ostatni moczymordo, a zdychaj, kretynie”, a ja jeszcze raz powiedziałem głośno „pieprzę to, zdechniesz wcześniej ode mnie, na cmentarzach roi się od takich fiutków jak ty”, a tubylec zaczął mi grozić „zabierz stąd to gówno albo cię wrzucę do rzeki”, miał zamiar zrobić, co powiedział, a ja nie chciałem utopić się w kretyński sposób z powodu gówna pod mangowcem, a że było to moje własne gówno, zacząłem je zbierać, tubylec powiedział „co robisz, stary, przecież nie będziesz zbierał swojej kupy gołymi rękami, możesz to zrobić patykiem, do jasnej cholery”, nie usłuchałem go, bo zbierając własne gówno, nigdy nie ma się mdłości, to gówno innych jest nie do zniesienia, więc zanurzyłem ręce we własnych ekskrementach, tubylec zwymiotował, zgiął się wpół, bo nie mógł znieść tej skatologicznej sceny, a ja śmiałem się, śmiałem, nie mogłem się powstrzymać

po tej włóczędze zjawilem się, równo o piątej rano, w barze „Śmierć kredytom”, wciąż miałem przed oczyma nogi Alicji, chude i pałakowate, widziałem jej prehistoryczną chatę, później wróciła ta scena z gównem, które zbierałem własnymi rękami, zamiast posłużyć się kawałkiem drewna, co sprawiło, że o piątej rano, kiedy się tu zjawilem, śmierdziałem jeszcze gównem, przysypiałem na stołku i zbudził mnie zapach kawy, którą podsunął mi Dengaki, powiedział, że to od pryncypała, rzuciłem okiem na piętro, u Upartego Ślimaka wciąż paliło się światło, wypilem kawę, a przecież w tym lokalu nie podaje się kawy, pryncypał musiał zaparzyć ją u siebie na górze, napocząłem butelkę czerwonego wina, zaczyna się kolejny dzień, tym razem inny niż wszystkie, pomyślałem

jest pierwsza czy druga po południu i widzę, że ten wieczny nudziarz Drukarz zjawiał się w barze „Śmierć kredytom”, nie wiem, dlaczego nazywam go nudziarzem, mimo iż dotąd robił na mnie dobre wrażenie, ale tylko idioci nie zmieniają zdania, zatem Drukarz wrócił z przechadzki na Dzikie Wybrzeże, jest rozpromieniony, podniecony jak facet, który otrzymał przekaz pocztowy z Senegalu, nigdy nie widziałem go w tak dobrej formie, co takiego się stało, ach, tak, oczywiście, teraz rozumiem, dlaczego jest w tak dobrym nastroju, tak, teraz rozumiem, bo ma w dłoniach egzemplarz „Paris-Matcha”, jest z tego dumny, popisuje się, jego stopy nie tykają ziemi, próbuje oto wyjaśnić innym gościom, na czym polegają kłopoty pary francuskich artystów, pary podobno sławnej, i mówi, że tak napisano czarno na białym w tej gazecie, opowiada, że tych artystów dręczą różni tacy, co chowają się w krzakach z aparatami w dłoniach, by uchwycić znieścaka sutek albo kawałek poślodka jakiejś sławnej diwy, a ludzie słuchają Drukarza, ludzie słuchają go, jakby słuchali guru, który posuwa żonę faceta w pampersach, a że Drukarz lubi długo przemawiać, po raz kolejny opowiada swoją historię o Francji, mówi, że siedział we Francji, że to biała Céline przywiodła go do zguby, do królestwa ciemności, podkreśla, że nie jest wariatem, ależ skąd, że to Céline spała z jego synem z Antyli, opowiada to wszystko, a ludzie patrzą na niego z politowaniem i wtedy jeden gość mówi mu bez ogródek, że lepiej by zrobił, poślubiając we Francji dziewczynę z Afryki, zamiast żenić się z białą, sprawy by się tak nie skomplikowały i wszystko dałoby się załatwić tu, na miejscu, maczetą z Rwandy, ale Drukarz odpowiada, że Afrykanki z Francji mają nasrane, że zadzierają nosa, nie znosi ich kaprysów, uważają się za nie wiadomo co, chcą, byś im leżał u stóp, Drukarz dodaje, że te dziewczyny to zwykle materialistki, oglądają sobie z bliska samochody facetów, ich domy, konta w banku, akcje na paryskiej giełdzie, masz płacić za ich cudaczne fryzury, drogie jak cholera, za pokój na poddaszu w szesnastej dzielnicy, bo dla tych grymaś-nic istnieje tylko szesnasta dzielnica Paryża, choćby miały tam mieszkać kątem w jakiejś piwnicy, masz płacić za to, za tamto, to dlatego się włóczą, dlatego nie mają zajęcia, dlatego starzeją się jak próżne kokoty, dlatego pójdą do łóżka z białym trzy razy starszym od siebie, dlatego nieraz kończą jako prostytutki, bo łatwiej jest zmienić ciało w towar niż mózg w narzędzie myślenia, a ludzie parskają śmiechem, Drukarz jest szczęśliwy, że tak wpływa na masy, „mówię wam, nie jestem rasistą” przypomina i za pomocą najbardziej dyskusyjnych przesądów jeszcze bardziej pograża czarne dziewczyny z Paryża, mówi, że to najgorsza zaraza na świecie, że o dziewczynach z Konga nawet nie warto wspominać, są uzależnione od systemu, zgrywiają intelektualistki, mówi, że nie ma nic gorszego od Kamerunek, to takie materialistki, takie naciągaczki, że nazywają je Kame-

ruinki, mówi, że Nigeryjki, dobry Boże, biją się o miejsce na chodniku przy ulicy Saint-Denis, mówi, że dziewczyny z Gabonu, też niezłe ziółka, są brzydkie jak wszy łonowe, że te z Wybrzeża Kości Słoniowej, nieprawdopodobna sprawa, to same puszczalskie, nic tylko ruszają zadkiem, a goście baru „Śmierć kredytem” zrywają boki ze śmiechu, Drukarz podkreśla wszakże, że ten bar i my wszyscy to nie miejsce dla niego, a wszyscy słuchają go z jeszcze większym przejęciem, przytakują i podają sobie „Paris-Matcha”, Drukarz przypomina, że był szefem ekipy, że miał tam prawdziwych białych, nie białych, których widuje się u nas i którzy jedzą maniok, zapijając benińską papką, tylko prawdziwych białych z Francji, i zaznacza, że to oni wydrukowali „Paris-Matcha”, mówię sobie, że ten typ jest naprawdę walnięty i że powinien zmienić płytę

gdy Drukarz skończył zabawiać publiczność, podchodzi do mnie i powiada „nie wiem, czy ktoś już ci to mówił, stary, ale śmierdzisz gównem, czuć z daleka, zrobiłeś pod siebie czy co, powinieneś wziąć prysznic, muchy za tobą latają”, nie odpowiadam, przecież mu nie powiem, że ktoś kazał mi zbierać gówno zostawione u stóp mangowca, nie, a Drukarz dodaje „dobra, twoje gówno to nie moja sprawa, chciałem ci tylko powiedzieć, że mam tu, przy sobie, ostatni numer »Paris-Matcha«, kupiłem go dziś rano w drodze na Dzikie Wybrzeże, śmiało, rzuć okiem, w środku masz dupy i to całkiem za darmo”, biorę pismo przez grzeczność, kartkuję, trafiam na faceta, który ma na imię Joseph, to czarny malarz wyniszczony chorobą, ma zamknięte oczy, koszulę w kolorze musztardy, na zdjęciu w gazecie siedzi w szpitalnej sali ze swoimi płótnami i leżącymi obok narzędziami pracy, naprawdę wygląda na wycieńczonego chorobą, u wezglowia łóżka leży książka o malarzu Picassie, książka, na której chory położył swoje pędzle, dowiaduję się, że nikt nie zna prawdziwego nazwiska tego czarnego malarza, nikt nie wie nawet, skąd pochodzi, dowiaduję się też, że to paryski malarz uliczny, malarz z dzielnicy, którą nazywają Marais, lecz ze szczególnym wzruszeniem czytam kilka linijek dalej, że właśnie umarł na raka, piszą ze szczegółami, że od dwóch miesięcy był leczony na oddziale pulmonologicznym Szpitala Saint-Antoine, żył w rytmie chemioterapii, nie miał stałego miejsca zamieszkania, koczował na ulicy, pił whisky butelkami, palił po kilka paczek papierosów dziennie, czuję z nim jakąś bliskość, fizycznie trochę mnie przypomina, a dziennikarka „Paris-Matcha”, niejaka Pepita Dupont, zrobiła wywiad z czarnym van Goghem na osiem dni przed jego śmiercią, mogę się więc dowiedzieć, że ten Murzyn był niczym żywa biblioteka, czytał Arthura Rimbaud, Benjamina Constanta, Baudelaire’a, a zwłaszcza Chateaubrianda i jego *Pamiętniki z za grobu*, mówi, jakby czytał z książki, zawsze znajduje odpowiednie słowo, zadziwia dziennikarkę, mówi też o sławnych malarzach, których nazwiska

czytam po raz pierwszy, bo nie znam się na tym, wymienia zatem malarzy, którzy zwa się William Blake, Francis Bacon, Robert Rauschenberg, James Ensor i wielu, wielu innych, a dziennikarka powiada, że ten czarny malarz omal nie odszedł w zupełniej anonimowości, ktoś odkrył go przypadkiem i się z nim zaprzyjaźnił, tym zbawcą był pewien adwokat, znalazł Josepha na chodniku, obok obrazów, adwokat wprowadził się właśnie do kamienicy, pod którą czarny van Gogh rozłożył się na noc, i ten adwokat prawie potknął się o gościa śpiącego na arcydziełach, zaczęli rozmawiać, adwokat zachwycił się tą oryginalną sztuką, obejrzał obrazy z bliska, kilka kupił i został wielkim przyjacielem czarnego van Gogha, dyskutowali co dzień, adwokat nie mógł się nadziwić, w jaki sposób ta twórczość mogła przejść niezauważona, ale wiedział, że sztuka, prawdziwa, zawsze zderza się z obojętnością, geniusz często pada ofiarą ślepoty współczesnych, zmywy imbecyli, a adwokat miał przed sobą kogoś, kogo nazywa się artystą przeklętym, chciał mu pomóc, wprowadzić na scenę, przedstawić paryskiej śmietance, zamkniętemu i skostniałemu światkowi sztuki, i przedstawił go porządnemu gościowi z Fundacji Dubuffeta, i tym razem było to olśnienie, gość z Fundacji Dubuffeta powiedział, że czarny van Gogh to geniusz, nie było wątpliwości, więc adwokat i ten porządny gość z Fundacji Dubuffeta chcieli zmienić życie Josepha w bajkę, niestety, Joseph bardzo szybko opuścił tę ziemię, wolał zajmować się sztuką u boku sławnych mistrzów, Picassa, Rauschenberga i innych, a wiadomo, że w przypadku wielkich artystów sława przychodzi dopiero po śmierci, żywi mogą się szarpać, zbierać laury, lecz jest to tylko sukces, nie prawdziwa sława, sukces to spadająca gwiazda, sława jest jak słońce, które jeśli zachodzi, to by wstać gdzie indziej, oświetlić inne ziemie, roztoczyć promienie chwały, podobno nawet prawdziwy van Gogh sprzedał za życia tylko jeden obraz, a wedle „Paris-Matcha” po śmierci Josepha jego notowania rosna z każdym dniem, kolekcjonerzy dzwonia z całego świata, rozchwytuja obrazy, które malował na kartonach, dopisujac zawsze zdania z *Hrabiego Monte Christo*, podobno ten czarny van Gogh znał na pamięć całe fragmenty książki Aleksandra Dumasa, a mówiac o Chateaubriandzie, Joseph stwierdza, że to monumentalne dzieło, i dodaje „pisze ostro, strofuje czytelnika, połknąłem *Atalę* i płakałem, gdy dowiedziałem się po czasie, że ojciec Chateaubrianda był handlarzem niewolników, a on nie wspomniął nawet o tym w swoich *Pamiętnikach*”, a mnie, gdy czytałem to w „Paris-Matchu”, wzruszyła zwłaszcza jego odwaga w obliczu śmierci, która miała go zabrać, sam powiada „choroba pożera mój czas i trzymam się dzięki malarstwu, przepędzam wstrętnego raka pociągnięciami pędzla”, a gdy próbuję skończyć lekturę wzruszającego artykułu o Josephie, czarnym van Goghu, Drukarz chwyta mnie za ramię, grozi i próbuje wyrwać mi magazyn, „cholera, Kielonek, rusz się, coś się

tak czepił zmarłych, ten gość jest nic niewart, nawet nie mam chęci patrzeć na jego zdjęcie, to dziad, oberwaniec, śmieć, no, obróć stronę”, i przeskakuje parę stron, krzyczy „zwolnij, minąłeś stronę z dupami, trzynasta”, wracam na stronę trzynastą, rzeczywiście, ekspozycja tyłków, ale jakieś to niewyraźne i zaczynam kaprysić, złoścę się, mówię mu „kto mnie przekona, że to autentyczne zdjęcia, co, niczego nie widać, mogli tu umieścić czyjaś dupę”, Drukarz krzyczy z wściekłości, nie lubi, gdy ktoś wątpi w „Paris-Matcha”, tu nie ma pola do dyskusji, i zaraz go ponosi „co mi tu opowiadasz, Kielonek, co, co mi opowiadasz, chyba zwariowałeś jak facet, któremu stuknęło sześć dych, jak taki mądrała może wygłaszać podobne brednie, he, więc sugerujesz, że to oszukane zdjęcie, właśnie to chcesz powiedzieć, co, myślisz sobie, że takie pismo jak »Paris-Match« będzie zamieszczało byle jakie zdjęcia, nie widzisz tych kolorów, nie widzisz, że to zawodowi fotoreporterzy, ryzykujący życiem, nie widzisz, że piszą tu sami poważni dziennikarze, nie widzisz, że to prawdziwe dupy, o których marzy każdy Francuz w baskijskim berecie, z bagietką, kurwa, chyba naprawdę jesteś ślepy”, a ja wymamrotałem, jakbym z góry obawiał się jego reakcji „tak, ale przecież nie należy wierzyć wszystkiemu, co zamieszczają w brukowcach, ci ludzie sprzedają byle co, póki ktoś chce to kupić”, wtedy denerwuje się jeszcze bardziej „posłuchaj, Kielonek, po pierwsze, to pismo to nie żaden brukowiec, tylko poważny magazyn, solidne fundamenty, mogę cię o tym zapewnić, bo drukowaliśmy go we Francji, mówię ci, że w środku wszystko jest prawdziwe, i dlatego wszyscy go kupują, politycy, gwiazdy, szefowie firm, sławni aktorzy biją się, by się tam znaleźć z rodziną, przed domem, z psem, z kotem, z koniem, ponadto musisz wiedzieć, że tam, gdy polityk dostaje wyrok albo jest zamieszany w podejrzone sprawy, w korupcję, fałszywe faktury, ustawiony przetarg, kumoterstwo i różne takie, każdy chce pozować z rodziną w »Paris-Matchu«, żeby pokazać, że jest w porządku, a tylko ludzie zawistni i polityczni wrogowie chcieliby mu zaszkodzić, by nie mógł wystartować w następnych wyborach, masz pojęcie, co, popatrz na stronę dwudziestą siódmą, jest tam pewien polityk, skorumpowany, umoczony po dupę, zamieszany w najbardziej podejrzone afery we Francji, ale jest w »Paris-Matchu« i wie, co robi, mówię ci”, a ja skupiam się raczej na stronie trzynastej, na której widać niewyraźne tyłki, „przepraszam, ale ciągle mi się zdaje, że to nie jest autentyczne zdjęcie, widać gołym okiem”, wtedy gwałtownie wrywa mi z rąk magazyn, zły, urażony, oddala się, zrzedzając pod nosem „stary głupek od niegdysiejszych śniegów, dotąd myślałem, że jesteś w porządku, ale chyba starość wyżera ci mózg, w dodatku śmierdzisz kupą, idź się umyć”, i spluwa na ziemię, po czym dodaje „nie mamy takiego samego systemu wartości, jesteś z innej epoki, jesteś facetem z przeszłości, nie wiem, po co tu przyłazisz, nie chcę już z tobą gadać, to koniec, trzymam się z dala, kurwa, zapomniałeś, że

byłem we Francji, co, nikt tu nie widział padającego śniegu, nikt tu nie widział Pól Elizejskich i Łuku” i po tych słowach odchodzi, wściekły, zaperzony, a ja mówię sobie „pieprzę to, stary głupek od niegdysiejszych śniegów trzy razy mówi ci wała”, siedzi teraz z kilkoma zapitymi durniami, którzy dyskutują o meczu dzielnych Rekinów Południa z nieustraszonymi Kajmanami Północy, podobno to Kajmany Północy odniosły bezdyskusyjne zwycięstwo dwa do zera, lecz ponoć w meczu wyjazdowym Rekiny Południa wygrały w równie bezdyskusyjny sposób, z czego logicznie wynika, że za dwa tygodnie będzie kolejny mecz, jeśli wierzyć tym palantom, którzy przekrzykują się jak banda znudzonych impotentów, a Drukarz przerywa tę sportową paplaninę „ej, chłopaki, co tu się dzieje, he, gdzie ja trafiłem, powariowaliście czy jak, trochę powagi, kurwa, są ważniejsze rzeczy od waszych barbarzyńskich meczów” i puszcza w ruch swój magazyn, który uszczęśliwia jednych, lecz unieszczęśliwia tych, którzy wielbią futbol

wstaje, by nieco rozprostować nogi i coś przegryźć, mówię sobie, że ten dzień jest dziwny, zaczął się o piątej rano od zbierania gówna, to nie jest dobry znak, teraz wszystkim działam na nerwy, myślę, że to mój ostatni dzień w tym barze, nawet jeśli sam nie jestem o tym do końca przekonany, lecz coś mi mówi, że jest ostatni, trzeba nauczyć się kończyć, powtarzam sobie, wychodząc z baru z masą straconych złudzeń, i przechodzę na drugą stronę alei Niepodległości, Mama Mfoa sprzedaje szaszłyki dokładnie naprzeciwko baru „Śmierć kredytom”, jest łyśa i czasem śpiewa, żeby nas rozbawić, dlatego nazywamy ją czule Łysą Śpiewaczką, sprzedaje smażone sole, kurczaki-telewizory i kurczaki wyścigowe, nie lubię kurczaków-telewizorów, podgrzanych w mikrofalówce, wolę kurczaki wyścigowe, które śmigają po obejściu i które smaży się potem na świeżym powietrzu nad żarem, choć złe języki plotą, że nasza Łysa Śpiewaczka wrzuca do potraw fetysze, że właśnie dlatego ciągle ma klientów, nawet w ciężkich czasach, złe języki gadają też, że te pyszne szaszłyki przyrządza z mięsa psów i kotów, wcale nie wywołuje to we mnie odruchów wymiotnych, nie wierzę w te brednie, a jeśli rzeczywiście to mięso psów czy kotów z dzielnicy, należy wyciągnąć wniosek, że psy i koty z dzielnicy są jadalne, tak więc wszyscy kosztowaliśmy już psów i kotów z dzielnicy, prawda, że wokół jej stoiska kręci się dużo ludzi, pewnie dlatego że Łysa Śpiewaczka jest miła, jest jak troskliwa kwoka dla nas, niebożatek, każdemu zawsze powie jakieś dobre słowo, nie wspomina o zapłacie, trzeba ją wręcz błagać, by wzięła pieniądze, mówi zawsze „to nic, tatuśku, zapłacisz, jak będziesz miał”, jak moglibyśmy godzić się na tę hojność, przecież musi opłacić mieszkanie, wyżywić rodzinę, a kiedy płacisz, dostajesz tak pełny talerz jak nigdzie w dzielnicy, są i tacy, którzy sami wybierają kawałki mięsa z garnka, i dodaje nam gratis bulwy manioku, to jej sposób na przyciągnięcie klientów z



dzielnicy Trzysta, dlatego ją lubimy, a cała reszta jest kiepską literaturą negro-afrykańską znad brzegów Sekwany, to czcza gadanina, ludzie plotą, lecz przecież jedzą szaszłyki z psów i kotów, nie do wiary, powiadają nawet, że olej, na którym smaży, to dziwna mieszanina jej śliny i sików i że dlatego właśnie jej szaszłyki smakują niczym japońskie krokiety, to bzdury, nie wierzę, Mama Mfoa jest uczciwą obywatelką, tak samo zresztą jak Uparty Ślimak, ci ludzie nie będą mieli sobie nic do zarzucenia w dniu Sądu Ostatecznego, mają już zaklepane numerowane miejsca w raju

nasza miła Łysa Śpiewaczka widzi więc, jak podchodzę do jej skromnego kramu, uśmiecha się i mówi „co dziś zje tatko Kielonek, he, minę mamy nietęgą”, wszystkich klientów baru „Śmierć kredytom” nazywa tatuškami, w ten sposób chce nam okazać czułość, mówię jej, by podała mi dobrego wyścigowego kurczaka i dużo ostrej papryki, mówię, by dała mi też manioku, biorę wszystko, płacę, ona powiada „powinieneś przestać pić, tatku, czerwone sovinco to nic dobrego”, a ja odpowiadam „od dziś przestaję, to mój ostatni dzień i ostatnie szklanki wina, przysięgam”, uśmiecha się i dodaje „mówię poważnie, Kielonek, picie to nic dobrego, zobacz, jak wychudłeś, a był z ciebie przystojny gość, marniejesz z dnia na dzień, odstaw butelkę” i obiecuje jej raz jeszcze, że dzisiaj o północy porzucę kult butelki czerwonego wina, „nie wierzę, a co będziesz pił, kiedy już przestaniesz, co”, pyta sobie ot tak, mówię, że będę pił niegazowaną wodę, dużo wody, kręci głową z niedowierzaniem i mówi „chciałabym to zobaczyć, jeszcze jedno, tatušku, pomyśl o prysznicu, nie wiem, czy siadłeś na gównie, ale bardzo śmierdzi”, mówię sobie, że to gówno ciągle jeszcze cuchnie, patrzę, jak obraca kurczaka w mikrofalówce, wrzuca kapary na wrzącą oliwę, wyciera twarz wierzchem prawej dłoni, nawet jej pot kapie do garnka, ale co tam, wszystko to przydaje smaku potrawom i mówię sobie, że ta kobieta to jednak niezwykła osoba, siedzi przy swej kuchni, w pełnej gotowości, i zadaje sobie pytanie, czy naprawdę robi to, by zarobić na swój chleb powszedni czy może z miłości bliźniego, a gdy tak rozmyślam, mówi mi raz jeszcze „picie to nic dobrego, tatku, kiedyś trzeba przestać, znam ludzi, którzy przez butelkę trafili prosto na cmentarz Etatolo, mówię ci, trup pijaka to okropny widok, skóra jest dziwna, czerwona jak wino, to straszne, nie chcę, żeby twój trup wyglądał tak w dniu twojej śmierci, wiesz, o co mi chodzi”, i mówi mi o gościu, który nazywał się Demoukousse, pijaku wobec Wieczności, skóra mu sczerwieniała, wyrosły na niej wielkie grzyby, zdaniem Mamy Mfoy, Demoukousse nigdy nie pił wody i pewnego dnia umarł w krzakach w dzielnicy Fouks z butelką w rękę, pochowano go ze skrzynką wina, jak zapisał w testamencie, który wiernie wykonano, ale nie znałem tego gościa, nigdy się nie zjawiał w barze „Śmierć kredytom”, więc nie ma

sensu, bym tu o nim pisał, byłoby to coś w rodzaju jałowej kompilacji, więc Mama Mfoa widzi, że po historii o Demoukousse, którą mi opowiedziała, nie odzywam się słowem, wtedy zwraca się do mnie „przepraszam, tatku, mam nadzieję, że się nie obraziłeś, co, powiedziałam to, bo bardzo cię lubię, nie powiedziałabym tego, gdybym cię nie lubiła, wierz mi, tatku, nie chcę, żebyś umarł jak Demoukousse, zasługujesz na coś więcej” i w końcu mnie obsługuje, biorę wyścigowego kurczaka, rozkoszuję się wonią, jest dobrze upieczony, kicham, czując cebulę, patrzy na mnie i szepcze słodkim głosem „smacznego, tatuśku”, znów przechodzę na drugą stronę alei Niepodległości, by zjeść tam, gdzie zwykle

kiedy właściciel baru „Śmierć kredytom” zadaje mi pytanie „co tam, Kielonek, wszystko dobrze”, naprawdę nie mam pojęcia, co odpowiedzieć, wie o mnie wszystko, wie, dlaczego spędzam tu życie, dobrze wie, że to z powodu Angelique, przecież widział, jak Angelique wyciągała mnie z tego baru przed laty, gdy nie było jeszcze nawet zadaszania, i cóż mogę mu więcej powiedzieć, nie mam nic do dodania, prawda, że piszę w zeszycie, nie wiem, kto jeszcze kiedyś będzie mógł to przeczytać, ale ten niedyskretny czytelnik nie dowie się niczego, jeśli nie będzie pochodził z naszego seraju i będzie się głowił, co takiego mi się przydarzyło, powie sobie „dobrze, że mówisz o innych, dobrze, że siedząc w kącie, jesz wyścigowego kurczaka, wszystko to pięknie, ale co przydarzyło się tobie, Kielonek, powiedz mi o sobie, powiedz wszystko, nie kręć, czas na twoją spowiedź”, muszę więc powiedzieć także coś na swój temat, niedyskretny czytelnik musi się dowiedzieć, dlaczego upadłem tak nisko i to bez spadochronu, musi się dowiedzieć, dlaczego teraz spędzam czas tutaj, muszę uzupełnić tę lukę w umyśle czytelnika, któremu wciąż powtarzam, że jestem tu czymś w rodzaju żywej skamieliny, muszę na wstępie zaznaczyć, że Angelique to imię mojej byłej żony, ale gdy o niej mówię, nazywam ją Diablicą i w całym tym zeszycie będę zwał ją Diablicą, właśnie tak, bo nie ma w sobie nic z anioła, jest jego przeciwieństwem, anioły, nawet frywolne, nie postępują w ten sposób, a Diablicą spędziła u mego boku ponad piętnaście lat i przez wszystkie te lata żywiła nadzieję, że uda jej się dowieść, iż jej kształty są bardziej pociągające niż butelka czerwonego wina, a ja przez ponad piętnaście lat usiłowałem jej udowodnić coś wręcz przeciwnego, gdyż butelkę mogę wypić, kiedy chcę, jak chcę, gdzie chcę, to zależy jedynie ode mnie, od mojej woli, od pory, o której zjawiam się w barze „Śmierć kredytom”, a z Diablicą było tak, jakbym nie miał do czynienia z prawdziwą kobietą

wiem, że kurczak może ostygnać, że powinienem jeść, ale muszę powiedzieć parę słów o mym życiu, o Diablicy, więc na początku ta kobieta wyciągała mnie z baru, by zaprowadzić do domu, ale gdy tylko zasnęła, wracałem, a nazajutrz chlipała, mówiła, że nigdy się nie widzimy, że nasze współżycie zmieniło się w piekło, a ja wracałem zawsze z pierwszym pianiem koguta, który siadał wysoko na szczycie mangowca na naszym obejściu, i zdarzało mi się zasnąć pod mangowcem, budziło mnie ciepłe sraczkowate guano naszego koguta, który skakał na czubek drzewa, by obwieścić kolejny świt, gdy rano Diablica otwierała drzwi, znajdowała mnie na podwórzu w szczynach, w płynnych czarnych fekaliach, zalewała się łzami, wzywała sąsiadów z nadzieją, że ze wstydu zmienię

obyczaje, a ja pieprzyłem sąsiadów, których nie chciałem znać, domagałem się poszanowania mojej prywatności, a jeden z sąsiadów, którego nie lubiłem najbardziej ze wszystkich, mówił „prywatność się kończy, gdy zaczynamy przeszkadzać otoczeniu, wolność jednostki kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność innych”, ten gość bawił się w filozofa epoki Oświecenia, omal nie doszło między nami do rękoczynów, bo wciąż chciał mi udowodnić, że ma więcej ogłady, cóż, dość że pewnego dnia, o świcie, Diablica głośno i dobitnie stwierdziła, że co za dużo, to niezdrowo, że jej cierpliwość ma swoje granice, że nie ma zamiaru marnować życia na zajmowanie się takim chodzącym trupem jak ja, że jestem dla niej wiecznym utrapieniem, powiedziała też, że jestem zwykłym sprzedawcą lez, że marnuje ze mną swoje najlepsze lata, zatem wszystko jest jasne, muszę raz wreszcie wybrać, muszę dokonać wyboru, ona lub alkohol, był to wybór godny Corneille’a, więc powiedziałem „tak” alkoholowi, a ona zaczęła szlochać wieczorami, kiedy nie wracałem czy kładłem się u stóp mangowca na naszej posesji, rozmawiała na ten temat z sąsiadem, filozofem ery Oświecenia, który mówił jej, że właściwie już jestem martwy, że jestem jak upiór z opery, zwykły powsinoga, a Diablica przytakiwała tym filozoficznym wzlotom z demobilu, dodawała, że wolałaby moją szybką i gwałtowną śmierć niż tę śmierć na kredyt, która była przyczyną znacznie większych cierpień; wolałaby moją śmierć, by odnaleźć w życiu choć trochę wolności, mówiła, że nie może już znieść spojrzeń ludzi z dzielnicy, że z niej drwią, że nawet psy szczekają na jej widok, a przecież to nie ona pije, przysięgała, że jeśli tak dalej pójdzie, rzuci się do Tchinouki, a ja ją pocieszałem, znajdowałem niezbite argumenty, mówiłem na przykład poważnym i uroczystym tonem, że lepiej pić niż palić, lecz ona odpowiadała zaraz, że picie i palenie to jeden czort, jeden karabin, zatem nie należy pić, nie należy palić, bo inaczej jedzie się na tamten świat nogami do przodu, a ja tylko się śmiałem, nie rozumiałem, co może być złego w tym, że piję, w dodatku nigdy nie uderzyłem Diablicy, to raczej ona mnie szarpała, wymyślała mi, kiedy się gniewała, taka była prawda, a jednak pozostałem opojem biernym, nieagresywnym, zdawała sobie sprawę, że wiem, co znaczy bierny opór, że moim ulubionym plakatem był ten, na którym Luther King i patrzy na zdjęcie Gandhiego, to najlepszy dowód, że byłem zwolennikiem biernego oporu, byłem daleki od atakowania drugiej płci, czemu miałbym to robić, co, i stawiałem jej pytanie „czy kiedyś cię uderzyłem, czy choćby zaczepiłem kogoś na ulicy, czy kiedyś przychodził tu ktoś na skargę, nigdy, na nikogo nie podniosę ręki, możesz mnie wyzywać od ptaków niebieskich czy nietotów, możesz mnie uważać za w przybliżeniu człowieka, możesz poniżać w obecności ludzi, mnie to zwisa, każdy przyszedł na ziemię ze swym własnym brzemieniem, więc bardziej mnie nie pogrążysz, wiem, co robię, nawet kiedy piję, więc mam gdzieś to twoje czarno-

białe kino”, wciąż jej to powtarzałem, przysięgam na grób mojej matki, utopionej w szarych wodach Tchinouki

a Diablica tłumaczyła wszystkim dookoła, że mam diabła za skórą, że jestem opętany, że padłem ofiarą złośliwej istoty, która nosi wysoko zaostrzony ogon, istoty, która mnie zwodzi oczami jak wulkany, wyjaśniała, że tańczę, jak mi demon zagra, że kiedy mówię, to Szatan przemawia moimi ustami do Boga, a że nic z tego do mnie nie dociera, ona mi pokaże, toteż któregoś dnia ogłosiła *urbi et orbi*, że da mi ostatnią szansę, że muszę z niej skorzystać, więcej okazji nie będzie, żadnej taryfy ulgowej, powiedziała „przyjemnie jest pić, ale nie wolno zatruwać życia tym, którzy nie piją, co to za historie, myślisz, że mam dalej zamiar żyć w ten sposób, co”, otóż, mówiła dalej, alkohol bardziej szkodzi tym, którzy nie piją, niż tym, którzy go konsumują, a gdy go konsumuję, to jakby ona go konsumowała i upijała się dwa razy bardziej niż ja, to nasz sąsiad filozof natchnął ją tymi ryzykownymi teoriami, które wzięła serio, ten sąsiad mówił, że Diablica jest „ofiara rykoszetu”, ten sąsiad naprawdę przynudzał, a ja śmiałem się z jego napuszonych wywodów faceta, który nie studiował nawet medycyny w Paryżu, zresztą niejeden uczonej jara jak strażak na służbie, nie trzeba przesadzać, jakim cudem to, co piję, mogłoby nagle znaleźć się w jej brzuchu i ją upić, jakby to ona piła, Bóg to nie byle kto, jeszcze czego, zostaliśmy stworzeni z wszystkimi detalami, nie ma niewidzialnych łączów między żołądkami, każdy pije, co jego, każdy ma własne jelito cienkie i trzustkę, moja żółć jest moja, jej żółć należy do niej, to wszystko, i to właśnie odpowiedziałem Diablicy oraz naszemu sąsiadowi, filozofowi doby Oświecenia, ale była to już ostatnia szansa, którą dawała mi żona, chciałem zobaczyć, co zrobi, gdy nie podporządkuję się jej nakazom, a ona powiedziała „nie żartuję, mówię ci, że to twoja ostatnia szansa, ta historia źle się skończy, pamiętaj”, a ja się śmiałem „słowa, słowa, słowa”, i dalej trawiłem, wlewałem w siebie hausty czerwonego wina, odkręcałem, opróżniałem niewinne butelki sovinco, zapomniałem nawet, że jestem żonaty, że Diablica jest moją żoną, aż któregoś dnia sąsiedzi, którzy przeszli na islam, wyciągnęli mnie z baru „Śmierć kredytom”, by mnie powiadomić, że moja małżonkę ukąsił wąż, powiedziałem, że nie jestem żonaty i że bajki o węzach nie bawią już nawet czarnych dzieci, i słyszałem, jak ci muzułmańscy sąsiedzi szepczą, że Allah lepiej by zrobił, odbierając mi życie, którego nie jestem wart, że jestem już tylko cieniem, duchem bez nagrobka, otóż ci muzułmańscy sąsiedzi mieli rację, moją żonę naprawdę ukąsił jeden z tych czarnych węży, od których roi się w dzielnicy Trzysta, jakby nie miały już dość przestrzeni życiowej na zadrzewionych sawannach, nawet węże dołączyły do migracji ze wsi do miast i nie znalazły sobie lepszego celu niż Diablica, ale miałem to w wielkim poważaniu,

myślami byłem gdzie indziej, i może to ta historia z czarnym wężem rozwaliała wszystko, a Diablica postanowiła przyspieszyć tok zdarzeń

pewnego jakże słonecznego dnia wylądowała w domu rodzina ze strony żony, przeprowadzili plemienną naradę wojenną i stałem się tematem ich zawilej dysputy, ja, Kielonek, obmówili mnie na wszelkie możliwe sposoby, uchwalili stosowny dekret i skazali zaocznie, bo nie stawilem się przed trybunałem, jakbym przeczuwał, że ci ludzie zastawiają pułapkę, mój instykt dał o sobie znać, dzień wcześniej wypisałem się z domu i o włos uniknąłem szponów tej ciemnoty, tych katów praw człowieka, tych nudziarzy, tych synów chaosu, synów nienawiści, jednak nie doceniłem przytomności umysłu i zaciętrzewienia Diablicy, która wiedziała, gdzie mnie szukać, poprowadziła ten rodzinny komitet powitalny ulicą, aleją Niepodległości, nawet przechodnie myśleli, że to strajk *battii*, nędzy z dzielnicy Trzysta, bo, trzeba to powiedzieć, moi byli teściowie to zwykle obdartusy, stróże, plebs w starych, wyświechtanych łachach, nic dziwnego, toż to kmiotki z prowincji, myślą wyłącznie o uprawie roli, wyglądają pory deszczowej, a że są pazerni, gotowi są sprzedać dusze swoich zmarłych pierwszemu, który się napatoczy, brakuje im ogłady, nigdy nie nauczyli się jeść przy stole, posługiwać widelcem, łyżką czy nożem, ta hałastra spędziła cały swój marny żywot, polując na palmowe szczury i wiewiórki, łowiąc karłowate sumy, i nie da się nawet podyskutować z nimi o kulturze, bo, jak powiada pewien bard z wąsami, ich umysły są naprawdę niewiele większe od naparstka, więc ci jaskiniowcy przyszli oderwać mnie od szlachetnych zajęć w barze „Śmierć kredytom”, odczytali mi zaoczny akt oskarżenia, postanowili zaprowadzić mnie do uzdrowiciela, maga czy szamana, zwanego Zero Błędu, by przegnał natrętnego diabła, który we mnie mieszka, by odebrał mi nawyk opalania się pod słońcem szatana, i mieliśmy tam iść razem, do tego kretyna zwanego Zero Błędu, wcale się nie bałem, chciałem sobie z nich zadrwić i powiedziałem „zostawcie mnie w spokoju, czy wychylając szklaneczkę, komukolwiek przeszkadzam, dlaczego wszyscy są przeciwko mnie, nie pójdę do Zero Błędu”, a wszyscy ci dzielni ludzie z rodziny mojej żony zawołali chórem „muscisz iść z nami, Kielonek, nie masz wyjścia, pojedziesz tam choćby na taczce, jeśli zajdzie potrzeba”, a ja zacząłem wyć jak hiena schwyтана w wilczy dół „nie, nie i jeszcze raz nie, prędzej wyciągnę kopyta, niż pójdę z wami do tego Zero Błędu”, a że mieli przewagę liczebną, chwycili mnie, poturbowali, grozili, obezwładnili, a ja krzyczałem „hańba, niedowiarki, nic mi nie zrobicie, czy ktoś skleił kiedyś stłuczony kieliszek”, i siłą wsadzili mnie na śmiechu wartą taczkę, cała dzielnica ryła na ten widok, bo wlekli mnie jak worek cementu, przeklinałem Zero Błędu przez całą tę drogę krzyżową, a żona opowiadała wciąż o czarnym wężu, który ją ukaślił, pytałem, o

jakiego węża chodzi, „to był wąż szatana, sam go sprowadziłeś, nigdy jeszcze nie ugryzł mnie czarny wąż” krzyczała, a ja mówiłem „czarny wąż, rzeczywiście, jak mogłaś zobaczyć go w nocy, jeżeli był czarny”, omal nie przewróciła taczki, ciotka na czas ją uspokoiła i rzekła „spokojnie, kochana, Zero Błędu zaraz się nim zajmie, wkrótce się przekonamy, czy diabeł i Pan Bóg mogą jeść z jednej miski, jeśli jeden nie używa bardzo długiej łyżki”

przemocą zawlekli mnie do Zero Błędu, nuciłem nie pamiętam już jaką melodię, któż może wiedzieć, czemu ptak w klatce śpiewa, nuciłem pewnie jedną z pieśni Salomona, taczka podskakiwała, o mały włos się nie wywróciła, nie wiem, jakim cudem z niej nie wypadłem, a ludzie pchali taczkę na zmianę, naprawdę dawałem do wiwatu, głośno bekałem, zagroziłem nawet, że zrobię siku czy kupe, wreszcie dotarliśmy na szczyt wzgórza, przed starą chatę Zero Błędu, po tamtej stronie Tchinouki, szaman, który widział nas z daleka, powiedział „ściągnijcie zafajdane buty, niedowiarki, odpędźcie złe myśli, jesteście w moim domu, jesteście w królestwie przodków” i cały orszak zrobił, jak przykazał, jakby przemówił przez niego Duch Święty z krwi i kości, żona zdjęła mi półbuty *manu militari* i rzucili je w ką, powiedziałem do żony „tylko nie zapomnij o butach”, a kiedy dawali prezenty Zero Błędu, a on rozplýwał się w podziękowaniach w tonacji C-dur, ale gdzieś wyraźnie słychać było bemol, tak podejrzana była to istota, od razu zdałem sobie sprawę, że Zero Błędu to żaden uzdrowiciel, przypominał gościa, który chciał uczynić sędziego bogatym, gościa, o którym już mówiłem, a który nazywa się Mouyeke, Zero Błędu nie był też żadnym czarownikiem, bo, co jak co, prawdziwego czarownika rozpoznam z daleka, nie był nawet oszustem dżentelmenem, był po prostu oszustem, a ja rzuciłem mu wyzwanie, powiedziałem temu oszustowi „ty tam, jeśli naprawdę jesteś uzdrowicielem, jeśli jesteś czarownikiem z prawdziwego zdarzenia, odgadnij moją datę i miejsce urodzenia, tu, w obecności świadków, powiedz coś o moim drzewie genealogicznym, daj nam dowód twojej tajemnej wiedzy”, a moi teściowie, te kmiotki gotowe kupczyć duszami zmarłych, ta tłuszcza, ta zgraja wybałuszyła oczy, zaczęli mi urągać, ujeżdżać jak burą sukę i kazali mi skończyć tę komedię, jeśli nie chcę ściągnąć na siebie boskiego gniewu, podczas gdy Zero Błędu nawiązuje kontakt z przodkami, przyparli mnie do muru, a ja nie tracąc animuszu, dodałem „tak, gdyż prawdziwi czarownicy z Louboulou, mojej rodzinnej wioski, potrafili odgadnąć datę i miejsce urodzenia, ty tego nie potrafisz, obaj dobrze to wiemy”, atmosfera robiła się napięta, żona powiedziała „Kielonek, czy możesz choć na chwilę zamknąć gębę na kłódkę i pozwolić pracować wielkiemu Zero Błędu”, lecz ja nie przestałem, jeszcze mocniej przybiłem gwóźdź do własnej trumny, mówiąc zgromadzonym „ten gość to

szarlatan pierwszej wody, żaden z niego szaman, żaden uzdrowiciel, połasił się na mamonę, tak, chce was oskubać jak wszyscy oszuści w tym kraju, skubiący uczciwych ludzi, to jest prawdziwy diabeł, nie ja, mówię wam, *vade retro Satana*”, rodzina żony wymyślała mi zgodnym chórem, gdy wygłaszałem te herezje, a żona krzyczała „lepiej zamilcz, Kielonek, dlaczego mówisz w ten sposób do człowieka, przed którym drży cała dzielnica, zwariowałeś, czy co”, zaśmiałem się, pokazałem temu oszustowi wała, splunałem na ziemię, a teść powiedział „naprawdę twój mąż nie jest już człowiekiem, którego znałem”, a teściowa powiedziała z kolei „Boże, oby przodkowie wybaczyli nam szaleństwa zięcia, nie wiedziałam, że szatan może wkładać podobne bluźnierstwa w usta Bożego stworzenia”, a szwagier powiedział „on nie jest stworzeniem Bożym, to wcielony Antychryst” i cała reszta kmieci, kumów i kumoszek oraz innych Ostrogotów mówiła to samo, moja żona znów zabrała głos, bo chciała dojść z tym wszystkim do ładu, więc powiedziała „Kielonek, masz natychmiast przeprosić Zero Błędu i przodków, którzy na nas patrzą, to przez ciebie nie można nawiązać kontaktu”, a Zero Błędu, który udawał, że medytuje, w końcu się odezwał, westchnął coś w rodzaju „droga pani, dziękuję za te mądre słowa, lecz musi pani zrozumieć, że diabeł wszedł w skórę pani małżonka, to demon tak przemawia, obiecuję, że wypędzimy diabła z jego ciała, proszę mi wierzyć, nie przypadkiem nazywam się Zero Błędu i, jak wszyscy wiecie, miałem do czynienia z jeszcze bardziej krnąbrnymi duchami niż ten”, a ja znów krzyknąłem wściekle „przestań pleść androny, ty żaloszny kłamco, ty żaloszny oszuście, żaloszny sprzedawco złudzeń, żaloszny człowieczku o siedmiu imionach i trochę, żaloszny samochwało, żaloszny szarlatanie, żaloszny iluzjonisto bez cienia talentu, żaloszny naciągaczu, żaloszny kapitalisto, *vade retro Satana*”, powiedziałem to wszystko, a Zero Błędu nagle się zdenerwował, stracił nad sobą kontrolę, przybrał swój najbardziej jadowity uśmiech, zazgrzytał czarnymi zębami, na to właśnie czekałem, chciałem, by przestał nad sobą panować, a on powiedział „wyzywasz mnie od kapitalistów, he, mnie, ja miałbym być kapitalistą, powtórz te bluźnierstwa przed maskami przodków, a zobaczysz, że zmienię ci dziób w świński ryj” krzyczał tak, a ja nie ustępowałem „tak, jesteś żalosznym kapitalistą, zwykłym żalosznym kapitalistą, popierasz wyzysk człowieka przez człowieka, *vade retro Satana*”, jeszcze bardziej się zdenerwował i powiedział do żony „proszę posłuchać, droga pani, nie mogę pracować w tych warunkach, pani mąż nie ma dla mnie ani krzty szacunku, nie ma szacunku dla przodków, ośmiela się nazywać mnie kapitalistą, mógłbym jeszcze znieść, gdyby diabeł mówił do mnie *vade retro Satana*, ale nie będzie wyzywał mnie od kapitalistów, czy ja wykorzystuję biednych, czy liczę na zyski, czy popieram wyzysk człowieka przez człowieka, przecież jestem Zero Błędu, spytajcie, kogo chcecie, a powie wam, że przywracam wzrok ślepcom, nogi



paralitikom, głos niemym, owulację bezpłodnym kobietom, erekcję mężczyznom, którym nie staje już nawet rano, kiedy normalnie siki podnoszą członka każdemu samcowi, może słyszeliście, że to dzięki mnie nasz mer zostanie na stanowisku do końca swoich dni, nie wspomnę już o studentach, którzy tylko dzięki mnie zdali egzaminy, o posadach, jakie załatwiłem ludziom, którzy nie chodzili do żadnej szkoły, nie wspomnę też, że żona naszego prefekta dzięki mnie wróciła na łono rodziny, nie bez racji nazywają mnie Zero Błędu, wiecie, że kiedy w szpitalu Adolphe-Cisse bezradnie rozkładają ręce, to ja, człowiek z krwi i kości, który przed wami stoi, pomagam biednym beznadziejnie chorym, hę, więc kiedy widzę tego rodzaju kretynów jak pani mąż, którzy rzucają cień na moją legendarną reputację, profanują święte maski przodków wiszące na ścianie, powiadam sobie, że ten świat naprawdę schodzi na psy, że Antychryst zjawił się na tym padole za jego pośrednictwem, mówię wam, że miejsce tego pana jest w domu wariatów, więc proszę, zabierzcie tego śmiecia z powrotem do domu, cholera, co za historia, wynocha, powiedziałem, nie będę leczył tego typu, który mnie nie szanuje, opuście to święte miejsce, nim rzucę urok na wszystkich”, a ja znów parsknąłem śmiechem jak kojot dający koncert gospel nad brzegiem Missisipi, jak górski wilk, wykonujący barokowy koncert, i powiedziałem żonie „nie zapomnij o butach”, a rodzina żony znów wsadziła mnie na taczkę, bo bała się, że Zero Błędu rzuci na nią urok, bo bała się, że wśród jej potomstwa będą trafiać się dzieci z ryjkami, racicami i zakręconym ogonem, tak odwieziono mnie do domu i tak w ich oczach uchodziłem odtąd za ostatniego głupka, lecz szczęśliwie wymknąłem się ze szponów wielkiego oszusta Zero Błędu, *vade retro Satana*

jednak moja kalwaria wcale się nie skończyła, bo Diablica nie przestała się skarżyć i poszedłem w odstawkę, żadnych numerków przez następne dni, tygodnie i miesiące, a przecież to lubiłem, kiedy byłem wstawiony, fajnie to robić, kiedy się wypije, zdaje ci się, że fruwasz, nabierasz wysokości, ale Diablica już mnie nie chciała, podobno śmierdziałem, podobno nie byłem już tym samym facetem, czasami przypominałem szatana, a przecież nie mogłem jej zgwałcić, nie, to do mnie niepodobne, więc odtąd nie bzykałem, a nieco później, gdy z dnia na dzień było coraz gorzej, Diablica posadziła mnie u stóp mangowca w naszym obejściu, miała mi coś ważnego do powiedzenia, nie chciałem jej słuchać, powiedziałem „daj spokój, nie bzykałem od niepamiętnych czasów, nie odezwę się słowem, dopóki nie bzyknę”, a ona popatrzyła na mnie z politowaniem, zaczęła przemawiać smutnym głosem, omal się nie rozplakałem, gdy przypominała, że wszyscy w dzielnicy mają mnie już za pijaka, a przecież byłem cenionym nauczycielem w Szkole Podstawowej imienia Trzech Męczenników,

powiedziała, że nie czytam już żadnych książek, Frederica Darda *alias* San-Antonio, *Bajek La Fontaine'a*, *Listów z mojego młyna*, *Dziennika wiejskiego proboszcza*, powiedziała, że niektórzy z moich dawnych uczniów dobrze mnie wspominają, że kilku znalazło się w rządzie, że są kimś na lewicy albo na prawicy, że przecież byłem jedynym nauczycielem w tej szkole, który nie bił uczniów, że dawałem przykład, przypomniała też, jak z dnia na dzień wyrzucono mnie ze szkoły, prawda, że to czarny rozdział mojej egzystencji, ale takie jest życie, czy to moja wina, czy naprawdę nie mogłem dalej prowadzić lekcji, co, oni tak twierdzili, ludzie małej wiary, myślę, że powinienem teraz powiedzieć coś o tym, dwa czy trzy słowa na ten temat, nawet jeśli wyścigowy kurczak, którego nie tknąłem, stygnie z powodu natłoku tych myśli

ponoć gdy byłem jeszcze nauczycielem, dzień w dzień spóźniałem się do szkoły, zawsze kiedy wypilem, podobno na lekcjach anatomii pokazywałem dzieciom tyłek, podobno rysowałem na tablicy wielkie organy, podobno sikałem w kącie, podszczypywałem koleżanki i kolegów po fachu, ponoć dawałem uczniom spróbować wina palmowego, a że na tym ginącym świecie nie ma czegoś takiego jak drobne nieporozumienie, inspektor oświaty dowiedział się o moich prymitywnych zwyczajach, także prefekt regionu zapoznał się z kroniką mojego staczania się po równi pochyłej, a prefektem regionu był w tym czasie człowiek, który nie zamierzał tolerować tego rodzaju rzeczy, zawczasu rozcinał wrzód, więc ten cholerny prefekt był bardzo kategoryczny, bardzo nieustępliwy i bardzo nieprzejednany i zażądał mojego natychmiastowego przeniesienia, powiedział surowym głosem proroka odczytującego wykute w kamieniu Boże przykazania „wyślijcie mi tego moczymordę do buszu, nie chcę więcej słyszeć o nim w tym okręgu, szkodzi mojej kampanii antyalkoholowej, nie zamierzam odpaść przy okazji następnej nominacji”, chciał więc za wszelką cenę przenieść mnie do buszu, a ja zdecydowanie i kategorycznie powiedziałem „nie”, nie wyobrażałem sobie, że miałbym siedzieć w buszu i patrzeć w kupry perliczek, wtedy właśnie dowiedział się o wszystkim komisarz okręgu, z tym gościem nie ma żartów, mierzy ponad dwa metry, trzeba robić, co powie, koniec kropka, i ten gość poparł pomysł prefekta, żeby mnie relegować do głębokiego buszu, do perliczek, powiedziałem nie, nie i jeszcze raz „nie”, i wtedy dowiedział się o tym komisarz rządowy, był to skądinąd sympatyczny facet, wyglądał jak pedał, bo idąc, kręcił zadkiem, komisarz rządowy, skądinąd całkiem sympatyczny facet, powiedział, że busz to jedyne wyjście dla ludzi mego pokroju, będę tam pił tylko wino palmowe, które, jego zdaniem, jest trochę mniej szkodliwe niż czerwone wino sovinco, powiedziałem „nie, nie i jeszcze raz nie”, i wtedy dowiedział się o sprawie minister edukacji i powiedział „co to za bajzel mamy w dzielnicy Trzysta, he, pijaństwo nie

tłumaczy kretyństwa i *vice versa*, przenieście mi migiem tego pijaka do buszu i nie chcę o tym słyszeć”, nastąpił efekt kuli śniegowej, drobne nieporozumienie stało się sprawą publiczną, busz czy nie busz, to było pytanie, zaraz też rodzice uczniów zaczęli zabierać dzieci z mojej klasy, potem przestano wydawać mi kredę, bo ponoć ją jadłem albo rozdeptywałem, potem przestano wydawać mi długopisy, bo ponoć w obecności klasy myliłem je z termometrem i wkładałem sobie tam, gdzie nie trzeba, potem przestano mi wydawać kolorowe długopisy i flamastry, bo nie rozróżniałem już dobrze kolorów, tylko czerwony i czarny, potem przestano mi wydawać przybory geometryczne, bo ponoć nie potrafiłem już wykreślić prostej, która jest najkrótszą drogą łączącą dwa punkty, potem przestano mi wydawać mapę naszego kraju, bo ponoć używałem jego nazwy z czasów, kiedy był królestwem, a ja powiedziałem głośno i dobitnie „pieprzę to, nie potrzebuję wszystkich tych dupereli, żeby nauczać, dam sobie radę sam, pieprzę długopisy, pieprzę kredę, pieprzę linijki i pieprzę też mapę kraju, bo ten kraj to gówno, granice, które dostaliśmy w spadku, kiedy biali dzielili tort kolonialny w Berlinie, ten kraj nawet nie istnieje, to rezerwat pełen bydła, które zdycha z głodu”

pewnego dnia, niezłe zaprawiony, wszedłem do klasy, stwierdziłem, że tylko jeden uczeń siedzi w głębi sali, na szczęście był to jeden z mych najlepszych uczniów, kazałem mu podejść bliżej, usiąść w pierwszej ławce, powiedziałem, że może czuć się dumny, bo głód wiedzy opromienia jego anielską główkę, i mimo wszystko przeprowadziłem lekcję z tym małym aniołkiem, który patrzył na mnie z litością, bo był to prawdziwy anioł o niewinnych oczach i spojrzeniu pełnym tolerancji, został w klasie, choć jego koledzy wcale się nie stawili, usiadł w pierwszym rzędzie, rozłożył na ławce przybory, zeszyt, kieszonkowy słownik, temperówkę, ołówek, gumkę, długopis bic i butelkę wody mayo, a ja zacząłem mówić o liczbie mnogiej rzeczowników, fakt, że byłem podcięty, ale pamiętam mniej więcej, co mu powiedziałem, „mój mały, dziękuję, że przyszedłeś, być może po raz ostatni nauczam w tej szkole, sam Bóg cię przysłał i zobaczysz, będziesz w życiu kimś ważnym, naprawdę, mam przeczucie, dlatego nauczę cię zasad pisowni, dowiesz się o liczbie mnogiej rzeczowników, to ważne w życiu, mały, reszta przyjdzie później, bo życie to banalna historia liczby pojedynczej i mnogiej, które zwalczają się co dzień, kochają, nienawidzą, ale są skazane, by żyć razem, zatem otwórz zeszyt i notuj, co ci powiem, zapamiętaj, że liczbę mnogą rzeczowników pospolitych z reguły tworzy się, dodając na końcu s, lecz uwaga, liczba pojedyncza i mnoga są podobne w rzeczownikach zakończonych na s, x, z, jak w *bois*, *noix* czy *nez*, a za chwilę przyjrzymy się liczbie mnogiej rzeczowników złożonych, jak *coffre-fort*, *basse-cour* czy *tire-bouchon* i zwrócimy uwagę na liczbę

mnogą rzeczowników pospolitych pochodzenia obcego jak *pizza* czy *match*”, w tym momencie usłyszałem hałas i wściekłe krzyki na zewnątrz, stała tam cała zgraja intruzów, odwróciłem się, zobaczyłem dziesięciu milicjantów wpadających z krzykiem do klasy, a za nimi rodziców mojego ostatniego ucznia, który płakał, bo nie chciał opuścić klasy, chciał odbyć całą lekcję jak przykładowy uczeń, by nie żałować później błędów młodości, a milicjanci wymierzili mi parę kopniaków w tyłek, miotałem się jak diabeł, uczeń płakał, chciał mnie bronić, poddałem się bez walki, powiedziałem aniołkowi „dziękuję, mój aniele, przerastasz tych ludzi, którzy rzucają we mnie kamieniem, przerastasz ich, bo tylko ty mnie rozumiesz, mój krzyż jest ciężki, ale poniosę go bez szemrania do końca, nie płacz, spotkamy się w raju”, a aniołek pożegnał się czułym gestem i otarł łzy, tak poddano mnie kwarantannie, zakazano kręcić się w okolicach szkoły, wtedy powiedziałem głośno i dobitnie „pieprzę, ani mnie to ziębi, ani grzeje”, zdjęli mnie z urzędu, czekałem dwa tygodnie, miesiąc, dwa miesiące w domu bez żadnych wieści, jakaś starsza dama przejęła moją klasę, a trzy czy cztery miesiące później otrzymałem długi oficjalny list tak źle napisany, że straciłem cały dzień na poprawianie błędów gramatycznych i składni, parskalem śmiechem, pieprząc całą zawartość, jednak w tym długim liście proponowano mi wciąż posadę w jakiejś zapadłej dziurze na prowincji, gdzie nie ma nawet elektryczności, a przecież, jak przypomnieli negrzy naszego prezydenta-generała armii, Lenin powiedział „komunizm to władza rad plus elektryfikacja kraju”

w tych burzliwych czasach Diablica błagała mnie, bym skorzystał z ostatniej szansy, powiedziała, że busz to nie koniec świata, że życie jest tam tańsze, że nie brakuje tam świeżego mięsa, wystarczy zapolować za chatą, ryby same garną się do sieci, gałęzie drzew owocowych rosną tak nisko, że nawet ogrodowe krasnale sarkają, że ciągle muszą się schylać, i przekonywała mnie, że busz jest spoko, że zmarli nie muszą tam czekać w kolejce, bo na wiejskim cmentarzu jest dość miejsca dla wszystkich, że tamtejsi ludzie są tacy sympatyczni, więc niewinnym tonem powiedziałem „ach tak, więc busz jest spoko”, a Diablica, która czuła, że zaczynam zmieniać zdanie, odparła „Kielonek, to właśnie staram ci się wbić do głowy już od paru dni, nie chcesz mnie słuchać, czepiasz się miasta jak kangurek, który za żadne skarby nie chce wyjść z kieszeni matki”, a ja palnąłem „więc czemu ludzie wcale się tam nie garną, skoro to lepsze od miasta, co”, powiedziała „bo są głupi i tyle, a ty jesteś inteligentny, potrafisz zrozumieć, że busz to prawdziwe życie”, tym razem spytałem zaniepokojony „naprawdę jesteś pewna, że nie wysyłają mnie tam tak jakby za karę”, odparła, że przecież nie spędzimy dnia na tych jałowych dysputach, to najlepsze wyjście, dobre dla nas obojga, będzie mnie kochała, ja będę ją kochał, będziemy szczęśliwi, z dala od

złych języków, z dala od zawistników i by zamknąć dyskusję, Diablica dodała, że jeśli zgodzę się na tę propozycję, pozwoli mi pić, ile zechcę, obiecała nawet, że znajdzie kogoś, kto będzie mi przywoził wino palmowe, dobre wino palmowe co dzień rano, więc kamień spadł mi z serca, Diablica chciała tylko naszego dobra, wyobrażałem sobie to wyśnione życie z butelką wina palmowego u boku i dlatego w dwa dni po naszej budującej dyskusji część mego „ja” opowiadała się za buszem, a druga nie chciała opuszczać miasta i podpowiadała, że wciąż zastywiają na mnie niewidoczne sidła, naprawdę miałem serce w rozterce, busz albo nie busz, oto jest pytanie, tymczasem suszyło mnie jak nigdy dotąd, chciałem się napić wina sovinco i pewnego dnia nie wytrzymałem, poszedłem się napić i wróciłem do domu zalany w trupa, jak zwykle, śpiewałem na cały głos moją ulubioną piosenkę *Ponieśmy śmierć za idee* i słyszałem, jak ten bard z wąsami, który pali fajkę, śpiewa niskim głosem jakby tylko dla mnie „zdołali mnie przekonać, a moja niesforna muza, zginając się w ukłonach, przechodzi na ich stronę, ryzykowna ekskuza”, ten sam bard mówił mi też wyraźnie, jakby chciał mnie przestrzec „jaki smutek i gorycz oddawać duszę Bogu, kiedy stwierdzisz nie w porę, że poszedłeś złą drogą”, a ja znałem przecież tę piosenkę na pamięć, nie chciałem zejść na złą drogę, nie chciałem zdradzać moich ideałów, przywiązywać się do idei; które wcześniej czy później wyjdą z obiegu, ten pieśniarz pouczał mnie, że ludzie, którzy każą innym umierać za idee, nigdy nie świecą przykładem, a czemu ci moraliści sami nie pójda żyć w buszu, hę, więc odmówiłem pójścia na wygnanie, na zapadłą prowincję, bo nie chciałem być pijaczną z buszu, a że kategorycznie odmówiłem przeniesienia, administracja skorzystała z okazji, by skreślić mnie z listy nauczycieli, napisali coś w tym rodzaju „drogi Panie, mimo naszej najlepszej woli, by w zaistniałej sytuacji znaleźć dla Pana jakieś rozwiązanie, musimy z przykrością stwierdzić, że z uporem trwa Pan przy swoim i nie zamierza zmienić stanowiska, toteż zmuszeni jesteśmy podjąć decyzję zgodną z wytycznymi resortu edukacji, ta decyzja wiąże się dla Pana z poważnymi konsekwencjami, gdyż zmuszeni jesteśmy pozbawić Pana stanowiska bez możliwości odwołania, pozostawiamy wszakże Panu tydzień na refleksję i bez odpowiedzi z Pana strony decyzja wejdzie w życie dwudziestego siódmego maja o północy, po tej dacie nie będzie Pan już mógł powoływać się na treść artykułu siedem bis, ustęp e, ani na treść artykułu trzydzieści cztery, ustęp f, zmieniony ustawą z osiemnastego marca 1977”, powiedziałem sobie „pieprzę, mam to gdzieś, w dodatku guzik rozumiem z tej prozy” i poszedłem opowiedzieć © wszystkim memu nowemu przyjacielowi, Upartemu Ślimakowi, w tym czasie on także miał problemy z ludnością z powodu otwarcia lokalu, trochę mnie zbeształ, a potem powiedział, że takie jest życie, raz na wozie, raz pod wozem, najważniejsze, by wciąż stać na nogach, z włosami na wietrze, najważniejsze,

bym potrafił się pogodzić z tym awatarem rajy utraconego, nie pamiętam już który z afrykańskich poetów mówił takie rzeczy, zapewne typ, którego wiersze wielu nowych, pozbawionych talentu poetów usiłuje kopiować, biedni epigoni

trzeba przyznać, że Diablica nie rozumiała mojego pociągu do alkoholu, tłumaczyła to sobie, jak mogła, próbowała wyjaśniać wszystko śmiercią mojej matki, lecz cóż naprawdę wiedziała o tej śmierci, co, czy mogła coś dodać do plotek krążących po dzielnicy Trzysta, nie lubiłem, kiedy wspominała śmierć matki, wtedy mnie ponosiło, w takich momentach mogłem się stać agresywny, jednak umiałem panować nad instynktami, nigdy nie ulegałem wściekłości, czy kiedykolwiek krytykowałem jej matkę, która ma jedno oko mniejsze od drugiego, hę, czy kiedykolwiek krytykowałem jej ojca, który ma szpotawą stopę i cierpi na przepuklinę, co, ale Diablica się nie krępowała, wracała do tematu, wskrzeszała trupa mojej matki, nie pozwalała jej znaleźć wiecznego spokoju, nie igra się w ten sposób ze śmiercią, naprawdę trzeba widzieć rzeczy w kontekście, nie czekałem przecież, aż matka się przekreśli, żeby zacząć pić, nawet jeśli, przyznaję, jej odejście nieco przyspieszyło bieg zdarzeń, zatem byłem smutny, kiedy Diablica wiązała mój nieumiarkowany kult alkoholu ze śmiercią mej biednej matki, i było jasne, że nie mogę jej pozwolić na wyciąganie tego rodzaju wniosków, rzekłbym nawet, że nieco ograniczyłem liczbę opróżnianych butelek w tygodniach, które nastąpiły po odejściu matki, było to coś w rodzaju żałoby, okazania jej należnego szacunku, i wróciłem do pełnej aktywności, dopiero gdy byłem pewien, że ciało mojej matki zgniło, a jej dusza trafiła w końcu do rajy

jeśli moja matka utonęła w szarych wodach rzeki Tchinouka, to nie z własnej winy, to tajemnicza historia, więc spróbuję powiedzieć o tym dwa słowa, by stało się to bardziej klarowne niż wody Tchinouki, albowiem nie należy mylić nieboszczyków, nawet jeśli wszyscy zmarli mają taką samą skórę, chcę powiedzieć o tym dwa słowa, choćby mój wyścigowy kurczak miał całkiem wystygnać, ale i tak zjem go za chwilę, zatem w noc odejścia na tamten świat mojej matce przyśnił się niesamowity koszmar, wstała, z zamkniętymi oczami, otwartymi ustami, wyciągniętymi do przodu rękami, jakby ją pchały niewidzialne siły, cienie nocy, otworzyła drzwi chaty, by udać się nad rzekę z nadzieją, że odnajdzie mego ojca, którego nie znałem, podobno był w Louboulou cenionym wytwórcą wina palmowego, podobno pasjonowały go dwie rzeczy, jazz i wino palmowe, zatem tacy goście jak Coltrane, Armstrong, Davis, Monk, Parker, Bechet i inni negrzy grający na trąbce czy klarncie, znał te melodie, które ponoć Murzyni wynaleźli na polach bawełny czy kawy, by ukoić tęsknotę za ziemią

swych przodków, a zwłaszcza z powodu razów wymierzanych batem przez właścicieli niewolników, którzy nie mogli pojąć, dlaczego ptak w klatce śpiewa, więc mój ojciec był fanem melodii, które wyszły spod czarnych palców, mówiono nawet, że zbierał longplaye i single tych gości z trąbką czy klarnetem, podobno umarł w związku z jakimiś czarami, rzuconymi z najbliższej odległości, a tylko ludzie o dwóch parach oczu mogą się od czegoś takiego wywinać, podobno ktoś strzelił mu w plecy podczas snu, bo spał zawsze na brzuchu mimo ostrzeżeń czarowników z Louboulou, i to ponoć jego stryj strzelał, by odziedziczyć narzędzia pracy do produkcji wina palmowego, a także longplaye i single z muzyką negrów z trąbką czy klarnetem, ale ta historia, którą moja matka próbowała mi opowiadać, jest zbyt skomplikowana, chciała wyjaśnić, dlaczego uciekliśmy z wioski Louboulou do miasta, moja matka postanowiła opuścić tę zacną wioskę, zwłaszcza by chronić mnie przed czarami z najbliższej odległości i przed ludźmi, którzy wciąż mieli coś przeciwko ojcu pomimo jego śmierci, a gdy opowiadała mi o tym nocnym mistycznym wystrzale, widziała, że jestem pełen wątpliwości, nie miałem nawet dwóch lat i nie potrafię powiedzieć, czy jestem podobny do ojca, mówią, że wyglądam raczej jak podła kreatura, która podstępnie i z zimną krwią mogła mi zabić rodzica, by odziedziczyć narzędzia jego pracy i kolekcję longplayów i singli Murzynów z trąbką czy klarnetem, więc śmierć mojej matki musiała wydać mi się równie tajemnicza jak śmierć ojca, a gdy ta dzielna kobieta umarła, gazety napisały w rubryce różne, że był to nocny wypadek, i opatrzyły tę wzmiankę tytułem: *Ciało starej kobiety znalezione nad rzeką Tchinouka*, dlatego gdy idę brzegiem tej rzeki, przeklinam wodę, spluwam na ziemię, rzucam kamienie daleko w głębie feralnych nurtów, krzyczę, że to niesprawiedliwe

zacząłem mówić o matce, a pojawił się ulotny cień mego ojca, wracam więc do rzeczy, mówiłem, że śmierć matki też była tajemnicą, wstała nocą, nie mogąc otrząsnąć się z koszmaru, poszła nad rzekę Tchinouka i tam odegrała w najdrobniejszych szczegółach pewną biblijną scenę, chodziła po szarych wodach Tchinouki, jakby chciała dołączyć do mego ojca na tamtym świecie, aż wreszcie szare wody Tchinouki wciągnęły ją w swoje trzewia, by wyrzucić jak rozbitka na brzeg, dać jej do zrozumienia, że nie chcą jej kości w swym brzuchu, a służby oczyszczania miasta znalazły jej zniekształcone ciało, wyskubane tu i ówdzie przez złośliwy narybek i inne bezecne ryby, które ziewają z nudów w tych nieczystych nurtach, a czuwanie odbyło się u nas, na naszej posesji, ciało mojej matki wystawiono na zewnątrz zgodnie z obyczajem panującym w Louboulou, i w tym miejscu muszę podziękować Diablicy, zajęła się moją matką jak trzeba, to ona przeprowadziła kwestę w dzielnicy, by mieszkańcy mogli nas wesprzeć w

nieszczęściu, to ona udała się do kostnicy, żeby zidentyfikować ciało, nie lubię oglądać trupów, to ona dyrygowała chórem kobiet pod dachem z palmowych liści, a gdy płaczki rywalizowały w żałobnych pieniach, Diablica odpędzała uprzykrzone muchy o wystrzępionych odnóżach, które poszukiwały przygód przy zwłokach mej matki, nadzorowała obmywanie ciała, bo pierwszy lepszy nie będzie mył truposza, to ona zamówiła nekrolog w radiu, by powiadomić wszystkich o śmierci mojej matki, ona zamówiła drugi komunikat, by podziękować tym, którzy towarzyszyli nam w ciężkiej próbie, i w tych dniach smutku Diablica ubierała się na czarno, bieliła twarz gliną kaolinową, do końca ceremonii ściśle przestrzegała postu, chodziła boso, przestała czesać włosy, nie patrzyła na mężczyzn, nie odzywała się do nich, nie mówiła im „dzień dobry”, taki był zwyczaj i, całkiem szczerze, wyciągam stąd wniosek, że z tego punktu widzenia była kobietą, której i dziś nie mogę niczego zarzucić

a jednak Diablica myślała zawsze, że jako jedynak, osierocony już wcześniej przez ojca, uciekłem w alkohol, chcąc się w ten sposób odegrać, pijąc czerwone wino, gdyż nie mogłem wypić całej szarej wody z Tchinouki i tak ocalić pamięć mojej matki, przysięgam, że chciałem odbudować me życie, załatać poły, pocerować dziury, zerwać stosunki z butelkami sovinco, lecz to nie moja wina, że wyrzucono mnie ze szkoły, przysięgam, że lubiłem uczyć, przysięgam, że lubiłem przebywać wśród mych małych uczniów, przysięgam, że lubiłem uczyć ich tabliczki mnożenia, przysięgam, że lubiłem uczyć ich form czasu przeszłego, które zgadzają się co do liczby i rodzaju w zależności od tego, czy jest noc czy dzień, czy pada, czy nie pada, a te biedne maleństwa, oszołomione, zdezorientowane, niekiedy wzburzone, pytały mnie, dlaczego ta forma jest zgodna dziś o godzinie szesnastej, skoro nie była zgodna wczoraj przed dużą przerwą, a ja mówiłem im, że we francuskim najważniejsze nie są wcale zasady, lecz wyjątki, mówiłem im, że kiedy to zrozumieją i nauczą się wyjątków tego humorzastego języka, zasady przyjdą same, zasady wypłyną ze źródła, i że mogą nawet olać te zasady, strukturę zdania, kiedy już dorosną i pojną, że język francuski to wcale nie jest długa spokojna rzeka, to raczej rzeka, której bieg można zmienić

prawdę mówiąc, nie ma wielu powodów, bym był nauczycielem, nie mam dyplomu ukończenia studiów, nie skończyłem żadnej szkoły dla nauczycieli, ale dyplom często sprowadza życie na manowce, prawdziwe powołania wynikają nieraz ze splotu okoliczności, nieczęsto goście wycierający portki w szkolnych ławach stają się dobrymi nauczycielami, a jeśli o mnie chodzi, zmuszono mnie



do podjęcia tego zawodu, właśnie skończyłem drugi rok w *college'u* Kengué-Pauline, gdy rząd zadekretował, że z powodu braku nauczycieli w kraju każdy koleś, który ma świadectwo skończenia podstawówki, powinien nauczać, w ten oto sposób wetknąłem błazeński nos do szkolnictwa, tak uczyłem się zawodu od razu na głębokiej wodzie i w istocie kształciłem się własnymi siłami, choć pewien jajogłowy gość ze stolicy kraju prowadził z nami intensywny kurs pedagogiczny, ten typ w okularach zgrywał intelektualistę, mówił, że się nie nadaje, że nie wyrażam się poprawnie i mam złą wymowę, że rząd popełnia błąd, powierzając nieukom jak ja misję wskazywania dzieciom ich życiowej drogi, w tym właśnie czasie zacząłem nienawidzić wszelkich intelektualistów, gdyż z intelektualistami jest zawsze tak samo, dyskutują, dyskutują i w końcu nie mają do zaproponowania niczego konkretnego albo prowadzą nieskończone dyskusje na temat dyskusji, ponadto wciąż cytują innych intelektualistów, którzy powiedzieli to czy tamto i wszystko przewidzieli, w dodatku każdy uważa się za pępek świata, a wszystkich innych za durniów, ślepców, jakby nie można było żyć bez filozofii, rzecz w tym, że ci pseudointelektualiści filozofują, zamiast żyć, nawet nie znają życia, które biegnie swym torem, kpiąc sobie z przepowiedni żalonych Nostradamusów, i lubią wieszować sobie nawzajem, a co najciekawsze, ci fałszywi mędrcy kochają garnitury, okrągłe okulary i krawaty, bo intelektualista bez krawata jest jak nagus, człowiek niezdolny do logicznego myślenia, a ja jestem dumny z mojej własnej drogi, nikomu jej nie zawdzięczam, stworzyłem się sam, nie umiem nawet zawiązać krawata, czytałem wszak, co udało mi się tu i ówdzie znaleźć, i w końcu zrozumiałem, że nikt na tej ziemi nie przeczyta wszystkiego, że życie jest zbyt krótkie, by móc wszystko przeczytać, zauważyłem też, że więcej jest ludzi mówiących o złych książkach niż ludzi, którzy czytają i mówią o książkach prawdziwych, a ci, którzy mówią o złych książkach, są bezlitośni dla innych, niech spadają na drzewo, nie tylko ich pęпки chodzą po tej ziemi, to nie mój problem, ten zeszyt nie jest po to, by kogoś pouczać, każdy uprawia swój ogródek jak może

zdawałem sobie sprawę, że chcą mnie wyrzucić ze szkoły, przyczyną był alkohol i dokładnie dwa miesiące po tym jak mnie wyrzucono, gdy ciało mojej matki nawet jeszcze nie zgniło, Diablica zaczęła sypiać u swoich rodziców, zostawiając dom pusty, bo nie mieliśmy dzieci, wtedy zjawili się w domu złodzieje i bandyci z dzielnicy, zabrali wszystko, mój telewizor, moje radio, mój stół kuchenny, moje łóżko i książki, zwłaszcza powieści San-Antonia, na których zależało mi o wiele bardziej niż na książkach, które ludzie odcięci od życia narzucili nam jako jednostki intelektualnej miary, ci złodzieje zabrali wszystko, wzięli nawet ostatnią powieść, którą czytałem, *Dziennik złodzieja*, i jestem pewien, że

spodziewali się tam znaleźć wskazówki, jak kraść i nie dać się złapać policji, a Diablica zrzuciła wszystko na mnie, powiedziała, że to moi koledzy pijacy ukradli nam sprzęty, powiedziałem, że moi przyjaciele to pijacy, ale nie złodzieje, powiedziała, że ich kryję, że jestem z nimi w zмовie, w końcu wyprowadziła się na dobre, zostawiając mi kartkę, na której napisała, być może o północy, „odchodzę”, i dopisała jeszcze, może też o północy, „trzeba nauczyć się kończyć”, nic nie rozumiałem z tych telegramów i szukałem jej wszędzie, na uliczkach dzielnicy Trzysty, w centrum miasta, pośród ludzi czuwających przy marach, aż któregoś dnia zobaczyłem, jak przechodzi przed barem „Śmierć kredyтом”, myślałem, że śnię, i pobiegłem za nią, zacząłem ją błagać, powiedziałem „było dobrze” i dodałem „nie mogę bez ciebie żyć, jeśli mnie zostawisz, będzie po mnie, wracaj do domu”, lecz ona nie zmieniła zdania, zmierzyła mnie od stóp do głów i powiedziała „już jest po tobie, nigdy się nie zmienisz, zostaw mnie w spokoju, żalony włóczęgo”

po tym jak skreślono mnie z listy nauczycieli, stałem się jednym z najwierniejszych klientów baru „Śmierć kredyтом”, pogłębiałem me związki z Upartym Ślimakiem, byłem niczym barowy mebel, do tego stopnia, że pryncypał powiedział mi „wiesz, Kielonek, gdybyś był trochę bardziej przytomny, wziąłbym cię na kelnera”, a ja odpowiedziałem, że jestem przytomny, a jeśli wątpi w mą trzeźwość, może mnie przepytać z tabliczki mnożenia, a on na to „nie, Kielonek, interesy to nie to samo co tabliczka mnożenia, to kwestia trzeźwości”, a jak powiedziałem, że jestem trzeźwy, zaśmiał się i wypiliśmy razem, i śmialiśmy się dalej, wciąż chodziłem pod wybrane drzewo, by sikać i opowiadać mu legendę mej tułaczki, a drzewo płakało, słuchając moich słów, bo co by nie mówić, drzewa też wylewają łzy, i zdarzało mi się teraz kłać pod tym drzewem na Diablicę, kłać także na jej matkę, która ma jedno oko mniejsze od drugiego, kłać na jej ojca, który ma szpotawą stopę i cierpi na przepuklinę, i w tych ciężkich chwilach tylko drzewo mnie rozumiało, ruszało gałęziami, jakby chciało przytaknąć, i mówiło mi szeptem, że ze mnie biedny, sympatyczny gość, że to społeczeństwo mnie nie rozumie, i między mną i tym drzewem wywiązywały się długie pogawędki, jak powiedziałby czarnuch do swego admirała, któremu przynosi kawę, obiecywałem temu okrytemu liśćmi druhowi, że kiedy Bóg mnie wezwie, przemienię się w drzewo

jak prawdziwy bywalec, nie wychodziłem z baru „Śmierć kredyтом”, czuwałem tam, wiatr czy plucha, nie opuszczałem mojego przytułku, nie wyobrażałem sobie siebie w innym miejscu, a w środku nocy przysypiałem na stolku po

spożyciu szaszłyków, które stara kobieta z Beninu sprzedawała przed wejściem do baru, jeszcze nim nastąpiła epoka naszej Łysej Śpiewaczki, Mamy Mfoy, to było piękne życie, muszę przede wszystkim bardzo czytelnie napisać, że jestem dumny z tych niegdysiejszych czasów, niech nikt mi tu nie mówi, że to była udówka, że się nudziłem, że żałowałem odejścia Diablicy, że byłem zgorzkniały, że miałem pisać list do przyjaciela, który nie ocalił mi życia, że domagałem się dla mojej niedoli jakiegoś aktu zadośćuczynienia

doszły mnie słuchy, nie tak dawno temu, że Diablica znalazła dobrego męża i że mają dzieci, chrzanić to, nie ma dobrych mężów, ja jestem mężczyzną, którego jej trzeba, inni to tylko nędzni naciągacze, nędzni kłamcy, którzy ją wykorzystają, nie jestem zazdrosny, nawet jeśli od tamtej pory nie bzykałem, nawet jeśli moje życie seksualne jest jak pustynia Tatarów, nic z przodu i nic z tyłu, rozmawiają ze mną tylko cienie kobiet, jednak jestem mężczyzną pragnącym odległego uczucia, nie liczcie tylko, że zacznę mówić wam o miłości i innych demonach, na szczęście w tych żalosnych czasach została mi miłość do butelki i tylko butelki mnie rozumiały, brały mnie w ramiona, a gdy siedziałem w tym barze, który nadal Kocham i będę kochał zawsze, patrzyłem, obserwowałem, spisywałem dzieje i czyny każdego, zatem powinienem wyjaśnić bardziej precyzyjnie, dlaczego zapisuję ten zeszyt, tak, muszę powiedzieć wyraźnie, w jakich okolicznościach i w jaki sposób Uparty Ślimak zmusił mnie do tego, sugerując, bym pisał, bym dał świadectwo, ocalił pamięć tych miejsc

otóż któregoś dnia Uparty Ślimak wziął mnie na bok i rzekł poufnym tonem „Kielonek, muszę wyjawić ci, co mnie dręczy, otóż od dawna rozmyślam nad czymś ważnym, powinieneś pisać, to znaczy pisać książkę”, a ja, nieco zdziwiony, powiedziałem „książkę o czym” i odpowiedział szeptem, wskazując palcem na taras baru „Śmierć kredytom”, „książkę o nas wszystkich, książkę o tym jedynym miejscu na świecie, jeśli nie liczyć »Katedry« z New Bell w Kamerunie”, zaśmiałem się, pomyślałem, że coś przede mną ukrywa, że zastawia na mnie perfidną pułapkę, powiedział „nie śmieję się, mówię całkiem serio, musisz pisać, wiem, że potrafisz”, i wtedy, widząc jego poważne spojrzenie, zrozumiałem, że to nie był jakiś żart za dychę, i odparłem „ale to ty jesteś właścicielem, możesz lepiej opisać, co się tutaj dzieje, nie wiem, od czego zacząć”, a on nalał mi szklanke i ciągnął „wierz mi, próbowałem sam wiele razy, ale to wszystko na nic, bo nie mam w sobie robaka samotnika, który toczy piszących, ty go masz, to widać, gdy tylko mówi się o literaturze, nagle oczy ci błyszczą i żale wypływają na wierzch, to nie żadna frustracja, to nie rozgoryczenie, bo wiem, że nie jesteś

sfrustrowanym gościem czy jakimś ponurakiem, nie masz czego żałować, stary”, zachowałem milczenie, a on mówił dalej „wiesz, pamiętam tę rozmowę, kiedy opowiadałeś o sławnym pisarzu, który pił jak gąbka, jakże on się nazywał”, nie odpowiedziałem, a on wyjaśniał „ha, od czasu tej dyskusji mówię sobie, że jeśli zacząłeś pić, to może właśnie po to, by pójść w ślady pisarza, którego nazwisko mi wypadło, a widząc, jak dziś wyglądasz, mówię sobie, że masz już nawet odpowiednią gębę, w dodatku kpisz sobie z życia, bo uważasz, że możesz wymyślić ich wiele i że sam jesteś tylko postacią z wielkiej księgi całej tej naszej zasranej egzystencji, jesteś pisarzem, wiem to, czuję, po to pijesz, nie należysz do tego świata, czasem mi się zdaje, że gadasz z takimi gośćmi jak Proust czy Hemingway, z facetami jak Labou Tansi czy Mongo Beti, wiem to, więc musisz się przełamać, nikt nie jest za stary, żeby pisać”, i po raz pierwszy zobaczyłem, jak wychyla szklanekę duszkiem, choć zwykle wypija tylko do połowy, powiedział surowym tonem „Kielonek, musisz wyrzucić z siebie wściekłość, eksplodować, wyrzygać, wypluć, wykaszleć czy wystrzelić z siebie, wszystko jedno, ale masz coś spłodzić o tym barze, o klientach a przede wszystkim o sobie”, na chwilę mnie zamurowało, jeszcze moment, a zalałbym się łzami, nie pamiętałem już, o jakim zapitym pisarzu była mowa, tak czy owak, wielu piło i wielu chła na umór spośród naszych współczesnych, z jakiej racji Uparty Ślimak grzebie w moim wnętrzu, co, więc żeby się bronić, powiedziałem wyraźnie „nie jestem żadnym pisarzem, a zresztą kogo by to obeszło, życie tych ludzi czy moje, to nie jest ciekawe, tym nie da się wypełnić zeszytu”, natychmiast odpowiedział „pieprzyć to, Kielonek, musisz pisać, mnie to ciekawi, i tyle” i byłem dumny, że właśnie mnie o to prosi, ta myśl rzeczywiście zaczęła odtąd chodzić mi po głowie i pod wpływem kieliszków czerwonego wina, które wychylałem bez opamiętania, wyjaśniłem Upartemu Ślimakowi, jaka jest naprawdę moja wizja pisarstwa, łatwo mi było się wysłowić, bo łatwo mówi się o pisarstwie, kiedy, jak ja, niczego się nie napisało, powiedziałem mu, że w tym pieprzonym kraju wszyscy chwytają teraz za pióro, choć za ich słowami nie kryje się życie, powiedziałem mu też, że widziałem w telewizji, w barze przy alei Niepodległości paru takich pisarzy w krawatach, marynarkach, czerwonych szalikach, okrągłych okularach, palących, a jakże, fajki lub cygara, klasa i styl, pisarzy, którzy pozują do zdjęć, jakby mieli za sobą niejedno dokonanie, czekają, aż ktoś zacznie głaskać ich po pępkach wielkich jak mechaniczne pomarańcze, są i tacy, którzy odgrywają pisarzy odrzuconych, pewnych swego geniuszu, choć spłodzili tyle, co kot napłakał, banda paranoików, zgorzkniałych, zazdrosnych, zawistnych; twierdzących, że ktoś szykuje przeciwko nim zamach stanu, grożących, że jeśli kiedyś przyznają im Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury, ostentacyjnie jej nie przyjmą, bo nie mają splamionych rąk, bo literacki Nobel to układ, mur, śmierć duszy, gra z góry

ustawiona, tak iż powstaje zasadne pytanie, czym jest literatura, więc ci zafajdani pisarczykowie odmówią przyjęcia Nobla, by strzec dróg wolności, chciałbym zobaczyć to na własne oczy, powiedziałem też Upartemu Ślimakowi, że gdybym był pisarzem, prosiłbym Boga, by uczynił mnie pokornym, dał siłę, bym potrafił odnosić wszystko, co piszę, do tego, co przelali na papier wielcy tego świata, a przyklaskując geniuszom, nie rozdziawiałbym gęby na widok panującej powszechnie miernoty, tylko za tę cenę mógłbym napisać coś, co przypomina życie, lecz wyraziłbym to własnymi słowami, słowami koślawymi, stylem szarpanym, bez ładu i składu, pisałbym, co mi przyjdzie do głowy, zacząłbym niezgrabnie i skończył niezgrabnie, miałbym gdzieś zasady czystego rozumu, metodę, fonetykę, prozę i w tym zafajdanym języku cały mój wywód nie byłby zbyt jasny, a słowa, by to powiedzieć, nie przychodziłyby łatwo, byłoby to coś na granicy pisania i życia, właśnie tak, chciałbym zwłaszcza, by czytając mnie, mówili „a co to za bałagan, jarmark, targowisko, ten zlepek barbaryzmów, to imperium znaków, cała ta paplanina, upadek na samo dno literatury pięknej, czy można to brać serio, właściwie gdzie to się zaczyna, gdzie kończy, do cholery” i odpowiedziałbym chytrze „ten bazar to samo życie, wejdźcie do mej jaskini, pełno tu zgnilizny, odpadków, tak pojmuję życie, wasze fikcje to tylko wymysły miernot, by zadowolić inne, i póki postacie z waszych książek nie pojną, w jaki sposób my wszyscy zarabiamy na nasz chleb conocny, nie będzie literatury, tylko intelektualny samogwałt, byście się rozumieli wzajem niczym łyse konie”, i powiedziałem Upartemu Ślimakowi w formie konkluzji, że niestety nie jestem pisarzem, że nie mogę nim zostać, że tylko obserwuję i rozmawiam z butelką, z drzewem, pod którym lubię sikać i któremu obiecałem, że w następnym wciele- niu zmienię się w roślinę, by żyć u jego boku, i w konsekwencji wolę zostawić pisanie uzdolnionym i wybitnie uzdolnionym ludziom, tym, których lubiłem czytać, kiedy jeszcze czytałem, by się kształcić, powiedziałem mu, że zostawiam pisanie tym, którzy opiewają radość życia, tym, którzy walczą i marzą o po- szerzeniu pola walki, tym, którzy tworzą obrzędy, żeby odtańczyć polkę, tym, którzy wiedzą, jak zadziwić bogów, tym, którzy grzęzną w hańbie, tym, którzy kroczą pewnie ku wiekowi męskiemu, tym, którzy wymyślają użyteczne marzenia, tym, którzy opiewają krainę pozbawioną cienia, tym, którzy są przejazdem na kawałku ziemi, tym, którzy spoglądają na świat przez lukarnę, tym, którzy jak mój zmarły ojciec słuchają jazzu, pijąc palmowe wino, tym, którzy potrafią opisać afrykańskie lato, tym, którzy opowiadają o barbarzyńskich zaślubinach, tym, którzy medytują w dali na szczycie magicznej skały Tanios, powiedziałem mu, że zostawiam pisanie tym, którzy przypominają, że nadmiar słońca zabija uczucie, tym, którzy przepowiadają płacz białego człowieka, Afrykę widmo, niewinność czarnego dziecka, powiedziałem mu, że zostawiam pisanie

tym, którzy potrafią pokazać miasto i psy, tym, którzy wznoszą zielony dom podobny do domu Drukarza czy dom na skraju łąz, by umieścić tam pokornych ludzi bez miejsca zamieszkania, postacie, które rozumieją współczucie kamieni, tak właśnie powiedziałem, że im zostawiam pisanie, tym gorzej dla mimikry, dla niedzielnych poetów i ich wierszy po dwa grosze zwrotka, tym gorzej dla nostalgicznych senegalskich strzelców, wykrzykujących na prawo i lewo o swoim zaangażowaniu, ci goście nie chcą, by Murzyn mówił o brzezynie, o kamieniach, pyle, zimie, śniegu, różach czy po prostu o pięknie dla piękna, tym gorzej dla tych fanatycznych naśladowców, którzy wyrastają jak grzyby po deszczu, a wielu jest takich, którzy tworzą korki na autostradach literatury, którzy są zniewagą dla czystości świata, to oni kalają prawdziwą literaturę tych czasów

kiedy wyjaśniłem to wszystko Upartemu Ślimakowi, odebrało mu mowę, myślał, że pogniewałem się na wszystkich ludzi albo mam delirkę, spytał mnie, o kim myślę, chciał, bym podał nazwiska, lecz nie odpowiedziałem, uśmiechnąłem się tylko, spoglądając w niebo, a on naprawdę nalegał, chciał wiedzieć, czy jestem wściekły, powiedziałem „nie, czemu miałbym być wściekły”, nie miałem powodu, by być wściekłym, chciałem tylko, by wszystko wróciło na miejsce, chciałem oddzielić to, co uważam za gówno, od tego, co wydaje mi się godne pochwały, i właśnie tego dnia podarował mi zeszyt i ołówek, mówiąc „jeśli zmienisz zdanie, możesz w nim pisać, to twój zeszyt, daję ci go, wiem, że będziesz pisał, pisz, co ci przyjdzie do głowy, jak to, co właśnie powiedziałeś o prawdziwych i fałszywych pisarzach, którzy tworzą korki na autostradach literatury, ale i o tych, którzy odmówią przyjęcia Nobla, o doktrynerach i niedzielnych poetach, o nostalgicznych senegalskich strzelcach, o pisarzach w garniturach, których widziałeś w telewizji w barze przy alei Niepodległości, wszystko to dobre, możesz dodać osnowę, pomyśleć, jak mnie zaskoczyć, kiedy będę to czytał, tak, chcę wszystko przeczytać, nie do końca wiem, do czego zmierzasz, jednak myślę, że trzeba tam umieścić wszystko, co mi tu powiedziałeś”, i odtąd, by mu zrobić przyjemność, spisuję w zeszycie te moje historie, moje luźne wrażenia, czasem też robię to dla własnej przyjemności i właśnie kiedy się zapominam, kiedy zapominam o misji, którą mi powierzono, jestem w swoim żywiole, bo mogę przeskakiwać, wywracać koziolki, mówić do czytelnika innego niż Uparty Ślimak, do czytelnika, którego nie znam, wszystko może się zdarzyć, a Uparty Ślimak powiedział mi kiedyś jeszcze „obietuję, że nie przeczytam z tego zeszytu słowa, póki nie postawisz w nim ostatniej kropki”, zeszyt jest do mojej dyspozycji w każdej chwili, są dni, kiedy proszę Mompero czy Dengaki „przynieś mi dwie butelki wina i zeszyt” i przynoszą mi dwie flaszki i zeszyt, piję, coś gryzmołę, rozglądam się, można powiedzieć, że byłem dotąd szczęśliwym człowiekiem,

człowiekiem wolnym, lecz teraz serce mi się ściska i mówię sobie, że przestaję bazgrać w tym zeszycie, że w najbliższych dniach moja noga tutaj nie postanie, muszę więc przejrzeć to, co napisałem, i pamiętać, żeby skończyć wyścigowego kurczaka, który całkiem wystygł, tyle czasu zajęła mi retrospekcja własnej egzystencji, lecz myślę, że to było konieczne, zajmę się teraz przekąską, co by nie mówić, strasznie burczy mi w brzuchu

zjadłem wreszcie wyścigowego kurczaka, a teraz trzeba będzie oddać talerz Łysej Śpiewaczce po tamtej stronie alei Niepodległości, ale najpierw opróżnię ten kieliszek wina, zajmie mi to parę sekund, tak czy owak, czas nie ma już znaczenia, widzę, że Drukarz ciągle tu siedzi, widzę, że otaczają go ludzie kartkujący ostatni numer „Paris-Matcha”, chrzanię to, nie moja sprawa, mam co innego do roboty, więc wstaję, zamierzam przejść na drugą stronę alei Niepodległości, uda mi się, nie ma samochodów jadących w obie strony, chyba że oślepiłem, nie ma motorowerów, nie widać żadnych wózków, i oto już przeszedłem, mogę odtrącić zwyczajstwo, mogę powiedzieć hop, przeszedłem tę aleję i widzę Łysą Śpiewaczkę, patrzy, jak podchodzę, uśmiecha się, zawsze się uśmiecha, stoję przed nią, wciąż się uśmiecha i rzuca „powiedz, Kielonek, długo dzisiaj jadłeś, nie byłeś głodny czy co, wyglądasz jakbyś miał zaraz upaść, ajjj, ile masz litrów w brzuchu, tatku”, a ja powiedziałem, że jeszcze nic nie piłem, że od rana nie wypilem kropli alkoholu, i zaśmiałem się, wygłaszając to łgarstwo wielkie jak wiejska rezydencja afrykańskiego dyktatora, lecz wiem, że mi nie wierzy, bo mówi „widziałeś kiedyś, żeby pijak powiedział, że pił, co, nigdy w życiu, tatku, jest zresztą taka piosenka *momeli ya massanga andimaka kuiti te mama*”, nigdy nie słyszałem tej piosenki, mówi mi, że to piosenka orkiestry Tout-Puissant OK Jazz, mitycznej grupy z sąsiedniego kraju, nie znam zbyt dobrze muzyki tego kraju, może parę melodii zespołu Zaiko Langa Langa czy Afrisa International, to wszystko, i przechodzę do wyznań „dobrze, Mamo Mfoa, naprawdę wypilem tylko jeden malutki kieliszek, tylko jeden kielonek, to wszystko, przysięgam”, Łysa Śpiewaczka spogląda na mnie nagle ze współczuciem, od kiedy ją znam, nigdy nie widziałem jej z tak poważną miną, kręci głową i szepce „mówiłam ci, żebyś przestał, Kielonek, umrzesz z butelką w ręce, tatuśku, a w dzielnicy wszyscy tak cię lubią”, nie wiem, co mógłbym jej odpowiedzieć, więc mówię bez namysłu „przyznam ci się do czegoś, kończę z tym dziś o północy, na pewno, obiecuję, Mamo Mfoa, i moja noga więcej tu nie postanie”, chciałbym też ją przekonać, że jeśli przestaję pić, to nie ze strachu przed śmiercią, nie boję się śmierci z butelką w dłoni, w gruncie rzeczy to piękna śmierć, to się nazywa umrzeć z bronią w ręku, bo trzeba spodziewać się wszystkiego, kiedy się migruje do piekła czy raju, a tam wszystko będzie zależeć od wąskich drzwi, przez które każdy z nas przejdzie, niektórzy je pewnie pomylą, raj to poważna sprawa, są tam ponoć całkiem bielutkie obłoki, anioły z pamięcią słonia, które zechcą się od was dowiedzieć, ile razy czytaliście jerozolimską Biblię, ile staruszek przeprowadziliście przez aleję Niepodległości, do jakich kościołów chodziliście na ziemi, więc nie ma tam kiedy pić, bo to egzamin ustny, zakaz picia w raju, podobna sprawa z piekłem, gdzie też trudno będzie golnąć sobie wina, bo wśród płomieni będzie czekał diabeł z ostrymi wid-



łami, a jeśli poprosimy go o kapkę wina, zdenerwuje się, krzyknie „co, o co mnie prosisz, durniu, nie dość piłeś na ziemi, żeby nam tu zawracać dupę po sam czyścić, he, trzeba było ruszać do raj, trochę dalej, za tymi górami ciemnych chmur, tym gorzej dla ciebie, trzeba było pić tam, na dole, kiedy miałeś okazję, teraz już zapadł nieodwołalny wyrok, tu rządzą trzaskające płomienie apokalipsy, całopalenie i tyle, tu się alkoholu nie pije, używa się go do rozpalania i podsycania ognia, no, chodź, twoja kolej, będziemy cię przypiekać, biedny dureń, uważał, że piekło to inni”

muszę w tym miejscu przypomnieć, że nie jestem żadnym niegodziwcem, nie jestem histerykiem ani nikim w tym rodzaju, ach, nie, nikomu nie pozwolę traktować się w ten sposób, nawet jeśli mam zamiar, dokładnie o północy, zawiesić rękawice, jestem człowiekiem rozumnym, jeśli to nieprawda, to czemu ci, którzy twierdzą, że nie są pijakami, nie mogą opanować tabliczki mnożenia, co, mnożyć cyfry przez dwa, to się jeszcze udaje, ale kiedy dochodzi do mnożenia przez dziewięć, zaczynają się schody, potem pełne dziesiątki i cały bałagan, ja odrzucam pokusę liczenia na palcach czy za pomocą patyczków, a wiecie, że w życiu nie widziałem maszyny liczącej, więc o współczesnej matematyce nie mam bladego pojęcia, dla mnie życie to flaszka i tabliczka mnożenia, tak jak życiem mojego ojca był jazz i wino palmowe, Coltrane, Monk, Davis, Bechet i inni negrzy z trąbką czy klarnetem, sam Bóg powiedział, żebyśmy się mnożyli, choć nie sprecyzował, przez ile mielibyśmy się mnożyć, przypomniał wszak, że należy się mnożyć, bardzo lubię mnożenie, choć zawsze wołałem geografę czy literaturę, to prawda, że z literaturą, nawet po długich studiach, daleko bym nie zajechał, literatura do niczego nie prowadzi, geografia jeszcze, jeszcze, bo mogłaby mi ułatwić podróżowanie po świecie, badałbym wzdłuż i wszerz wielkie rzeki, rzekę Kongo, Amur, Jangcy czy Amazonkę, ale nigdy nie widziałem tych rzek na własne oczy, jedyna rzeka, jaką znam, jest czerwona i mieści się w butelce, ta rzeka purpurowej barwy jest równie nieprzebrana jak wyżej wymienione, a kiedy myślę o litrach wina, które wypilem przez ostatnie dwadzieścia lat, czyż nie są jak długa i spokojna rzeka, i już nie wiem, do czego świat zmierza, dobra, nie mam zamiaru roztrząsać tu do znudzenia zagadnień hydrografii, woda to niebezpieczny żywioł i wciąż czuję wściekłość, gdy zdaję sobie sprawę, że moja matka musiała nałykać się wody, zanim oddała duszę, i nie zdążyła powiedzieć „Ojcze Nasz, któryś jest w niebie”

a jednak, nie chwaląc się, mogę napisać na tej stronie, że w ten czy inny sposób podróżowałem po świecie, nie chcę uchodzić za gościa, który nie ma pojęcia, co

się dzieje poza jego rodzinną ziemią, nigdy się nie zgodzę na takie uproszczenie, pomimo litrów przetrawionego wina nie zapomnę, co zajmowało mnie w latach młodości, powiedzmy, że podróżowałem, nie ruszając się raczej z moich rodzinnych kątów, mógłbym to nazwać podróżą przez literaturę, każda stronica utworzonej książki brzmiała jak uderzenie pagaja na środku rzeki, w tych moich Odysejach nie spotykałem granic, zatem nie musiałem pokazywać paszportu, na chybił trafił wybierałem kierunek, chowając głęboko osobiste przesady, i przyjmowano mnie z otwartymi ramionami tam, gdzie aż roilo się od najróżniejszych postaci, najdziwniejszych, czy to przypadek, że ta podróż zaczęła się od komiksów, co, nie jestem pewien, otóż znalazłem się pewnego dnia w galijskiej wiosce z Asteriksem i Obeliksem we własnej osobie, potem na Dzikim Zachodzie z Lucky Lukiem, który strzelał szybciej od własnego cienia, a w jakiś czas potem zadziwiały mnie przygody Tintina, spryt, z jakim unikał pułapek, jego piesek Milou, inteligentny i zawsze gotowy przyjść z pomocą panu, kiedy w grę wchodziła jakaś siła wyższa, a takich psów jak on nie widuje się tutaj, w dzielnicy Trzysta, nasze psy interesują tylko ogryzione kości, które mogą chrupać na miejskich śmietniskach, nie są w stanie główkować, później był bohater o imieniu Zembla, wciągający mnie w dżunglę tak samo jak muskularny Tarzan, który brykał po lianach, był też przyjaciel Zorro biegle władający szpadą, a zazdrosny Iznogoud chciał zostać kalifem, zastępując kalifa, zawsze będę pamiętał moją pierwszą podróż po kraju afrykańskim, była to Gwinea, bytem czarnym dzieciakiem, fascynowali mnie ludzie pracujący w kuźni, ciekawiło pełzanie mistycznego węża, który połykał trzcinę, a zdawało się przecież, że trzymam ją w ręku, i bardzo szybko wróciłem do rodzinnego kraju, opychałem się słodkimi owocami drzewa chlebowego, mieszkałem w hotelu „La Vie et demi”, który już nie istnieje i w którym każdego wieczoru przy jazzie i palmowym winie mój ojciec pewnie szalałby z radości, i grzałem się przy ogniu własnych korzeni, jednak wkrótce znów trzeba było ruszyć w drogę, nie chować się w ciepłe mojej rodzinnej ziemi, przemierzyć resztę kontynentu, słuchać tęsknych elegii, pieśni naszych cieni, trzeba było przemierzyć okrutne miasta z nadzieją, że spotkam ostatniego żywego z całej karawany, naprawdę trzeba było ruszyć, jechać na północ, żyć w największej samotności, zobaczyć rzekę o zmienionym biegu, zamieszkać w wielkim domu, który oświecła afrykańskie lato, wreszcie porzucić kontynent, odkryć inne gorące krainy, odkryć wioskę Macondo, przeżyć sto lat samotności, przygód, odkryć magiczną postać o imieniu Melquiades i dać się jej oczarować, dać się urzec historiom o miłości, szaleństwie i śmierci, dyskretnie przejść przez tunel wiodący do poznania ludzkich serc, najpierw musiałem otworzyć zielony dom, potem wybrać się aż do Indii, słuchać, jak mądry Tagore recytuje *Gorę*, musiałem przeczesać kontynent europejski, tak drogi naszemu

Drukarzowi, ja, obcy, ja, człowiek zbuntowany, ja, człowiek w przybliżeniu, stałem tuż za gościem, którego nazywano doktorem Żiwago i który szedł przez śniegi, po raz pierwszy widziałem, jak wygląda śnieg, był też inny starzec na wygnaniu na Guernesey, ów przodek o twarzy pociętej zmarszczkami budził we mnie litość, wciąż pisał, kreślił coś chińskim tuszem, był niezmordowany, miał wory pod oczami, nawet nie słyszał, jak podchodzę, patrzyłem mu przez ramię, gdy notował w zeszycie, jakie kary spadną na monarchę, który go prześladował, przez którego nie mógł zmrużyć oka i któremu nadał przydomek Napoleon Mały, zazdrościłem mu siwych włosów, ten gość był naprawdę kimś, zazdrościłem mu gęstej brody patriarchy, przemierzył cały wiek, podobno od dziecka mówił „będę Chateaubriandem lub niczym”, podziwiałem jego niewzruszone spojrzenie, zwróciłem na nie uwagę już w starym podręczniku Lagarde’a i Micharda, który służył mi w szkole, gdy byłem jeszcze podobny do ludzi, i znalazłem się w jego posiadłości, w Feuillantines, przeszedłem przez ogród i ukryłem się w rozarium, stąd śledziłem tego zbuntowanego dziadka, który uganiał się za spódniczkami, miał przygarbione plecy, nos wetknął w porozrzucane papiery, które nerwowo kreślił, czasem przestawał pisać wiersze i szkicował wisielców, byłem o parę kroków od domu i widziałem, jak wstaje z trudem, wycieńczony pracą, chciał wyjść, przejść się trochę, rozprostować nogi, chowałem się z obawy, że spotkam jego spojrzenie, opuszczałem to miejsce i, znów w dzielnicy Trzysta, chodziłem nad Atlantyk prosić rybaków z Beninu o parę sardynek, aż do dnia, w którym wydało mi się, że widzę albatrosa, niezgrabny ptak dźwigał skrzydła ciężkie po wiecznej włóczędze nad wściekłymi falami, w locie kreślił zarysy zwiedzonych terytoriów lub statków, które widział, i nagle przy szalasach rybaków ujrzałem kościstego starca, który powiedział mi ochryłym głosem „młody człowieku, pozwól, że się przedstawię, nazywam się Santiago, jestem rybakiem, moja łódź jest wciąż pusta, ale lubię łowić”, towarzyszył mu chłopiec, smutny, że Santiago co wieczór wraca pustą łodzią, ale musiałem wyjechać, odejść, tak podróżowałem, zawsze szukając nie wiadomo czego, dziś nie jestem już tak wytrwały jak kiedyś, w miarę upływu lat moja wola osłabła i dają się nieść jak śmieć nurtom zawróconej rzeki

ostatnim razem, było to chyba w dniu, w którym powiedziałem sobie, że muszę odpocząć, że na jakiś czas muszę przestać pisać, miałem już wyjść z baru, gdy zobaczyłem ciężarówkę Saviem, która dostarcza tu czerwone wino, widziałem skrzynki wina spiętrzone w niewiarygodną górę i zaraz niesforne dzieci zaczęły kręcić się wokół, powiedziałem sobie, że to gówniany kraj, *enfants terribles* kręcą się przy skrzynkach z winem, potem jakiś facet odgonił je od cennego łupu, powiedział im, że wino nie jest dla niesfornych dzieci, że muszą najpierw dorosnąć, a na razie powinny zadowolić się sokiem grejpfrutowym, mlekiem Guigoz, Bebico albo Bledilac i zabawkami odpowiednimi dla takich małałów, a niesforne dzieci oddaliły się wściekle, wtedy się rozmarzyłem, zadałem sobie pytanie, która z tych setek butelek pierwsza odnajdzie krętą drogę do mojego przelyku, podczas gdy tragarz wyładowywał wszystko z obojętnością przyprawiającą o dreszcze, gość nie okazywał żadnego respektu butelkom, którym zawdzięczał przecież chleb swoich nocy i dni, żał mi było butelek, zderzały się, dźwięczały, waliły gdzie popadnie, ale wciąż tkwiły w skrzynkach, a tragarz stawiał je tuż obok mnie, wziąłem pierwszą z brzegu flaszkę, dając znak Upartemu Ślimakowi, że zaraz zapłacę, nie jutro, powiedział „nie ma sprawy, Kielonek, z tobą nie ma obaw, gdyby to był ktoś inny, powiedziałbym, że kredyt zginął śmiercią naturalną, już dawno popłynął”, to się nazywa przyjaźń, wielka przyjaźń między Upartym Ślimakiem i mną

i gdy tak siedziałem sobie spokojnie w dniu dostawy do baru „Śmierć kredytom”, nagle wściubił tu czerwony nos klauna Zapatty gość, który nosi na zadku cztery warstwy pampersów, wyskoczył nie wiadomo skąd, pewnie z puszki Pandory, ale już stał przede mną, łapał oddech, włosy miał w nieładzie, skórę pokrytą pyłem jak widz na seansie voodoo, był tylko w jednym bucie, ślina ciekła mu z ust, jakby cały dzień mówił, nie był tym, którego znałem, był innym człowiekiem, nie chciałem nawet patrzeć na tego nieszczęśnika o wyglądzie skrzywdzonego dziecka, któremu ktoś wyrwał z rąk pomarańczę, nie, nie chciałem na niego patrzeć, bo wyglądał jak człowiek, którego prześladowuje wspomnienie fotografii z dzieciństwa, na dodatek te muchy latające wokół jego zadka, i ruszył prosto do mnie, jakby o mnie śnił, jakby przyszedł tu spotkać się właśnie ze mną, i stanął jak słup soli, w końcu spojrzałem na niego, wyglądał jakoś dziwnie, naprawdę bardzo dziwnie tym razem, jakby chciał rozwiązać kwadraturę koła i szukał mojej pomocy, to jedna z tych rzeczy, które z pewnością przyspieszyły moje odejście, więc typ w pampersach siadł obok mnie bez słowa, siedział jak zombi z kraju bez kapelusza, nic nie powiedziałem, „co z twoim zeszytem, opisałeś moja

historię” zapytał, skinąłem głową, ale nie dowierzał, zerkał na zeszyt, który zaraz zamknąłem, zaczął mi opowiadać na nowo historię swojej żony, historię o zmianie zamka, strażakach, policji, zwłaszcza o policjancie narodowości żeńskiej, który go skuł, słuchałem jednym uchem, bo powiedziałem już o nim wszystko, jak długo można słuchać w kółko tej samej płyty, powiedział „słuchasz mnie, czy nie, Kielonek, mówię do ciebie, do cholery”, odparłem „jasne, że cię słucham, stary, to smutna historia, jesteś kozak, podziwiam twoją odwagę, nie wszyscy mają tyle odwagi co ty”, powiedział „więc czemu nie notujesz, co ci teraz mówię, co, sypiesz miłymi słówkami, chcesz mnie pocieszyć, wiem, robisz to, żeby mnie pocieszyć, naprawdę masz gdzieś całą moją historię, masz gdzieś pocieszna historię bankructwa poliszynela, mówię ci, że w domu płaciłem za wszystko, za prąd, wodę, mieszkanie, ale ty mi nie wierzysz, co, powiedz choć, że mi wierzysz, cholera, odezwij się, Kielonek”, odpowiedziałem „stary, to ciekawa opowieść, nigdy nie ośmieliłbym się z ciebie nabijać, wierz mi”, a on na to „więc co o tym myślisz, co powiesz o mojej zwariowanej historii, co o tym myślisz, mów szczerze, czy jestem ostatnim palantem, na jakiego w tym momencie wyglądam, czy naprawdę wyglądam na poliszynela”, odparłem „posłuchaj, masz życie przed sobą, nawet jeśli żona była dla ciebie niedobra, nawet jeśli parzy się jeszcze z guru tej przekłetej sekty, masz życie przed sobą”, a on skoczył jak oparzony „co mi tu gadasz, Kielonek, co”, myślałem, że się na mnie rzuci, więc powiedziałem łagodnie „chciałem ci tylko przypomnieć, że twoja żona to jędza, zapomnij, to sprawa zamknięta, nie jesteś palantem, nie wyglądasz mi na poliszynela, jesteś dusza człowiek, wrażliwy, otwarty, wręcz brakuje mi słów, by powiedzieć, jaki z ciebie gość, ale na pewno dobry z ciebie człowiek”, jakbym dolał oliwy do ognia, facet podniósł nagle głos „o, nie, Kielonek, nie, nie pozwolę obrażać w ten sposób mojej byłej żony, dlaczego mówisz, że to jędza, dlaczego mówisz, że różnie się z tym guru z telewizji, dlaczego mówisz, że to zła kobieta, jeśli tak mówisz, znaczy, że wcale nie zrozumiałeś, co ci opowiedziałem, muszę przeczytać ten zeszyt, tak właśnie myślałem, zawiodłeś mnie, Kielonek, naprawdę mnie zawiodłeś”, przestałem cokolwiek rozumieć, ten typ działał mi na nerwy, broni teraz kobiety, która wyrzuciła go z domu, kobiety, przez którą trafił do więzienia, kobiety, przez którą już zawsze będzie mu ciekło z tyłka, więc powiedziałem pojednawczym tonem „myślałem, że masz pretensje do żony, a jednak ją kochasz”, a ten dalej swoje „jasne, że ją kocham, a coś ty myślał, dlaczego mówisz, że to zamknięta sprawa, co, nadal ją kocham, do tego stopnia, że zamierzam znów wyglądać jak człowiek, tyłek mi wyschnie, przestanę nosić pieluchy i wtedy odzyskam żonę, przeżyjemy od nowa romancę bez tam-tamów, będę jej pisał wiersze o liliach i płomieniach, zabiorę ją do Kinszasy, na tamten brzeg, w końcu mamy szóstkę dzieci, takich rzeczy nie można lekceważyć, zaufałem ci, mówiłem o moim życiu,

a ty kpisz sobie ze mnie, mówisz, że to zamknięta sprawa, wiem, że w głębi duszy nabijasz się ze mnie, daj mi ten zeszyt, chcę go przeczytać, jeśli nie, to się pogniewamy, zresztą musisz usunąć wszystko, co o mnie napisałeś”, a ja nie wiedziałem już, co mu powiedzieć, należało coś znaleźć, rozluźnić atmosferę, i wybąkałem „stary, cieszę się, że mówisz w ten sposób, zawsze możesz liczyć na moje poparcie, wierz mi, nigdy nie robiłem sobie z ciebie żartów”, jednak widział to inaczej, znów zaatakował „o nie, Kielonek, nie mówisz tego szczerze, ani trochę, czuję to, nie pogrywaj ze mną, nie udawaj, bo się zdenerwuję i to się źle skończy, możesz mi wierzyć, daj mi ten zeszyt”, wstałem, położyłem zeszyt na stolku i usiadłem na nim, w ten sposób nie mógł wyrwać mi go siłą, byłem zdumiony, zszokowany, nie mogłem uwierzyć, że ten gość mówi mi takie rzeczy, i powiedziałem „co z tobą, facet, czy coś jest nie tak”, a że naprawdę zaczynał mnie wkurzać, wyciągnąłem ciężką artylerię „mam ci powiedzieć, palancie, że w więzieniu w Makali powinni ci jeszcze bardziej zmasakrować dupę, przelecieć cię na wylot”, rzuciłem, ot tak, z nerwów, odpowiedział zaraz „myślisz może, że nie znam twojej historii, he, owszem, wiem wszystko, mam nadzieję, że stać cię na odwagę i że opiszesz własną w tym swoim zeszycie, bo to zbyt łatwe opowiadać o innych i nie mówić o sobie, dobrze wiem, kim jesteś, jesteś hipokrytą, zwykłym hipokrytą, jesteś pętał, facet skończony, który udaje mądrałę, naprawdę jesteś niczym, kompletne zero”, tak właśnie powiedział, nakręcał atmosferę do granic możliwości, chciałem go przystopować „stary, co cię ugryzło, chcę tylko twojego dobra, porozmawiajmy jak dorośli ludzie”, pokazał mi wała i rzucił „spadaj, kanalio, stepowa ropucho”, co jeszcze można było zrobić, nic a nic, więc powiedziałem „facet, chcesz, to zaraz cię stąd wywałą, wiesz, że Uparty Ślimak to mój serdeczny przyjaciel, co”, „to także mój serdeczny przyjaciel, to serdeczny przyjaciel nas wszystkich”, tak właśnie odpowiedział, po czym dodał wzgardliwie „znam twoją historię, Kielonek, znam ją od A do Z, mnie nie zamydlisz oczu, może nie pokazywałeś dzieciom tyłka w szkole, co, a twoja matka, pogadajmy o tym, tak, twoja matka to była znana w dzielnicy pijaczka, zwykła szmata, która utopiła się w Tchinouce, otóż to, sam jesteś pedofilem, nie ja, dlatego wyrzucili cię ze Szkoły Trzech Męczenników, bo kalależ przedsiónek dzieciństwa, bo zrywałeś paki, bo brałeś się za dzieci”, ten facet szukał zwady, chciał, żeby mnie poniosło, jak mógł nazywać mnie pedofilem, co, jak śmiał bezcześcić pamięć mojej matki, jak śmiał nazywać ją pijaczką, skoro wcale nie piła, znał moją matkę czy jak, czy choć raz ją widział, co, moja matka to moja matka, dla mnie nie jest martwa, noszę ją w sercu, mówi do mnie, prowadzi mnie, chroni, nie mogłem puścić płazem tej zniewagi, tej zaczepki, za kogo się uważa, i z burzą w sercu drżałem, czułem żmiję w garści, szeptałem sam do siebie jadowite słowa „O, szale, o rozpaczy, czy po to tylko żyłem, żeby mnie zhańbiono”, ale mniejsza z

tym, byłem wściekły jak nie wiem, powiedziałem mu „więc spadaj z tego baru, chodząca padlino, topielcu z wyschłej rzeki”, a on na to „nie ruszę się stąd, nie rządysz tu, stary trepie, idź na emeryturę, czas na ciebie, ustąp miejsca młodszemu”, wtedy podniosłem się w takcie na dwie trzecie jak para tańcząca tango nienawiści, zrobiłem zwrot, chwyciłem gościa za oszewkę wystrzępionej koszuli, siły mi wróciły, czułem w sobie moc, chciałem zaryczeć, szczebrać, zagrznieć jak piorun, potrzęsnałem nim jak marną butelką oranginy, rzuciłem mu w twarz moją żmiję w garści, nie widział, jak się zbliża, ludzie zaczęli krzyczeć, niektórzy mówili mi, żebym rozkwasił mordę facetowi z wiecznie moką dupą, a gość nasrał w pieluchy, bo gdy mam żmiję w garści, robię się niebezpieczny, to matka dała mi to *gris-gris*, kiedy byłem mały, chciała, żebym był silny, bo byłem jedynakiem, nie chciała, żeby inni poniewierali mnie w szkole, więc każdy, kto poczuł moją żmiję w garści, wie, jak to boli, jak powala, i ściałem z nóg gościa od pampersów, padliśmy na ziemię, potoczyliśmy się w pyłe na skraj alei Niepodległości, niedaleko Łysej Śpiewaczki, i chyba cała dzielnica wyszła na ulicę, gapie krzyczeli „*Ali borna ye, Ali borna ye, Ali borna ye*”, bo to ja byłem Mohammedem Alim, a on George'em Foremanem, ja fruwałem jak motyl, żądliłem jak pszczoła, on był jak warzywo, z płaskimi stopami, zadawał sygnalizowane, łatwe do sparowania ciosy, a gdy tak okładaliśmy się nawzajem, to ja, rzecz jasna, brałem górę, bo tamten rzeczywiście był jak warzywo z czarnego rynku, kopałem go, waliłem bykiem, czasem mnie bolało, ale inkasował ciosy, grad ciosów, prałem go jak najęty, a facet stracił głowę, jakby był osaczony, jakby walczył przeciwko pięciu czy sześciu facetom, nos mu krwawił i wzywał mamę na pomoc, chciał czmychnąć, ale go nie puszczałem, szarpałem na wszystkie strony, brałem w obroty, rzucałem o glebę, Uparty Ślimak wyszedł z baru ze ścierką na lewym ramieniu, podbiegł do nas, odsunął ludzi „zróbcie przejście, nic się nie dzieje, wszyscy wynocha, mówię”, a tłum wyraził głośno swoje niezadowolenie, bo to żalosne widowisko musiało mu się podobać, Uparty Ślimak rozdzielił nas, posadził przy jednym stole i powiedział „co wy tu wyprawiacie, jeden z drugim, nie życzę sobie takich rzeczy w moim lokalu, dlaczego szarpiecie się jak pomylenicy, mało mam problemów czy co, chcecie, żebym stracił licencję, co, do cholery, dorośli ludzie, a zachowują się jak dzieci, w tym barze nigdy nie było bójek, powiedzą, że mam tu burdel, i zamkną mi lokal, nie chcę tu takich historii, jasne”, a ja powiedziałem „przysięgam, że to on szukał zaczepki, wcale nie chciałem się bić”, a on powiedział „nie, to nieprawda, przysięgam, że to on mnie zaczepił, stary Kielonek, nie chciałem się boksować, chciałem tylko, żeby przestał pisać o moim życiu”, powiedziałem „nie wstyd ci tak kłamać, co”, a on „sam jesteś kłamcą, wypisujesz nie wiadomo co o ludziach, masz się za literata czy jak”, i znów chcieliśmy się wziąć się za łby, wtedy pryncypał krzyknął „dość

tego, kurwa, wystarczy, nie chcę już o tym słyszeć, macie tu dwie flaszki i pogódźcie się, podajcie sobie rękę, i to już”, uścisnęliśmy sobie graby i zerwały się oklaski, nawet na zewnątrz, choć ludzie czekali tam na dalszy ciąg walki, napiliśmy się z gościem od pampersów i zapomnieli o całym incydencie, podniosłem zeszyt, który walał się na podłodze, i poszedłem przejść się po dzielnicy

każdy ma swego mola, ale typ od pampersów naprawdę ma problemy, i to od niepamiętnych czasów, nigdy nie prowokuję nikogo, mówiłem to wiele razy, zresztą była to moja pierwsza sprzeczka w barze, dlatego powiedziałem sobie, że godzina odejścia wybiła, mogłem długo ciągnąć tę bójkę, mam jeszcze dość sił, takie palanty jak on nie zmacą biegu mojej egzystencji, mego królestwa obłoków, będę stał godnie na scenie tak samo jak w niebie, ja, strażnik ruin, każdy pije piwo, którego sobie nawarzył, ten typ musi mieć śmieszny iloraz inteligencji, sądził, że nie skopię mu tyłka, bo jestem z wykopalisk, i zrozumiał, że z dinozaurami nie ma żartów i że czas nie gra roli, więc po tej bójce powziąłem decyzję, że nie będę więcej słuchał jego gównianej historii, o mały włos a usunąłbym ją z zeszytu, spalił kartki poświęcone jego śmierci na kredyt, lecz powiedziałem sobie, że ciekawie będzie jednak ją tu pozostawić i opisać tę bójkę, bo trzeba zawsze przejaskrawić rzeczy, żeby nie uśpić tego, który to może przeczyta, lecz do gościa od pampersów już się nie odzywam, mam teraz nową filozofię życiową, jest prosta i skuteczna, postanowiłem mówić każdemu malarzowi, że jest genialny, inaczej zaczynają kasać, już nie pamiętam, kto wcześniej wypowiedział te piękne i mądre słowa, zapewne jakiś w porządku gość, bardzo odpowiedzialny facet, który szanował swoją zmarłą matkę i uważał ją za oblubienicę Pana, więc mam głęboko gdzieś pieluchy pampersa, zmieniony zamek, policjanta narodowości żeńskiej, strażaków piromanów i cały ten chlām, do diabła z tą paplaniną, to już nie moja sprawa i nigdy więcej o tym nie usłyszę



spytałem o godzinę dziwnego typka, który pije o dwa stoły dalej, nigdy go tu nie widziałem, facio ma w ręku książkę, a tytuł jest po angielsku, nie znam tego języka, ale na okładce widzę rysunek narowistego konia, nie mogę stąd przeczytać całego tytułu, widzę tylko słowa *in the rye*, resztę zakrywają jego wielkie dłonie, jednak pytam go o godzinę, gość mi się przygląda, uśmiecha się, jakby mnie znał, mówi, że jest między osiemnastą a osiemnastą trzydzieści, a że nie lubię tego typu luźnych odpowiedzi, mówię „to ma być godzina, albo jest osiemnasta, albo osiemnasta trzydzieści”, mierzy mnie wzrokiem i mówi „a wal się, moczymordo, osiwiłeś w tym barze, śmierdzisz gównem, co ty tu jeszcze robisz, powinieneś czytać wnukom bajki Amadou Koumby albo Mondo czy jakieś inne historie, zamiast przesiadywać tu całymi dniami i gapić się na ludzi, gryzmolić nie wiadomo co w tym zafajdanym zeszyście”, nie mogłem z mety udzielić mu odpowiedzi, bo typ najwyraźniej szukał ze mną zaczepki, niczym Querelle z Brestu, i powiedziałem sobie „o czasy, o obyczaje, już nawet drobne cwaniaczki podnoszą głowę przed wiekowym lwem, który spodziewa się tylko odrobiny szacunku i względów, oto wiekowy lew dostaje kopniaka od parchatego osła Aliborona”, pomyślałem, że trzeba zamknąć dziób temu pyszałkowi, znowu poczułem żmiję w garści, jak w dniu, w którym zmierzyłem się z typem od pampersów, ale po co, czy w życiu nie ma ważniejszych spraw, po co tracić czas dla ludzi, którzy czytają książki po angielsku, co, wściekłość każe mi jednak powiedzieć mu dwa słowa i pytam „młody człowieku, kim ty jesteś, że mówisz do mnie w ten sposób”, przez chwilę przygląda mi się uważnie, by wreszcie powiedzieć „jestem tu nowy, nazywam się Holden”, kręcę głową, mówię sobie, że kiedyś ten typ mógłby mnie zaciekawić, chciał się zwierzyć, dać mi instrukcję obsługi swojego gównianego życia, opowiedzieć o swoich życiowych przebojach, bo ten gość najwyraźniej żyje w innej epoce, pewnie myśli, że żyjemy w czasach powojennych, ale nie mam już chęci, by ktoś zawracał mi głowę tego rodzaju bulwersującymi historiami, a ten typ, który mówi, że nazywa się Holden, jest dziwny, wygląda jak młodzian przeżywający kryzys wieku dojrzewania, choć musi mieć co najmniej trzydziestkę na karku albo coś koło tego, jest pełny, twarz nalana, dziurawe buty, już wie, jak brzytwa losu pokaleczyła życie klientów tego baru, zresztą teraz mam już to wszystko gdzieś, nie muszę nikogo słuchać, więc odwracam wzrok, ale typ nie daje za wygraną, mówi „zadam ci pytanie, jako tutejszemu mądrali, jako najstarszemu”, w dodatku facet wie, jak wzbudzić moją ciekawość, zastanawiam się, o co też chce mnie zapytać, spodziewam się najgorszego, a on mówi „możesz mi powiedzieć, co dzieje się z biednymi kaczkami z północy, kiedy przychodzi zima, hę, czy zamykają je w zoo, czy migrują w inne okolice, czy też te biedne kaczki zasypuje śnieg, co, czekam na odpowiedź”,

szeroko otwieram oczy, pewnie chce ze mnie zakpić, naprawdę jest najbardziej porąbany ze wszystkich, i właśnie teraz musiałem go spotkać, więc rzucam „nie chce mi się ciebie słuchać, nie chcę już słuchać nikogo w tym barze, mam tego potąd, mam gdzieś kaczki, mam gdzieś, czy zamykają je w zoo, czy zdychają na śniegu, czy też migrują w inne okolice”, i odwracam się plecami, ponawia atak „wysłuchasz mnie, Kielonek, to rozkaz, ja też chcę być w tym zeszytcie, to niesprawiedliwe, że nie mówisz tam o mnie, jest parę ciekawych rzeczy w moim pieprzonym życiu i mówię ci, że jestem ważniejszy od wszystkich gości, którzy tu przychodzą, byłem w Ameryce”, a ja na to „możesz się nie wysilać, facet, nie weźmiesz mnie na te plewy, już ktoś mi tutaj mówił, że jest najważniejszy, bo zaliczył Francję”, a on powiada „tak, ale ja byłem daleko, bardzo daleko, to nie to samo”, „mam to gdzieś, facet, na pewno nie byłeś dalej niż ja, Kielonek”, a ten woła „co, nawet nie leciałeś samolotem i twierdzisz, że byłeś daleko, ha, śmiech mnie ogarnia, jeśli ktoś w tym barze tkwi w miejscu jak góra, to właśnie ty”, nie odpowiadam, robię parę kroków ku wyjściu, „powiedz no, chcesz, żebym opowiedział ci moją historię, czy nie”, „nie, dziękuję, miara się już przebrała”, a gdy byłem jakieś dwa metry dalej, zawołał „wróciłem z daleka, z bardzo daleka, spędziłem młodość w Ameryce”, odpowiadam „nigdy przez Amerykę nie zmienię zdania” i na dobre odwracam się plecami; a on mamrocze „kurwa, przecież to Ameryka, największa potęga na świecie, zrobię wszystko, żebyś mnie w końcu wysłuchał, opiszesz moją amerykańską historię, bo jak nie, twój zeszyt nie będzie nic wart, nic, tyle co papier toaletowy”, słyszę jak za mną krzyczy „e, Kielonek, nie żartuję, naprawdę czekam na odpowiedź, czy możesz mi powiedzieć, co dzieje się z biednymi kaczkami z północy, kiedy przychodzi zima, hę, czy zamykają je w zoo, czy migrują w inne okolice, czy też te biedne kaczki szamoczą się w śniegu”

podnoszę wzrok znad zeszytu i patrzę na drzwi, nie wierzę, wkracza Służka, spięła zazwyczaj potargane włosy, ma na sobie nową kreację, owinęła zadek impregnowaną bawełną, Uparty Ślimak jest rozpromieniony, co mnie irytuje, jakby chciał mnie zachęcić, bym do niej wystartował, powiedział Służce, że czuję do niej miętę, ale nie, co to, to nie, niewykonalne, już niewarte zachodu, lecz oto przechodzi obok, patrzę na nią przez chwilę, zauważa to i mówi „co się tak na mnie gapisz, mam ci dać zdjęcie czy jak”, a ja powiadam „nie wiem, o czym mówisz, Służka, nawet nie zauważyłem, że tu jesteś”, wskazuje na mnie palcem i woła „kłamca, szukasz guza czy co, uważasz, że mężczyźni na mnie nie patrzą, w tym stroju, co, droczysz się, droczysz, Kielonek”, „przysięgam, że cię nie widziałem, ale to nie znaczy, że inni cię nie zauważyli, ja to ja”, znów woła „cholera, drażnisz mnie, teraz jeszcze bardziej, a dlaczego to ty mnie nie widziałeś, he, dlaczego mnie nie widziałeś, mam gdzieś innych mężczyzn, ale dlaczego ty mnie nie widziałeś”, „prawdę mówiąc, widziałem cię, ale udawałem, że cię nie widzę, żebyś nie wiedziała, że cię widziałem, i tyle” odpowiadam, „chcesz przez to powiedzieć, że jestem gruba, co, dlatego udawałeś, że mnie nie widzisz, jestem gruba, o to chodzi, powiedz prawdę”, co ich naraz wzięło, że sprzymierzyli się przeciwko mnie, czyżby nie pojęli, że ja, patriarcha tego baru, zmierzam ku jesieni mego panowania, co, a teraz każdy ma na mój temat coś do powiedzenia, nikt się już mnie nie boi, myślą, że już po mnie, że nie jestem wart złamanej kopiejki, złamanego franka CFA, i mam niejasne wrażenie, że mocno się postarzałem, że lata mi ciążą, że nie mam żadnych oczekiwań, że wszystko mnie denerwuje, że nie nadażam za biegiem wydarzeń, że łatwo można mnie zranić, że nie potrafię odesłać z kwitkiem osłów, którzy zadają mi ciosy poniżej pasa, najpierw był gość od pampersów, zawracał mi głowę wiecznie tą samą historią o żonie, która zmieniła zamek o piątej nad ranem, a kiedy współczułem mu szczerze jak siostra miłosierdzia czy sympatyczny pies Odyseusza, ośmielił się bezczęścić pamięć mojej matki, tak że skończyło się bójką, że czułem żmiję w garści, potem był Drukarz, nawet jeśli z nim sprawy nie zaszły tak daleko jak z gościem od pampersów, ale Drukarz prowokował jednak tym swoim „Paris-Matchem”, a dziś, niczym kolejne ogniwo w łańcuszku niepowodzeń, ten typ o pucołowatej twarzy, który podobno wrócił z Ameryki, który twierdzi, że nazywa się Holden, który troszczy się o los kaczek w zimie, który nazywa mnie facetem z lamusa, dziadkiem i każe mi poświęcić ostatnią jesień patriarchy na czytanie wnukom przygód Mondo, bajek Amadou Koumbi, czy nie wie, że nie mam wnuków, naprawdę tego nie wie, więc ludzie są podenerwowani, jakbym im coś zrobił, a teraz na domiar złego Służka, to jakieś przekleństwo czy co, zwracam się do niej taktownie „nie mam chęci się sprzeczać, Służka, naprawdę cię

szanuję, przysięgam”, ona na to „nieprawda, wcale mnie nie szanujesz, zresztą nigdy nikogo tutaj nie szanowałaś oprócz Upartego Ślimaka”, odparłem „skąd wiesz, że cię nie szanuję, co”, „bo jesteś wstrętny kłamca, gdzie staniesz, tam skłamiesz, nie szanujesz nawet swoich siwych włosów, kłamiesz, kłamiesz i jeszcze raz kłamiesz”, brakuje mi słów, jednak mrużę „sądzę, że się mylisz, Spłuczka”, a ona powtarza tę samą śpiewkę „tak, jesteś kłamca, wstrętny kłamca”, nie mogę puścić tego mimo uszu, więc rzucam jej wyzwanie „daj jakiś przykład, powiedz, kiedy i jak skłamałem”, patrzy w niebo, myśli przez chwilę i mówi „czy kiedyś postawiłeś mi chociaż butelkę, jedną buteleczkę wina, he, nie, nigdy, jesteś sknera, samolub, onanista, zresztą nigdy nawet na mnie nie spojrzales, unikasz mnie jak zarazy, właśnie, czy ty wiesz, ilu facetów ugania się za moim tyłkiem, co”, ręce mi opadają, patrzę jej w prosto oczy i mówię „zamów flaszkę, zapłacę, to mój wielki dzień”, ku memu wielkiemu zdumieniu odmawia „nie, nie i jeszcze raz nie, za kogo ty mnie bierzesz, za żebraczkę, łachmytę, kim ty jesteś, że mówisz mi takie rzeczy, prosiłam cię o coś, nie, chcesz mnie spoić i potem ze mną świntuszyć, o to ci chodzi, palancie”, i mówi to głośno, jej głos góruje nad ogólnym zgiełkiem, ludzie się odwracają, słyszę w dali śmiechy, wszyscy teraz przyglądają się scenie i czuję się wyjątkowo nie w sosie, muszę jakoś wybrnąć z całej sytuacji, ale jak, nie wiem i chcę oddalić się stąd jak najszybciej, zerkam więc na zegarek niesfornego Holdena, który zwymyślał mnie jakiś czas temu, wciąż siedzi dwa stoły dalej i pyta innych gości „możecie mi powiedzieć, co dzieje się z biednymi kaczkami z północy, kiedy przychodzi zima, co, czy zamykają je w zoo, czy migrują w inne okolice, czy też te biedne kaczki zasypuje śnieg”, widzę wielki zegarek wiszący na jego szyi, ciekawy sposób na noszenie zegarka, wygląda jak budzik, może Amerykanie tak noszą zegarki, ci goście muszą uwielbiać przesadę, i udaje mi się odczytać godzinę, wołam „mój Boże, dziewiąta wieczorem”

wstaję, żeby wyjść z baru, „nie ruszaj się stąd, Kielonek, obiecałeś mi flaszkę, nie ruszaj się, albo będziesz miał ze mną do czynienia, postaw mi flaszkę” mówi Spłuczka, „kurwa, mam dość, zdecyduj się, czego właściwie chcesz”, w końcu się denerwuję, „czemu się złościś, króliczku, przestań, bo dostaniesz zmarszczek, masz ich już tyle na czole”, tak właśnie mówi, ruszam do bufetu, Uparty Ślimak uśmiecha się do mnie, podaje butelkę czerwonego wina i szepcze mi do ucha „i jak, bierzesz się za Spłuczkę”, kręcę głową i odpowiadam „to wariatka, o wszystko się czepia, nie chcę wyjść z baru z wyrzutami sumienia, postawię jej tę flaszkę, bo mnie zamęczy”, a pryncypał mówi „nie, Kielonek, nigdzie nie pójdziesz, należysz do rodziny, więc przestań się mazgaić, idź do niej, ta dziewczyna przewietrzy ci w głowie, ja ci to mówię” i zaczyna chichotać, potem

dodaje „ma na ciebie chrapkę, to jasne jak słońce, tak, ma na ciebie chrapkę, leci na ciebie, rusz głową, weźmie cię gdzieś do hotelu albo zabierz ją do mnie, masz zielone światło”, nie bardzo w to wierzę, zresztą nie mam ochoty na amory ze Spłuczka, teraz wołałbym raczej zapomnieć, jak wygląda, męczą mnie jej bezsensowne podchody, mam wyczerpane baterie, jak mógłbym jej dosiąść, to już nie dla mnie, nie dla mężczyzny, który pragnie odległej miłości, więc kręcę się w kółko, chcę zaczerpnąć powietrza na alei Niepodległości, nim zniknę o północy

lecz gdy już wstaję z niezłomnym postanowieniem, wyrasta przede mną Uparty Ślimak, „gdzie się wybierasz, facet” mówi, nie odpowiadam, chwytą mnie za prawą rękę, pyta, jak mi idzie ze Spłuczka, zachowuję milczenie, podaję mu zeszyt, bierze go, natychmiast chcę mu go wyrwać z rąk, nie chcę mu go oddać, nie wiem, dlaczego to robię, ale usiłuję mu go wyrwać z rąk, bez powodzenia, błagam, by oddał mi mój zeszyt, mówi „dlaczego nagle chcesz mi go zabrać, jest już późno, rzadko kiedy piszesz po osiemnastej, coś czuję, że chcesz go podrzeć, nie dam ci go, odbierzesz zeszyt jutro rano, jeśli zechcesz”, „daj mi go teraz, muszę coś sprawdzić, przysięgam, że ci go zwrócę, naprawdę wszystko mi jedno, wcale go nie podre, możesz mi wierzyć”, pryncypał szybko przegląda zeszyt i woła „już prawie skończyłeś, zostało tylko kilka czystych kartek, kiedyś to wszystko nabazgrał”, nie odpowiadam, uśmiecham się lekko, Uparty Ślimak nachyla się i szepcze „moja propozycja jest nadal aktualna, idź przespać się na górę, masz klucze, możesz tam iść ze Spłuczka, już z nią mówiłem, zgadza się”, nie biorę kluczy i udaje mi się odebrać mu zeszyt, teraz ja go kartkuję i mówię Upartemu Ślimakowi „masz, teraz możesz go zatrzymać, misja zakończona”, dziwi się „jak to, misja zakończona, zostało parę kartek” i przegląda strony tym razem z większą uwagą, po czym wzdycha „nie przyjrzałem się dokładnie, ale to jeden wielki bajzel, ani jednej kropki, przecinki i przecinki, czasem cudzysłów, kiedy ktoś coś mówi, to nie jest normalne, może byś tak wprowadził tu trochę ładu, co, jak niby mam to czytać, jedno na drugim, zostaw trochę wolnego miejsca, trochę oddechu, zrób jakieś przerywniki, ha, spodziewałem się po tobie czegoś więcej, trochę się zawiodłem, przykro mi, twoja misja jeszcze się nie skończyła, musisz zacząć od nowa”, a ja powtarzam „misja zakończona”, odwracam się plecami, prawie wrzeszczy „gdzie idziesz, Kielonek”, odpowiadam, że idę się przewietrzyć, z dała od baru, „gdzie pójdziesz, Kielonek, twój dom jest tutaj, wracaj”, mówię mu „zaraz wrócę” i widzę, jak raz jeszcze kartkuje zapisany zeszyt, potem słyszę, jak czyta głośno pierwsze dywagacje, które umieściłem na początku zeszytu „*zaczniemy od tego, że właściciel baru »Śmierć kredytom« wręczył mi zeszyt, żebyśmy mogli w nim gryzmolić, i święcie wierzy, że ja, Kielonek, mogę spłodzić książkę, bo kiedyś w żartach opowiedziałem mu historię o sławnym pisarzu, który pił jak*

*gąbka, o pisarzu, którego gdy się upił, trzeba było podnosić z ulicy, więc lepiej nie żartować z pryncypałem, bo bierze wszystko wprost”*

na próżno próbuję utorować sobie drogę w tłumie, Mompero i Dengaki wołają mnie chórem; chwytają za ramiona, „Kielonek, chodź, no chodź, zabieraj swój zeszyt”, biorę zeszyt, ołówek, już jestem na zewnątrz i opisuję mój dialog z Upartym Ślimakiem, jakby rozgrywał się teraz, na żywo, w czasie teraźniejszym, uśmiecham się już na myśl, że tego wieczoru nikt nie wie, że mam zamiar ruszyć w podróż z łososiem, że zamierzam pójść brzegiem Tchinouki, dołączyć do mojej matki, pić i pić te wody, które zabrały jedyną kobietę w moim życiu, która mogła powiedzieć „synu, Kielonek, kocham cię i zawsze będę cię kochać, nawet jeśli dziś jesteś zwykłym śmieciem”, była moją matką, najpiękniejszą kobietą na ziemi i gdybym miał dość talentu, napisałbym książkę pod tytułem *Książka o mojej matce*, wiem, że ktoś już to zrobił, ale od przybytku głowa nie boli, byłaby to nieukończona powieść, książka pełna radości, książka samotnika, pierwszego człowieka na ziemi, książka cudów, opisanie świata, i na każdej stronie spisywałbym moje uczucia, moją miłość; moje żale, wymyśliłbym mojej matce dom na skraju łąz, skrzydła; by mogła zostać królową aniołów w niebie, by strzegła mnie po wsze czasy, i poprosiłbym, by wybaczyła mi to gówniane życie, to życie i pół, które kazało mi się wciąż zmagać z czerwonym płynem z Sovinco, poprosiłbym, by wybaczyła mi szczęście, które mnie przepelniało, gdy kontemplowałem dno flaszek czerwonego wina, i wiem, że by mi wybaczyła, powiedziała „mój synu, to twój wybór, nic na to nie poradzę” i zaczęłaby mówić o moim dzieciństwie, o tym, jak wychowała mnie sama, jak po śmierci ojca uciekła z wioski Louboulou, opowiedziałaby, jak chodziłem do szkoły w Kouiku, sam, jak maszerowałem przez dwie godziny, i wtedy jak w zwierciadle zobaczyłbym znów przygody mojego dzieciństwa, kiedy biegałem po Dzikim Wybrzeżu, w tamtych czasach wcale nie chciałem dorosnąć, bo kiedy skończy się dwanaście lat, życie zamienia się w gówno, dzieciństwo to nasze najcenniejsze dobro, reszta to tylko stos gaf i głupstw, chcę powiedzieć, że w czasach młodości na każdą rzecz patrzyłem ciekawie, nie bałem się legend, wedle których nasze morskie bezmiary zamieszkują dziwne stworzenia, pół-kobiety, pół-ryby, które nazywa się tutaj *mami-watta*, a w tamtych czasach morze rozciągało się jak okiem sięgnąć, kormorany siadały na kamienistym brzegu ze skrzydłami ociążałymi po długiej wędrówce, lecz ileż razy, zaintrygowany, pytałem, co kryje się w przepastnych otchłaniach, i myślałem, że morze to sarkofag przodków, że woda jest słona z powodu ich potu, ta wiara czyniła mnie prawdziwym dzieckiem wybrzeża, nie mogłem przeżyć dnia, żeby nie pójść do portu, matka nic nie mówiła, brakowało ojcowskiego głosu, więc mogłem tam latać, przynosić wieczorem tuńczyka, którego kroila, patrzyłem, jak kroi go na małe kawałki i wrzuca jeden po drugim do wielkiego aluminiowego garnka, jedliśmy w ciszy i mówiła mi głosem

łagodnym i smutnym „nie chodź więcej na Dzikie Wybrzeże, ludzie tam umierają, przychodzą tam złe duchy, wczoraj znaleziono na plaży dwoje dzieci, miały wzdęte brzuchy, przewrócone oczy, nie chcę cię kiedyś zobaczyć w takim stanie, bo zaraz poszłabym za tobą, nie mogę bez ciebie żyć, to dla ciebie żyję”, niestety, nazajutrz wstawałem wcześniej rano, szedłem na wagary i wskakiwałem dyskretnie na ciężarówkę Towarzystwa Morskiego, na pakę wehikułu o zużytych hamulcach, który woził do pracy portowych robotników, ci nie mogli wyrzucić mnie z ciężarówki, przywykli do dzieciaków, które czasem pomagały im w ciężkiej harówce, przesuwali się nieco, robili miejsce dla dzieci z wybrzeża, a gdy docierałem do portu, oddychałem pełną piersią, odnajdywałem mój świat, widziałem hordy rachitycznych psów o zaślinionych pyskach, które też się tu wałęsały, patrzyłem na ich zakręcone w spirale ogony, gdy spierały się o resztki ryb z chmarami kormoranów i albatrosów, były tam i te zielone muchy, które biorą się nie wiadomo skąd, buczały jak pszczoły przy ulu, patrzyłem na horyzont i zadawałem sobie pytanie, jak rozpocząć dzień i czy wrócę do domu z tuńczykiem, bo często zdarzało mi się wracać z niczym z powodu rywalizacji z innymi dziećmi z wybrzeża, silniejszymi ode mnie i nawykłymi do pracy na morzu, w niektóre dni było nas więcej niż zwykle, a rybacy mniej hojni; więc wypędzali nas z łodzi, klnąc na czym świat stoi, i trzeba było walczyć o resztki, być najszybszym, a gdy dostrzegaliśmy łódź na horyzoncie, krzyczeliśmy z radości, przepychali się, w końcu rzucaliśmy się do wody, trzeba było pokazać pracującym na morzu, że choć dotknęliśmy sieci, że pomogliśmy im przybić do brzegu, i nie odstępowaliśmy ich już na krok, póki nie wynagrodzili nas rybami, marzyliśmy zwłaszcza o tym, by przynieść do domu tuńczyka, tak, to było moje dzieciństwo, znów zobaczę te odległe chwile, kiedy czytałem przy lampie naftowej, kiedy matka mówiła, że od czytania psują się oczy i że czytanie nic nie da, od czytania się ślepnie, a jednak czytałem, ciągle siedziałem zgarbiony, ze spoconym czołem, odkrywałem tajemnicę słów, zgłębiałem je aż do szpiku, psułem sobie oczy, bo zawsze wierzyłem, że krótkowidze to inteligentni goście; którzy czytali wszystko i nudzą się teraz z nieukami tej ziemi; więc chciałem być krótkowidzem na złość wszystkim nieukom świata, chciałem czytać książki zapisane maczkiem, bo słyszałem, że od tych książek można popsuć sobie oczy, dowodził tego fakt, że europejscy księża, którzy kursują po dzielnicy Trzysty, to sami krótkowidze w okularach z grubymi szklami, pewnie dlatego że czytali jerozolimską Biblię tysiące razy bez przerwy, tak wzrastałem, z oczyma utkwionymi w stronicę książek, czekając na dzień, w którym ja także będę nosił okulary z grubymi szklami jak księża, czekając na dzień, w którym udowodnię całemu światu, że jestem człowiekiem inteligentnym, człowiekiem spełnionym, człowiekiem, który wiele czytał, czekałem na ten dzień, który nigdy nie przyszedł;



i nigdy nie straciłem dobrego wzroku, Bóg wie, dlaczego mój wzrok pozostał tym, co we mnie najmłodsze, to niesprawiedliwe, takie jest życie, nic na to nie poradzę, ale za kilka chwil stanę wreszcie przed moją matką, zostały niecałe dwie godziny, będziemy długo ze sobą rozmawiać, a punkt o północy zanurzę się w głębiny rzecznych wód, wystarczy przekroczyć most i zacznie się przygoda, będę szczęśliwy, bo odnajdę matkę, a nazajutrz nie będzie już Kielonka w barze „Śmierć kredytem” i po raz pierwszy dobry Bóg poskleja rozbity kieliszek, wtedy, z tamtego świata, uśmiechnę się i szepnę „misja zakończona”

muszę odejść, już nic tu po mnie, muszę pozbyć się tego zeszytu, ale gdzie mam go rzucić; nie wiem, zawracam i idę znów do baru „Śmierć kredytom”, sam nie wiem dlaczego, biorą mnie za wariata, bo piszę, przedzierając się przez tłum, trafiam na gościa, który mówi, że nazywa się Holden, znowu te miałkie historie zbuntowanego wyrostka, pyta mnie „e, Kielonek, możesz mi powiedzieć, co dzieje się z biednymi kaczkami z północy, kiedy przychodzi zima, hę, czy zamykają je w zoo, czy migrują w inne okolice, czy też te biedne kaczki zasypuje śnieg, hę, chciałbym to wiedzieć”, nauczył się na pamięć swojej deklamacji, nie zmienia ani słowa, gdy po raz kolejny stawia mi to pytanie, a ja mówię „Holden, nie sądzisz, że należało zapytać o to kaczki z północy, kiedy jeszcze tam byłeś, co, pewnie jest to w tej książce, którą trzymasz w ręku, jestem pewien”, patrzy na mnie wyraźnie zawiedziony i mruczy „nie jesteś zbyt miły, nie lubisz kaczek, to jasne, naprawdę chcę to wiedzieć, bo nie wyobrażasz sobie, na jaki los skazuje się te biedne ptaki”, i zaczyna szlochać, raz jeszcze jednak pytam go o godzinę, choć budzik ciągle wisi mu na szyi, to kwestia szacunku, nie chce mi odpowiedzieć „nie powiem ci, która godzina, jeśli mi nie odpowiesz, co się dzieje z biednymi kaczkami z północy, kiedy nadchodzi zima”, po czym podchodzi bardzo blisko, przygląda mi się przez chwilę, mówi, że jest już prawie północ, wtedy podaję mu zeszyt i mówię „facet, daj go Upartemu Ślimakowi, ale go nie otwieraj, choćbyś i ty tam był, nie chciałem pisać o twoim życiu, nie mam dość czasu, zresztą zamierzałeś pewnie mi powiedzieć o studiach za granicą, co, o tym, jak jeden z przyjaciół z akademika rozkwasił ci gębę, jak wałęsałeś się po Manhattanie, o tym, że byłeś w Nowym Jorku, że w zimie widziałeś kaczki w Central Parku, i takie tam, hę, nie otwieraj tak oczu, nigdy tam nie byłem, nikt nie opowiadał mi twojej historii, Holden, lecz w pewnym sensie prawie mnie obraziłeś, to nic, popijaj sobie wino, żyj, spotkamy się na tamtym świecie, Holden, pójdziemy się razem napić i będziesz mógł mi opowiedzieć twoje życie w całości, odpowiem na twoje pytanie, powiem ci wtedy, na jaki los skazuje się biedne kaczki z północy, kiedy przyjdzie zima, bywaj, kolego, muszę spadać, moje miejsce jest w raju, a jeśli jakieś obłudne anioły zaczną mi wciskać kit, żebym nie trafił tam przez główną bramę, cóż, możesz mi wierzyć, wleżę tam przez okno”